

TRZECI TOM TRYLOGII
„OSTATNI POLICJANT”

UTRACONY ŚWIAT



BEN H. WINTERS

BEN H. WINTERS

**UTRACONY
ŚWIAT**

Przełożył
ROBERT J. SZMIDT



Utracony Świat

Ben H. Winters

Tłumaczenie: Robert J. Szmidt

Original title: *World of Trouble. The Last Policeman Book III*

Copyright © 2014 by Ben H. Winters

All rights reserved.

First published in English by Quirk Books, Philadelphia, Pennsylvania.

This Book was negotiated through Livia Stoia, Livia Stoia Agency.

© Copyright for the Polish translation by Robert J. Szmidt, 2019

© Copyright for this edition by Wydawnictwo RM, 2019

All rights reserved.

Wydawnictwo RM, 03-808 Warszawa, ul. Mińska 25

rm@rm.com.pl

www.rm.com.pl

Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana, w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny) włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy. Wszystkie nazwy handlowe i towarów występujące w niniejszej publikacji są znakami towarowymi zastrzeżonymi lub nazwami zastrzeżonymi odpowiednich firm odnośnych właścicieli. Wydawnictwo RM dołożyło wszelkich starań, aby zapewnić najwyższą jakość tej książki, jednakże nikomu nie udziela żadnej rękojmi ani gwarancji. Wydawnictwo RM nie jest w żadnym przypadku odpowiedzialne za jakąkolwiek szkodę będącą następstwem korzystania z informacji zawartych w niniejszej publikacji, nawet jeśli Wydawnictwo RM zostało zawiadomione o możliwości wystąpienia szkód.

Redaktor prowadzący: Irmina Wala-Pęgierska

Redakcja: Urszula Gardner

Korekta: Bożena Sęk

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Edytor wersji elektronicznej: Tomasz Zajbt

Opracowanie wersji elektronicznej: Marcin Fabijański

Weryfikacja wersji elektronicznej: Justyna Mrowiec

ISBN 978-83-7773-970-9

ISBN 978-83-8151-047-9 (ePub)

ISBN 978-83-8151-048-6 (mobi)

W razie trudności z zakupem tej książki prosimy o kontakt z wydawnictwem: rm@rm.com.pl

SPIS TREŚCI

Duch Ameryki

Człowiek z Niebieskiego Miasta

Joy

Wstawaj i bierz się do roboty

Izyda

Plan B

Epilog

Dla Diany

*...Będę cię kochać,
Póki koła nie odpadną,
O tak, tak...*

*And I won't let go and I can't let go
I won't let go and I can't let go
I won't let go and I can't let go no more*

Bob Dylan, *Solid Rock*

Środa, 22 sierpnia

Rektascensja 18 26 55,9

Deklinacja -70 52 35

Elongacja 112,7

Delta 0,618 j.a.

- Przyszedłeś w sprawie pyłu? Powiedz, proszę, że przyszedłeś, by coś z nim zrobić.

Milczę. Nie wiem, jak zareagować.

Głos dziewczyny jest gardłowy, słaby. Z nadzieją, ale i z odrobiną szaleństwa spogląda na mnie znad maski zakrywającej nos i usta, a ja sterczę na progu jak ten kołek. Jest śliczną blondynką, włosy ma zaczesane do tyłu, więc dobrze widzę jej twarz, brudną jak u wszystkich, spanikowaną jak u każdego z nas. Dostrzegam jednak w jej wzroku coś jeszcze, coś niezdrowego, biochemicznego.

- Wejdz - proponuje zza maski antyalergiczej. - Śmiało. Wejdz. Nie wpuszczajmy więcej pyłu.

Gdy przekraczam próg, ona szybkim kopnięciem zatrzaskuje drzwi, po czym obraca się pospiesznie, by nie stracić mnie na moment z oczu. Ma na sobie żółtą sukienkę, wyblakłą i postrzępioną. Wygląda na zagłodzoną, cera na twarzy jest ziemista, bardzo blada. Nosi nie tylko maskę antyalergiczną, ale i gumowe rękawiczki. Poza tym jest uzbrojona po zęby: trzyma w dłoniach dwa pistolety maszynowe, trzeci, zwykły, wetknęła za cholewę wysokiego buta. Widzę też przy pasie skórzaną pochwę kryjącą wielki myśliwski nóż. A także granat, aczkolwiek trudno powiedzieć, czy to nie jest atrapa.

- Widziałeś, ile tu pyłu? - pyta, omiatając lufami kąty przestronnego pomieszczenia. - Rozumiesz już, że mamy cholernie wielki problem?

Dostrzegam drobinki kurzu unoszące się w nasłonecznionych miejscach, zauważam kupy śmieci zalegające na podłodze; rzucone na stos brudne ubrania i pootwierane kufry wypełnione czym popadnie: od kabli elektrycznych przez czasopisma po zwitki banknotów. Ona widzi jednak więcej, wiem to, dostrzegam po jej oczach, gdy mruga raptownie, a potem zaczyna kaszleć.

Szkoda, że nie pamiętam jej imienia. Wszystko stałoby się o wiele prostsze, gdybym go nie zapomniał.

- I co z tym zrobimy? - pyta, wypluwając pospiesznie słowa. - Wciągniesz ten pył do jakiegoś odkurzacza? Czy po prostu

zbierzesz i wywalisz gdzieś na zewnątrz? Co się właściwie robi z kosmicznym pyłem?

- Z kosmicznym pyłem... - powtarzam. - Cóż, tego akurat nie jestem pewien.

To mój pierwszy wypad do Concord w New Hampshire od ponad miesiąca, kiedy to po spaleniu mojego domu i przy okazji sporej części miasta zostałem zmuszony do ucieczki. Chaos tamtych dramatycznych chwil wygasł z ogniem pożarów, zastąpiła go ponura wszechobecna cisza. Znajduję się zaledwie kilka przecznic od centrum, w zdemolowanym i złupionym sklepie przy Wilson Street, ale na zewnątrz nie widzę dziś tłumów. Wylęknieni ludzie nie przepychają się przez zatłoczone chodniki. Nie słyszę pisku klaksonów ani zawodzenia samochodowych alarmów, z oddali nie dobiegają odgłosy kanonady. Ci z mieszkańców, którzy pozostali, ukrywają się: kulą się pod kocami, gdzieś w piwnicach, drżą z obawy.

Przed sobą mam dziewczynę, szaloną, bredzącą bez przerwy o wyimaginowanym kosmicznym pyle. Spotkaliśmy się już kiedyś, w tym samym miejscu, które ongiś było znanym butikiem i nosiło nazwę Do Zobaczyska. Poprzednim razem była inna, wtedy nie padła jeszcze ofiarą szaleństwa. Wielu ludzi cierpi dzisiaj na tę przypadłość – co jest zrozumiałe – choć są w najrozmaitszych stadiach i wykazują odmienne symptomy. Gdyby klasyfikacja zaburzeń psychicznych wciąż była uaktualniana, z pewnością dodano by do niej nową chorobę. Destrukcyjna obsesja na tle gigantycznej asteroidy, która znalazła się na kursie kolizyjnym z jakże kruchą planetą. Może nazwano by ją astromanią. Albo międzyplanetarną psychozą urojeniową.

Odnoszę wrażenie, że udałoby mi się ulżyć tej dziewczynie w cierpieniu, gdybym tylko zdołał wypowiedzieć jej imię, dał do zrozumienia, że dobrze się znamy, że oboje jesteśmy istotami ludzkimi. Dzięki temu uznałaby mnie za mniejsze zagrożenie, co pozwoliłoby nam spokojnie porozmawiać.

- Wiesz, że jest trujący? - pyta. - Bardzo, bardzo szkodliwy. Kosmiczny pył wyżera ci płuca. Fotony je wypalają.

- Słuchaj... - rzucam, a ona nabiera powietrza i rusza prosto na mnie, wymachując bronią.

- Nie otwieraj ust i nie wysuwaj języka - syczy. - Nie próbuj go kosztować.

- Dobrze, tak właśnie zrobię. - Trzymam ręce przy sobie, opuszczone, ale tak, by je widziała, próbuję też zachować w miarę neutralną minę. - Wiesz, szczerze mówiąc, przyszedłem tutaj, ponieważ potrzebuję informacji.

- Informacji? - Marszczy brwi zdziwiona.

Przygląda mi się przez tumany urojonego pyłu.

Tak naprawdę nie chcę rozmawiać z nią, tylko z jej przyjacielem czy też chłopakiem. Kimkolwiek dla niej jest. Ten facet wie, gdzie powinienem się udać. Taką przynajmniej mam nadzieję. Na to liczę.

- Muszę pogadać z Jordanem. Jest może w domu?

Dziewczyna patrzy na mnie przytomniej. Skupia się, unosi broń.

- Czy to on... cię tu przysłał?

- Nie. - Unoszę dłonie. - Nie.

- O mój Boże, on cię tu przysłał. Jesteście razem? Poleciał w kosmos? - krzyczy, przemierzając pomieszczenie. Lufy jej pistoletów maszynowych mierzą w moją twarz jak bliźniacze czarne dziury. - Czy to jego robota? - Odwracam się twarzą do ściany wystraszony jak cholera. Nie chcę umierać, nawet tutaj, teraz. - Czy to on mi to wszystko robi?

W tym momencie cudownym zrzędzeniem losu przypominam sobie jej imię.

- Abigail. - Spojrzenie jej łagodnieje, oczy otwierają się szerzej. - Abigail - powtarzam. - Mogę ci pomóc? Możemy pomóc sobie nawzajem?

Gapi się na mnie. Cisza gęstnieje. Chwile mijają, czas się wypala.

- Proszę cię, Abigail.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Duch Ameryki

Czwartek, 27 września

Rektascensja 16 57 00,6

Deklinacja -74 34 33

Elongacja 83,7

Delta 0,384 j.a.

1.

Martwię się o swojego psa.

Na domiar złego zaczął utykać, jakby mało było tego, że pokasłuje tak mocno, aż jego drobne ciało podskakuje, i że ma pełno rzepów w skołtunionej sierści. Nie wiem, kiedy ani gdzie skaleczył sobie przednią prawą łapę, ale zauważam, że kuleje, gdy wychodzi z magazynu dowodów, przemyka się pomiędzy moimi nogami i człapie w głąb korytarza. Drepcze biedaczysko wzdłuż listwy przypodłogowej, brudny jak diabli, lecz wciąż zadziwiająco biały.

Przyglądam mu się z głębokim niepokojem. Źle zrobiłem, zabierając Houdiniego z sobą. To błąd popełniony bez zastanowienia. Naraziłem własnego psa na rygory długiej i niepewnej podróży, na picie brudnej wody z kałuż i jedzenie resztek, na maszerowanie poboczami opustoszałych autostrad i po zachwaszczonych polach, na walki z innymi zwierzętami. Powinienem zostawić go z McConnell i resztą ferajny w naszej kryjówce w Massachusetts. Z dziećmiakami jej i pozostałych ludzi, z ich psami. W bezpiecznym, spokojnym miejscu. Ale nie, musiałem go zabrać. Nie zapytałem nigdy, czy chce iść ze mną, choć gdybym nawet to zrobił, czy takie maleńkie stworzenie byłoby w stanie ocenić, czy skórka warta jest wyprawki?

Zabrałem go, w pięć tygodni pokonaliśmy osiemset pięćdziesiąt trudnych mil, co widać po nim, bez dwóch zdań.

- Tak mi przykro, kolego - mamroczę, na co odpowiada kolejnym kasznięciem.

Przystaję pośrodku korytarza, dyszę w mrok, spoglądając w sufit.

Magazyn dowodów rzeczowych wygląda identycznie jak wszystkie pozostałe pomieszczenia. Gruba warstwa kurzu pokrywa półki, wszystkie szafki opróżniono i przewracano.

Czuję wszechobecną stęchliznę i pleśń. W dziale łączności, na czymś biurku pomiędzy martwymi laptopami i wiekową radiostacją, leży stara nadgryziona kanapka. Roi się na niej od mrówek. Nie ma tutaj niczego dobrego, niczego pomocnego ani niosącego nadzieję.

Dotarliśmy w to miejsce wczoraj późną nocą i od razu wzięliśmy się do poszukiwań. Teraz, ponad trzy godziny później, słońce zaczyna wyłaniać się z horyzontu – blady blask jego promieni przesącza się przez szklane frontowe drzwi w głębi holu – a my, choć przekopaliśmy prawie cały budynek, wciąż nie mamy niczego. Niczego. To niewielki posterunek policji, podobny do tego, na którym sam kiedyś pracowałem. Chyba nawet mniejszy. Całą noc spędziłem na kolanach, ze szkłem powiększającym w dłoni i latarką w drugiej ręce, przetrzepując to miejsce pokój po pokoju: recepcję, centralę łączności, administrację, areszt, magazyn dowodów.

Przekonanie wzbiera we mnie niczym brudna woda w studni: tutaj także niczego nie znajdę.

Funkcjonariuszka McConnell wiedziała o tym. Powiedziała mi wprost, że zmarnuję tylko czas.

- Znasz zatem nazwę tego miasta? - zapytała.

- Nie tylko - odparłem. - Wiem, że chodzi o posterunek policji w tym mieście w Ohio.

- W Ohio? - Patrzyła spode łba, sceptycznie, ręce miała złożone na piersi. - Tak jej raczej nie znajdziesz, a jeśli nawet, to co zamierzasz zrobić?

Pamiętam, jak się wtedy poczułem. Była wściekła i miała ku temu powody, więc po prostu przytaknąłem, nie przerywając pakowania.

Teraz, stojąc w blasku przedświtów pośrodku korytarza opustoszałego posterunku policji, unoszę zaciśniętą w pięść dłoń i opuszczam ją, jakby była kurkiem odbezpieczonej broni, uderzam nią w ścianę, o którą się opieram. Houdini odwraca łeppek, przygląda mi się uważnie, jego oczka lśnią w mroku niczym ogniki.

- Już w porządku - mówię, na co odpowiada ochryplym kasznięciem. - Okej. Szukajmy dalej.

* * *

Przy wejściu do holu znajduję tablicę upamiętniającą Daniela Arnolda Carvera z Rotary w stanie Ohio, który w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym przeszedł na emeryturę, dosłużywszy się rangi porucznika. Tuż obok spoczywa konstrukcja przypominająca odwróconą podkowę. Obklejono ją rysunkami dzieci: patykowaci pastelowi funkcjonariusze machają radośnie rękami pod napisem „Dziękujemy za oprowadzenie”, który jest tak równy, że musiał wyjść spod ręki tutejszej nauczycielki. Poszczególne kartki zwisają smętnie, klej na łączącej je taśmie dawno już wysechł. Pokryta grubą warstwą kurzu tablica jest lekko przekrzywiona.

Następne pomieszczenie znajduje się po lewej, tylko kilka kroków za rysunkami dzieci. Opisano je słowem: DETEKTYWI, choć zaraz po wejściu zauważam, że pracował tu tylko jeden człowiek. Samotne biurko, za nim obrotowe krzesło. Stacjonarny telefon z odciętym kablem, oddzielona od niego słuchawka spoczywa wciąż na widelkach, jakby była dekoracją sceniczną, nie prawdziwym urządzeniem. Pod sufitem wisi doniczka z martwą od dawna rośliną: wyschnięte pnącza pokryte są pozwijanymi brązowymi liśćmi. Obok zauważam na wpół zgniecioną plastikową butelkę po wodzie.

Wyobrażam sobie detektywa, który pracował w tym pomieszczeniu. Siedzi za biurkiem wygodnie odchyłony, powiedzmy, że dopracowuje ostatnie szczegóły nalotu na laboratorium produkujące metę, albo zżyma się, ale tak żartobliwie, na dyrektywy wymyślane przez bezmózgowców z działu administracji. Węszę przez chwilę, mając wrażenie, że wyczuwam w zastałym powietrzu smród dymu z palonych przez niego cygar.

Jej cygar tak naprawdę. Bo to nie facet, tylko kobieta. Na biurku leży opasyły oprawiony w skórę dziennik, na którym w prawym

górnym rogu okładki widnieje napis: Detektyw Irma Russell.

- Wybacz pani, detektywie Russell - mówię, kierując te słowa do niej, gdziekolwiek teraz przebywa, po czym salutuję pustce jej gabinetu. - Powinienem był się domyślić.

Raz jeszcze wspominam funkcjonariuszkę McConnell. Pocałowała mnie, stając na palcach, na sam koniec, gdy byłem już w drzwiach. Potem pchnęła mocno oburącz, posyłając na tę wyprawę.

- Idź - powiedziała poważnie, ze smutkiem w głosie. - Głupcze.

Błady blask przedświtów nie jest w stanie przebić grubej warstwy brudu zalegającej na jedynym oknie pokoju, włączam więc ponownie latarkę i zawisam nad dziennikiem detektyw Russell, by go przewertować. Pierwszy wpis zrobiła w nim zaledwie siedemnaście miesięcy temu. Czternastego lutego. Dokładnie w walentynki zanotowała, równiutkim pochyłym pismem, że w całym kraju odcięto dostawę prądu do budynków użyteczności publicznej, więc od tej pory wszystkie zapisy będą robione ręcznie, na papierze.

Kolejne wpisy są mimowolnym świadectwem powolnego upadku. Dziesiątego marca doszło do niewielkich rozruchów przed magazynami żywności w pobliskim hrabstwie Brown, zamieszki rozlały się szybko na całą okolicę, skutkując „niepokojami społecznymi na niespotykaną skalę”. Trzydziestego marca detektyw Russell zanotowała, że poziom gotowości operacyjnej miejscowej policji został znacznie osłabiony z powodu zmniejszenia liczebności załogi posterunku o całe trzydzieści pięć procent. („Jason odszedł!!!” podsumowała wpis zwięźle, wyrażając mnogością wykrzykników ogromne zaskoczenie, a nawet oburzenie). Dwunastego kwietnia ujęto „Gwałciciela Czasu Zagłady”, którym ku zdziwieniu wszystkich okazał się „Charlie ze spożywczaka Blake’a”.

Uśmiecham się. Lubię detektyw Russell. Nie przepadam za wykrzyknikami, mimo wszystko czuję, że to pokrewna mi dusza.

Przebiegam robione jej równym pismem notatki z kolejnych miesięcy. Ostatnia z nich, datowana na dziewiąty czerwca - to

zaledwie szesnaście tygodni temu – głosi: „Creekbed”, poniżej jest jeszcze dopisek: „Ojciec w niebiesiech, miej nas w opiece, proszę”.

Zamieram na moment pochylony nad tym dziennikiem. Houdini wbiega do pokoju, czuję, jak jego ogon uderza o moją nogawkę.

Wyjmuję z kieszeni niebieski zeszyt i zapisuję w nim: „Dziewiąty czerwca”, potem: „Creekbed” i jeszcze: „Ojciec w niebiesiech, miej nas w opiece, proszę”. Staram się pisać jak najciaśniej, maczką, ponieważ to już ostatni brulion, jaki mi został. Mój ojciec był wykładowcą na uczelni, po jego nagłej śmierci odziedziczyłem wiele pudeł podobnych zeszytów, ale większość zużyłem po wstąpieniu do policji, a resztę strawiły płomienie. Za każdym razem gdy sporządzam kolejną zwięzłą notatkę, odczuwam niepokój, ponieważ nie wiem, co pocznę, gdy zapełnię ostatnią ze stron.

Zamykam szuflady biurka detektyw Russell, potem odkładam jej dziennik. Pozostawiam go dokładnie tam, gdzie leżał.

* * *

W kieszeni mam również zdjęcie mojej siostry wycięte z rocznika pamiątkowego naszej szkoły. Trzymam je w czerwonym plastikowym etui po karcie uprawniającej do korzystania z biblioteki publicznej w Concord. Nico, podówczas drugoklasistka, puszy się na nim dumnie; ma na sobie czarny T-shirt i okulary w taniej oprawie, ale jej włosy pozostają rozczochrane. Dolna warga jest lekko wysunięta, usta wykrzywione, jakby mówiła: „Uśmiecham się wtedy, kiedy chcę, a nie na zawołanie”. Wiele bym dał za jej nowsze zdjęcie, lecz wszystkie pozostałe fotografie spłonęły podczas pożaru domu. Z drugiej strony, od chwili ukończenia szkoły minęło zaledwie osiem lat, więc to zdjęcie można uznać za aktualne, ponieważ przedstawia Nico Palace taką, jaka była i jest nadal. Palace świerzbią mnie, by powtórzyć jakże znajomy rytuał: odwrócić fotografię, pokazać ją napotykanym po drodze nieznanym i po

raz nie wiadomo który rzucić wyświechtaną formułkę: „Widzieliście tę dziewczynę?”.

Oprócz zdjęcia i brulionu mam w kieszeniach jasnobrązowej sportowej kurtki kilka innych podstawowych narzędzi dochodzeniowca. Dużą lupę, scyzoryk, trzymetrową zwijaną miarkę, drugą latarkę, mniejszą i cieńszą od tej, której używam teraz, oraz pudełko naboju kaliber .40. Pistolet, wydany mi trzy lata temu służbowy sig-sauer P229, spoczywa w kaburze na moim biodrze.

Drzwi magazynu dowodów otwierają się, potem zamykają z cichym kliknięciem zamka, więc podnoszę latarkę i oświetlam Corteza.

- Puszka farby w sprayu - mówi, pokazując niewielką zdobycz, po czym zaczyna nią entuzjastycznie potrząsać. - W połowie pełna.

- Świetnie - mruczę pod nosem. - Po prostu cudnie.

- Ale to naprawdę cud, panie policjant - rzuca Cortez, przyglądając się znalezionej puszcze z zachwytem godnym dziecka spragnionego prezentu. Obraca ją ostrożnie w tych wielkich łapskach. - Można nią oznaczać drogę albo użyć jako broni. Wystarczy świeca, spinacz, zapałka i *voilà*, mamy miotacz ognia. Widziałem, jak się to robi. - Puszczą do mnie oko. - I sam takie robiłem.

- Świetnie - powtarzam.

Tak właśnie zagaduje mnie Cortez, były złodziej, a teraz niechciany partner. Jakby ten świat miał trwać w nieskończoność, jakby on, jego nawyki i hobby miały przed sobą jakąś przyszłość. Wzdycha teraz ciężko i kręci głową, komentując tym gestem moją obojętność. Potem mija mnie bez słowa i znika w mroku niczym duch. Rusza w głąb holu, by szukać kolejnych zdobyczy. „Tu jej nie ma - szepcze mi do ucha funkcjonariuszka McConnell. Nie osądza, nie złości się nawet, po prostu stwierdza fakt. - Przebyłeś tak daleką drogę po nic, detektywie Palace. Jej tu nie ma”.

Słońce wschodzi. Jego przytłumiony blask zbliża się cal po calu do najmroczniejszego zakątka holu, gdzie stoję. Pies zniknął mi

z oczu, ale jest wciąż na tyle blisko, że słyszę jego pokasływanie.
Planeta chybotrze się pod moimi stopami.

2.

Obok drzwi biura detektyw Russell mieści się SALA ODPRAW, tu również znajduję wiele znajomych mi przedmiotów: z haków przytwierdzonych do ściany zwisają peleryny, jest tam także charakterystyczna granatowa policyjna czapka, pod nią dostrzegam parę ciężkich służbowych buciorów. To elementy typowego stroju patrolowego tutejszych gliniarzy. W jednym z kątów zauważam amerykańską flagę wetkniętą w tani stojak przedstawiający głowę orła. W dolnej części sporego bilbordru znajduje się tabliczka z wypisanymi zasadami BHP. W Concord mieliśmy identyczną. Detektyw McGully uwielbiał komentować na głos co ciekawsze fragmenty – z nieskrywaną pogardą, rzecz jasna.

- No pięknie. Dają nam nawet rady, jaką powinniśmy przyjąć postawę, gdy ktoś w nas strzela!

Pod tylną ścianą stoi przesuwana tablica zamontowana na chybotliwych kółkach. Wypisano na niej jedno zdanie, bez daty, za to podkreślone trzykrotnie: NIE DAJCIE SIĘ ZABIĆ, DUPKI. Uśmiecham się pod nosem na ten widok. Oczami wyobraźni widzę zmęczonego młodego sierżanta, który wypisuje tę wiadomość, kryjąc własny strach za pozorną gliniarską brawurą. NIE DAJCIE SIĘ ZABIĆ, DUPKI. „Miej nas w opiece, proszę”. Ostatnie miesiące nie były łatwe dla stróżów prawa. Wiem, co mówię.

Przepycham się przez drzwi po przeciwnej stronie sali odpraw i trafiam do o wiele ciaśniejszego pomieszczenia. To tutejsza kuchnia łamane przez pokój rekreacyjny: mam przed sobą zlewozmywak, lodówkę, kuchenkę mikrofalową, okrągły stół i czarne plastikowe krzesła. Uchylam drzwi chłodziarki i natychmiast je zatrzasuję, by powstrzymać gorącą falę dławiącego odoru zepsutej żywności, zgnilizny.

Przystaję na moment przed pustym automatem sprzedającym przekąski i przyglądam się zniekształconemu odbiciu w brudnym szkle. Na półkach nie ma ani jednego opakowania, widzę tylko gołe pręty i sprężyny. Co ciekawe, nikt nie zbił tej szyby, jak to miało miejsce w przypadku niemal wszystkich przeszklonych obiektów tego świata. Nikt nie potraktował tego urządzenia pałąką albo służbowym butem, by ograbić je z ostatnich skarbów.

Zakładam więc, że automat został opróżniony całe wieki temu, może przez detektyw Russell albo przez odchodzącego Jasona... choć moja teoria może być mylna. Przyklęknąwszy przed maszyną, zauważam plastikowy widelec, którym podparto czarną klapkę podajnika na samym dole, tego, z którego wyciąga się zakupione żarcie. Kieruję tam światło latarki, w jej blasku widać wyraźnie, że widelec jest mocno wygięty. Cieniutki plastik musiał powstrzymać napór ciężkiego metalu strzegącego dostępu do przekąsek.

Cholewicia, myślę sobie, ponieważ jeśli się nie mylę, mogę mieć przed oczami to, czego tak usilnie szukam.

Teoretycznie, rzecz jasna, ten wygięty widelec mógłby tu tkwić od bardzo dawna, nawet od kilku miesięcy, z drugiej jednak strony moja krnąbrna siostra zawdzięczała jedno z licznych zawiesznień w koledżu takiemu właśnie wyczynowi: w identyczny sposób włamała się do automatu w pokoju nauczycielskim, rabując z niego wszystkie opakowania czipsów ziemniaczanych i batoniki. Zostawiła jedynie odtłuszczony jogurt i kartkę z napisem: „Nie ma za co, tłuściochy”.

Odzyskawszy oddech, wyjmuję ostrożnie zgięty widelec. W kieszeni mam z tuzin woreczków śniadaniowych. Zanim ruszę dalej, zdobycz trafia do jednego z nich, a potem do kurtki.

Obie szafki zostały dokładnie przeszukane. Talerze porozrzucano albo porozbijano, filiżanki także walają się na podłodze. Z tego pogromu ocalały tylko dwa kubki. Pierwszy zdobi napis: WŁASNOŚĆ DEPARTAMENTU POLICJI W ROTARY, na drugim widzę: KONIEC Z MIŁOŚCIĄ, NA SZCZĘŚCIE JEST JESZCZE

SEKS. Przecieram piekące oczy, uśmiechając się pod nosem. Brakuje mi gliniarzy, i to bardzo.

Ciekawe, czy Nico tu była. Czy to ona opróżniła automat ze słodyczy?

Kran jest odkręcony, jakby ktoś próbował nabrać wody, zapomniawszy, że tutaj nic już nie działa. A może woda skończyła się w chwili, gdy używał tego zlewozmywaka? Jakiś gliniarz, odpoczywający w tym pomieszczeniu po długiej trudnej zmianie, napełnia kubek albo myje twarz, a tu nagle ciach i koniec.

W zlewozmywaku jest pełno krwi. To spory głęboki zbiornik ze stali nierdzewnej, ale gdy pochylam się na nim, wszędzie widzę kruszący się ciemny nalot, który musi być zaschniętą krwią. Nawet odpływ został nią zatkany. Kieruję latarkę na kran, w ostrym świetle dostrzegam na chromowanej powierzchni kilka smug układających się w odcisk zakrwawionej dłoni, którą ktoś przekręcał kurek.

NIE DAJCIE SIĘ ZABIĆ, DUPKI.

Nad zlewozmywakiem wisi poziomy uchwyt na trzy noże. Wszystkie są upačkane krwią, od końca ostrza po trzonek. Ten widok sprawia, że gdzieś tam w głębi moich trzewi formuje się bąbel obawy, ale i ekscytacji, który bardzo wolno zmierza w stronę przełyku. Obracam się pospiesznie, czując walące w piersi serce. Wybiegam przez salę odpraw do holu. Teraz, gdy wschodzące słońce zdołało się już przedrzeć przez pokryte brudem szyby, dostrzegam na podłodze krwawy ślad. Ledwie widoczne plamki prowadzą od feralnego zlewozmywaka, mijają przesuwaną tablicę, potem flagę i docierają do frontowych drzwi posterunku.

Detektyw Culverson, mój mentor, a zarazem przyjaciel, nazywał takie przypadki „tropieniem krwi”. Oznaczało to tyle, że szło się po śladach uciekającego podejrzanego albo szukającej ratunku ofiary. W takich przypadkach zwykł mawiać: „Podejmij trop i posłuchaj, dokąd cię zaprowadzi jego śpiew”. Potrząsam głową, przypominając sobie, jak wypowiadał te słowa, niby żartobliwym

tonem, co było jednak bardzo mylące, ponieważ Culverson miał gadane, oj, miał.

Tropię krew. Śladem skapujących kropel posoki, które spadały na lśniące kafelki co sześć, góra co osiem cali, docieram aż do frontowych drzwi. Tam trop się urywa, niknie w warstwie błota zalegającego na zewnątrz budynku. Przystaję więc w bladym świetle świtu. Znów pada, z nieba zaczyna kapać drobniutka mżawka. Mamy taką dżdżystą pogodę od kilku dni. Gdy docieraliśmy tutaj z Cortezem minionej nocy, musieliśmy narzucić kurtki na głowy. Cały ciągnięty na wózku dobytek ukryliśmy już dawno pod plandeką.

Gdziekolwiek udał się ranny, nie pozostał żaden ślad, który mógłby nam wyśpiewać jego historię.

Wracam do zakrwawionego zlewozmywaka, otwieram niebieski brulion na jednej z ostatnich czystych stron, by narysować wiszące na ścianie noże. Dwunastocalowy rzeźnicki, sześciocalowy tasak, trzyipółcalowy obierak, na którego trzonku pomiędzy nitami widać wciąż logo producenta, grawerowane litery W.G. Nanoszę na ostrza i ścianki zlewozmywaka ślady krwi, potem na czworaka raz jeszcze sunę krwawym tropem, dzięki czemu zauważam, że żaden ze śladów nie jest okrągły: niektóre są elipsowate, inne mają ostre dziobki. Pokonuję tę trasę po raz trzeci, bardzo powoli, przyglądając się wszystkiemu przez godną Sherlocka Holmesa lupę i czyniąc kolejne spostrzeżenie: elipsowate ślady biegną w jednym kierunku, na wschód, zaostrome natomiast w drugim, na zachód.

Byłem detektywem przez zaledwie trzy miesiące, awansowano mnie niespodziewanie i zwolniono równie pośpiesznie, gdy kontrolę nad policją w Concord przejął Departament Sprawiedliwości, nigdy zatem nie przeszedłem specjalistycznego przeszkolenia, od którego powinien zacząć się ten etap kariery. Nie jestem więc tak biegły w zabezpieczaniu miejsca zbrodni, jak bym chciał, a co za tym idzie, nie mogę mieć pewności, czy słusznie interpretuję zaobserwowane fakty. Mimo to czuję przekonanie, że mam do czynienia nie z jednym, tylko z dwoma

tropami. Różne kształty kropli znaczą tyle, że przez hol przeszedł ktoś krwawiący albo niosący zakrwawiony przedmiot. Najpierw w jedną stronę, potem w drugą.

Wracam do kuchni i raz jeszcze przyglądam się zlewozmywakowi pokrytemu zaschniętą posoką. Znów czuję mrowienie w trzewiach, chaos ponownie wkrada się do moich żył. Zbyt wiele kawy. Za mało snu. Nowe informacje. Nie wiem, czy Nico dotarła na ten posterunek, ale coś tu się wydarzyło. Tylko co?

* * *

Z siostrą poróżnił mnie nie nadciągający nieuchronnie koniec świata, tylko nasze jakże odmienne reakcje na jego nadejście. Totalna różnica zdań na temat tego, co musi się wydarzyć, a raczej tego, czy dojdzie do zagłady czy też niekoniecznie.

To już się dzieje. Miałem rację, Nico się myliła. Nigdy wcześniej nie sprawdzano tak rygorystycznie faktów, nie analizowano danych z taką dokładnością – i to po wielekroć – a zaangażowano do tej roboty tysiące profesorów, naukowców i przedstawicieli rządu. Wszyscy oni pragnęliby się mylić, ale na ich i nasze nieszczęście mają rację. Istnieje wprawdzie kilka punktów spornych, takich jak niewiadomy wciąż skład i struktura asteroidy. Nie mamy pojęcia, czy jej jądro jest zbudowane z metali ciężkich czy też ze zwykłej skały, czy mamy do czynienia z jedną gigantyczną bryłą czy ze skupiskiem mniejszych głązów. Istnieje także kilka teorii na temat tego, co wydarzy się po zderzeniu. Jak bardzo wzrośnie aktywność wulkaniczna i w jakich rejonach Ziemi. Jak szybko podniesie się poziom wody w oceanach i jak wysoko. Na jak długo Słońce zostanie przesłonięte całunem pyłu wzniesionego podczas kataklizmu. Panuje jednak pełna zgoda co do najważniejszych faktów: asteroida 2011GV1, zwana Mają, licząca sześć i pół kilometra średnicy i poruszająca się z prędkością czterdziestu tysięcy mil na godzinę, spadnie na Indonezję, uderzy w Ziemię pod kątem

dziewiętnastu stopni. To wydarzy się trzeciego października, w przyszłą środę, mniej więcej w porze lunchu.

Jakiś czas temu po Sieci krążyła animacja komputerowa, jej publikacja wywołała wiele burzliwych dyskusji – ale to było ponad rok temu, minionego lata, kiedy szanse na zderzenie oceniano na wysokie, lecz nie stuprocentowo pewne, a ludzie wciąż używali komputerów i chodzili do pracy. To był moment ostatniego nasilenia aktywności na portalach społecznościowych: ludzie szukali kontaktu z dawno niewidzianymi przyjaciółmi, szerzyli teorie spiskowe, zamieszczali własne listy życzeń, które chcieli spełnić przed śmiercią, bądź pomagali tworzyć je znajomym. Kreskówka czy też animacja, o której wspominałam, przedstawiała Ziemię jako piniatę i stojącego obok Boga dzierżącego kij bejsbolowy – siwobrodego starca o starotestamentowym wyglądzie, wyjętego z fresków Michała Anioła – którym dopóty uderza w naszą kruchą planetę, dopóki nie rozwali jej na kawałki. To była jedna z miliona interpretacji nadchodzącej zagłady, traktująca pojawienie się Mai jako wolę Boga, jego zemstę, coś w rodzaju potopu 2.0.

Mnie nie wydawała się jednak specjalnie przemyślana choćby dlatego, że Ziemia nie jest piniatą i nie eksploduje, nie rozleci się na kawałki jak stłuczona doniczka. Zderzenie z asteroidą wstrząśnie nią, to pewne, ale nie wytrąci jej z dotychczasowej orbity. Oceany się zagotują, lasy spłoną, góry runą, poleje się lava, wszyscy zginiemy, świat jednak nie przestanie istnieć.

Problem w tym, że Nico wierzy, iż może powstrzymać Maję od uderzenia w Ziemię. Nie sama, ale przy pomocy przyjaciół. Ostatni raz rozmawiałem z nią w Durham, jeszcze w New Hampshire, wtedy właśnie wprowadziła mnie ze szczegółami w tajne plany jej grupy działającej w ruchu oporu. Pochylała się mocno, mówiąc szybko, z pasją, odpalała papierosa od papierosa, niecierpliwa jak zawsze, gdy musiała przekonywać do czegoś swojego zapóźnionego starszego brata, powściągliwego niedowiarka. Wyjaśniła mi, jak można zmienić tor lotu asteroidy, detonując głowice nuklearne w pewnej odległości od jej

powierzchni, dosłownie na granicy pola rażenia, dzięki czemu promieniowanie doprowadzi do wyparowania jakiejś tam części masy, wywołując tak zwaną „reakcję zwrotną”, która zmieni trajektorię lotu Mai. Taka operację nazywa się w żargonie naukowym „pchnięciem korygującym”. Nie do końca rozumiem, na czym ono polega. Nico, jak zauważyłem, także nie miała o tym bladego pojęcia. Upierała się jednak, że Departament Obrony przeprowadził serię symulacji podobnych działań, które zakończyły się teoretycznym osiemdziesięciopięcioprocentowym sukcesem.

Gadała i gadała, a ja starałem się wysłuchać tej paplaniny z kamienną twarzą, nie wybuchając przy tym śmiechem, nie unosząc rąk ku niebu ani nie potrząsając swoją siostrą, aby oprzytomniała. Wszelkie informacje dotyczące pchnięcia korygującego – w jej mniemaniu – są bowiem skrzętnie ukrywane przez zły rząd z nieznanym nam powodów, nie wspominając już o tym, że znalazł się zbuntowany naukowiec, który wie, jak można tego dokonać, ale został schwytany i osadzony w jakimś tajnym rządowym więzieniu. Nico – jakżeby inaczej – wraz ze swoim kumplem Jordanem i całą resztą bandy zamierzali uwolnić tego człowieka i ocalić świat.

Powiedziałem jej na koniec, że bredzi. Wyjaśniłem, że to taka sama bujda jak Święty Mikołaj czy Wróżka Zębuszka, postaci, w które też kiedyś wierzyła. Wtedy obraziła się i odeszła, a ja na to pozwoliłem.

Teraz wiem, że popełniłem niewybaczalny błąd.

Nadal mam rację, a ona się myli, ale nie mogę przecież pozwolić, by zniknęła. Cokolwiek sobie myśli, cokolwiek robi, pozostanie moją siostrą, a ja jestem jedyną osobą, która może i powinna o nią dbać.

Nie mogę też znieść myśli, że ta idiotyczna sprzeczka będzie ostatnią rozmową, jaką odbyliśmy my, jedyni członkowie rodziny Palace'ów, jacy jeszcze żyją. Muszę ją więc odnaleźć, zobaczyć, zanim nastąpi koniec, zanim dojdzie do trzęsień ziemi, potopów czy co tam nas czeka.

Tak bardzo pragnę ujrzeć ją ponownie, że czuję niemal fizyczny ból, jakby ktoś przypiekał mi wewnątrzności żywym ogniem, więc jeśli nie uda mi się jej odnaleźć, jeśli nie zdołam jej zobaczyć, uściskać, przeprosić za to, że pozwoliłem na to rozstanie, ów ból może mnie pochłonąć, zanim dojdzie do zderzenia.

3.

- Noże? Serio? - Cortez spogląda na mnie. Oczy mu mocno lśnią.

- Takie duże i ostre?

- Dwa są spore. Trzeci to zwykły obierak. Nie mam pojęcia, czy nadal są ostre.

- Obieraki mogą być naprawdę przydatne. Można nimi porządnie poranić człowieka.

- Tak, wiem, widziałeś, jak to się robi, i sam to robiłeś - odpowiadam.

Uśmiecha się, puszcza do mnie oko. Ja przeciągam się, rozglądając wokół. Spotykamy się z Cortezem w garażu na trzy samochody, ostatnim nieprzeszukanym pomieszczeniu tego posterunku. Nie ma tu już samochodów, ale zostało trochę innych gratów: części silników, uszkodzone narzędzia i cała reszta zapomnianego bądź porzuconego złomu.

Pomieszczenie jest duże, wciąż bardzo cuchnie rozlaną dawno temu benzyną. Słońce z trudem przesącza się przez potwornie brudne szyby w niewielkich oknach zdobiących południową ścianę budynku.

- Noże zawsze się przydadzą - dodaje radosnym tonem Cortez. - Ostre czy tępe. Trzeba je zabrać.

Salutuje mi, jakby czegoś gratulował, po czym wraca do przerwanej roboty, czyli przeglądania zawartości regałów ustawionych w głębi pomieszczenia, naprzeciw szerokiej bramy garażu. Jego twarz wydaje mi się nienaturalnie wielka, wszystko na niej jest duże: czoło, szczeka, nawet te lśniące oczy. Facet sprawia wrażenie rubasznego, ale jest przy tym niezwykle zaciekły jak nie przymierzając, król piratów. Przy naszym pierwszym spotkaniu strzelił mi w głowę elektrycznym zszywaczem przemysłowym, ale od tego czasu nasze wzajemne stosunki uległy ogromnej poprawie. W trakcie niekończącej się

wędrówki niejednokrotnie dowiódł swojej przydatności: umie otwierać zamki za pomocą wytrychu, spuszczać paliwo z baków, ożywiać od dawna martwe pojazdy, odkrywać miejsca pełne przydatnych rzeczy tam, gdzie z pozoru wszystko zostało już dawno rozgrabione. Nie jest pomocnikiem, jakiego chciałbym mieć u swego boku, ale świat zmienił się ostatnio nie do poznania. Nie przypuszczałem także, że kiedykolwiek będę miał psa.

- Te noże były zakrwawione - wyjaśniam Cortezowi. - Dlatego wolałbym, aby zostały tam, gdzie leżą.

Zerka na mnie przez ramię.

- To krowia jucha?

- Niewykluczone.

- Świńska?

- Też możliwe.

Unosi dwuznacznie brwi. Jemy to, co zabraliśmy ze sobą, znajdziemy po drodze albo wytargujemy od napotkanych ludzi: przekąski, suszone mięso, ostatnio trafiły nam się foliowe torebki prażonych orzeszków w miodzie. W jeziorach Finger, używając prowizorycznych sieci, złowiliśmy kilka ryb. Natarliśmy je potem solą i wcinaliśmy przez pięć dni z rzędu. Pijemy tylko kawę, czerpiąc ziarna z wielkiego wora ziarnistej arabiki. Cortez przerobił znaną w jakimś biurze ostrzałkę do ołówków na młynek. Napełniamy kubki zabraną z Massachusetts wodą źródlaną, którą przewozimy w wielkich butlach. Gotujemy ją nad ogniskiem podczas postojów, wsypujemy zmieloną kawę, potem przelewamy do termosu przez drobne sitko, aby odcedzić fusy. Trwa to wieki, a o smaku naparu lepiej nie wspominać.

- Możesz zaparzyć kawy? - pytam Corteza.

- Mogę - odpowiada. - Świetny pomysł.

Wstaje, rozprostowuje kości, wyciąga z torby golfowej potrzebne akcesoria i zabiera się do rozpalania ognia. Ja w tym czasie rozmyślałam o krwi. Dwa tropy, jeden prowadzący z kuchni do wyjścia, drugi w przeciwnym kierunku.

Kawa się gotuje, Cortez wraca do poszukiwania skarbów, przekopuje systematycznie kolejne półki, wyciągając każdy przedmiot, jaki znajdzie, by obejrzeć go w lepszym świetle. Dokonuje szybkiej oceny, decyduje, czy może się przydać, a potem sięga po następny.

- Jakiś podręcznik - wylicza. - Magazyn porno. Pusty karton po butach. Okulary przeciwsłoneczne, niestety zepsute. - Rzuca przez ramię lustrzanki typowe dla chłopaków z drogówki, rozbijając je do reszty o chropowaty beton podłogi. - Kabura. Może się przydać. O Boże, dzięki ci. Lornetka, panie policjant.

Pokazuje mi ją, wielką, czarną, potem przykłada do oczu i spogląda w moim kierunku jak ptasiarz.

- Mam złe wieści - oświadcza moment później. - Wyglądasz jak kupa gówna.

Zabiera lornetkę, potem pakuje całą torbę baterii do komórek. Już dawno przestałem pytać, po cholere mu to wszystko, całe to zbieranie i sortowanie. Dla niego to gra, coś w rodzaju wyzwania: nie przestawaj zbierać użytecznych przedmiotów do samego końca świata, choć po zagładzie nikt niczego nie będzie potrzebował.

Jestem świadom, że na podłogach, nożach i kranie może znajdować się krew Nico. Za wcześnie jednak, by o tym myśleć, za wcześnie, by wyciągać pochopne wnioski.

Najbardziej prawdopodobny wydaje się scenariusz, że odkryłem ślady krwi kogoś obcego, a te trzy noże nie mają żadnego związku z prowadzonym przeze mnie dochodzeniem. To po prostu kolejny akt przemocy, jeden z niezliczonych tysięcy podobnych czynów, do jakich dochodzi każdego dnia. A jest ich coraz więcej. Niejedno widzieliśmy po drodze, jeszcze więcej nasłuchaliśmy się od ludzi, którzy albo pragnęli wyznać komuś winy, albo chętni byli swoimi wątpliwymi dokonaniem. Pewna staruszka mieszkająca z wnukiem w opuszczonym sklepie spożywczym przyznała mi się szeptem, że zastrzeliła człowieka dla kilku funtów mrożonych hamburgerów. Para, na którą trafiliśmy

w zajeździe, rozjechała złodzieja próbującego ukraść pikapa służącego jej od dawna za mieszkanie.

Miejsca, w których doszło do rozpadu więzi społecznych, te najgorsze ze wszystkich, gdzie panuje wyłącznie chaos i bezprawie, nazywamy czerwonymi miastami. Mamy określenia na każdy rodzaj rzeczywistości, jaki wykiełkował na ruinach naszej cywilizacji. Czerwone miasta: sama przemoc i gwałt. Zielone miasta: przyjazne, udające normalność. Niebieskie miasta: niby spokojne, takie, w których mieszkańcy nie wychodzą z ukrycia. Można w nich trafić na patrole Gwardii Narodowej albo regularnego wojska. Purpurowe miasta, czarne, szare...

Kaszlę w zaciśniętą dłoń, dławi mnie smród tego klaustrofobicznego garażu, odór wypalonych tu niegdyś papierosów i spalin. Brudna betonowa posadzka pomalowana w czarno-białą szachownicę.

Znajomy smród budzi wspomnienie. Nieostre na razie, odległe. Węszę ponownie, padam na kolana, podpieram się rękami.

- Panie policjant? - słyszę. Nie odpowiadam. Pełznę przed siebie, w kierunku środka pomieszczenia, z nisko zwieszoną głową, wpatrzony w podłogę. - Czyś ty oszalał? - rzuca Cortez, trzymając pod pachą pogiętą metalową skarbonkę, jakby to była futbolówka. - Jeśli tak, to stałeś się bezużyteczny i będę musiał cię zjeść.

- Możesz mi pomóc?

- W czym?

- Niedopałki - odpowiadam, ściągając sportową kurtkę. - Pomóż mi, proszę, znaleźć niedopałki.

Pełznę po podłodze od tylnej ściany do drzwi i z powrotem. Rękawy koszuli mam podwinięte, dłonie potwornie brudne. Używając szkła powiększającego, sprawdzam każdy kwadrat, czarny na przemian z białym. Cortez zastanawia się chwilę, potem odstawia metalowe pudełko i zaczynamy pełzać razem, ramię w ramię, wolno, mocno pochyleni jak nie przymierzając, krowy na pastwisku, nie odrywając wzroku od posadzki.

Roi się tutaj od niedopałków, co jest oczywiste, przecież to garaż, więc podobnie jak na parkingu każdy tu popalał i kiepował. Pełzniemy jednak przez kurz i pył, wyławiając każdą reszkę papierosa, jaką zdołamy dostrzec. Gdy kończymy, przykucam nad zdobyczą i zaczynam ją rozkładać na dwa stosy, oglądając dokładnie każdy niedopałek. Po obejrzeniu, czasem pod światło, trafiają na właściwe miejsce. „Pasujące” i „niepasujące”. Cortez pogwizduje podczas zbierania, od czasu do czasu mamrocząc pod nosem: „Co za idiotyzm”. Większość kiepów to jakaś bezmarkowa taniocha, na filtrach nie ma żadnych nazw. Trafiają się nawet samoróbki, skręcane ręcznie z białego papieru wypełnionego pokruszonym tytoniem.

Ale po jakichś dziesięciu, może piętnastu minutach...

- Jest.

Mam go. Podnoszę z podłogi kawałek pomiętego papieru, który moment wcześniej wyłowilem wzrokiem. Przyglądam mu się uważnie w promieniach bladego wciąż słońca. Mam go.

- No - rzuca Cortez. - Najprawdziwszy pet. Wiedziałem, że nam się uda.

Nie odpowiadam. Znalazłem go, wiedziałem, że tak będzie, ponieważ podpowiadał mi to instynkt policjanta. Zwyczajnie wyglądający niedopałek, zbrązowiały i brudny, rozgnieciony na miazgę obcasem, z rozdartej bibułki wysypują się kruszyny tytoniu. Trzymam go dwoma palcami, bardzo ostrożnie, jakbym miał w ręku zabitego przed momentem owada.

- Była tutaj. - Wstaję, rozglądam się po garażu. - Była tutaj.

Teraz to Cortez nie odpowiada. Wciąż gapi się na podłogę - coś innego przykuło jego uwagę. Serce łomocze mi w piersi, uderza o żebra i cofa się niczym fale przyływu.

Rynek tytoniowy, jak każda branża związana z używkami, załamał się podczas powolnego procesu rozpadu cywilizacji. Zapotrzebowanie rosło gwałtownie, ale produkcja stanęła, więc zapasy kurczyły się z dnia na dzień. Większość palaczy, zarówno starych jak i nowych, zadowalała się tanimi, paskudnie smakującymi podróbkami albo robiła skrety z zaoszczędzonego

tytoniu. Ale nie moja siostra, nie Nico. Ona, nie wiem jakim cudem, wciąż miała dostęp do swojej ulubionej marki.

Unoszę niedopałek jeszcze wyżej. Obwąchuję go. Łączę jego obecność z plastikowym widelcem, który ugiął się pod jarzmem klapy zabezpieczającej automat z przekąskami, a wnioski, jakie wysnuwam na podstawie wysłuchania śpiewu tych dwóch dowodów, skłaniają mnie do jednej konkluzji: to prawda. Biedna otumaniona Abigail nie wskazała posterunku w Rotary na chybił trafił. Nico i jej bohaterska banda przygodnych zbawicieli świata naprawdę tutaj byli. Jestem niemalże przekonany, że siostra zostawiła ten niedopałek celowo, że pomimo moich utyskiwań nie rzuciła palenia przez tak wiele lat, by dać mi dzisiaj czytelny dowód swojej obecności w tym miejscu. Niestety mam świadomość, że to mrzonki – paliła cały czas, ponieważ jest uzależniona od nikotyny, a poza tym lubi mnie wkurzać.

- Była tutaj – powtarzam Cortezowi, który wciąż mruczy coś pod nosem, obmacując uważnie podłogę. Wsuwam niedopałek do woreczka i umieszczam go w kieszeni kurtki. - I nadal może tu być.

- Powiem ci coś znacznie ciekawszego – stwierdza, spoglądając na mnie z podłogi, na której przyklęknął. - Tutaj są jakieś drzwi.

* * *

Bawiłem się z Nico w chowanego, odkąd pamiętam.

W weekend po pogrzebie – tym drugim, naszego ojca, w czerwcu pamiętnego roku, gdy kończyłem dwanaście lat – pracownicy firmy przeprowadzkowej kręcili się po naszym domu, pakując do kartonów całe moje życie, wynosząc stosy komiksów, rękawicę bejsbolową, nasze podwójne łóżko. Jedna ciężarówka pomieściła wtedy cały nasz świat. W pewnym momencie dotarło do mnie, że już od kilku godzin nie widziałem młodszej siostry. Zdjęty panicznym strachem pognąłem więc do domu, omijając objuczonych tragarzy, otwierając na oścież drzwi do każdej pustej zakurzonej szafy, nie przeoczyłem w tych poszukiwaniach nawet piwnicy.

Ganiałem później po bocznych uliczkach Concord, nie zważając na kałuże, które pojawiały się na chodnikach po każdym ulewnym letnim deszczu. Bez przerwy wykrzykiwałem jej imię. W końcu znalazłem Nico w White Parku, chichoczącą, ukrytą pod jedną ze ślizgawek. Opaliła się mocno, ponieważ miała na sobie tylko kusą sukienkę, ale nie zważała na to, skupiając się na wypisywaniu patykiem własnego imienia. Zmierzyłem ją groźnym spojrzeniem, krzyżując chude ręce na piersi. Byłem wściekły, kotłowały się we mnie emocje z powodu jakże świeżej żałoby i przeprowadzki. A wtedy ona, zaledwie sześciolatka, uniosła rękę i poklepała mnie po policzku.

- Myślałeś, że ja także odeszłam, prawda, Hen? - Zerwała się z ziemi, chwyciła moją dłoń w obie maleńkie rączki. - No powiedz, że tak było.

Dziś jestem na posterunku policji w Rotary, niecały tydzień przed końcem świata. Chodzę w kółko mocno pochylony jak jakiś lunatyk, palce świerzbiam mnie, gdy przyglądam się klęczącemu wciąż Cortezowi, który kombinuje, jak otworzyć odkryte wejście.

Znalezienie tajnego wjazdu w policyjnym garażu powinno być dla mnie zaskoczeniem, ale nie jest. To jedna z rzeczy, które ostatnimi czasy robią chyba wszyscy ludzie na świecie. Kopia albo znajdują dziury, aby móc się w nich ukryć. Armia Stanów Zjednoczonych, tak przynajmniej głoszą plotki, stworzyła cały system zabezpieczonych ołowiem bunkrów, w których mają się schronić najwyżsi oficerowie i urzędnicy państwowi. Podziemne pancerne miasto ciągnie się ponoć od Pentagonu aż do Arlington. W miasteczku West Marlborough w stanie Teksas od trzech miesięcy są prowadzone prace ziemne, dzięki którym tamtejsi mieszkańcy będą mogli schronić się w ogromnym bunkrze umiejscowionym pod uczelnianym stadionem piłkarskim.

Co bardziej rozgarnięci eksperci podchodzą jednak bardzo sceptycznie do tego rodzaju przedsięwzięć - zarówno rządowych, jak i prywatnych - ponieważ miliony obywateli naszego kraju także budują schrony na wzór dawnych zimnowojennych instalacji. Jakby byli w stanie wkopać się tak głęboko, by uniknąć

skutków zderzenia. Jakby mogli znieść tam wystarczającą ilość zapasów, by przetrwać do czasu, gdy słońce znów się pojawi na niebie.

- Szlag - mamrocze Cortez.

Używając mojej lupy, przygląda się uważnie podłodze, ostukując ją masywnymi kostkami.

- Co? - pytam, po czym rozkasuję się na dobre zdjęty strachem, wycieńczony, podekscytowany.

Sam już nie wiem, dlaczego gardło tak mnie pali. Stoję tuż za nim, zaglądając mu przez ramię, przestępując nerwowo z nogi na nogę. Sporo czasu już upłynęło od chwili, gdy się zatrzymałem. Minuty śmigają jak gwiazdy wokół statku przekraczającego prędkość światła w tandetnym serialu science fiction.

Zerkam na zegarek. Jest za piętnaście dziesiąta. Czy to w ogóle możliwe?

- Dasz radę otworzyć te drzwi czy nie? - pytam zniecierpliwiony.

- To nie drzwi - odpowiada mocno spocony, odgarniając włosy sprzed oczu. - I na tym polega problem.

- Co znaczy, że to nie drzwi? - mówię zbyt szybko, zbyt głośno. Nawet własne słowa zaczynają mnie irytować. Chyba zacznę dostawać lekkiego kręćka. - Przecież sam powiedziałaś, że to są drzwi.

- *Mea culpa*. Drzwi mają zazwyczaj zamek, gałkę, która je otwiera. - Wskazuje palcem podłogę. - A to jest pokrywa. Jak w kanale. Pod nią znajduje się zejście, które zostało dokładnie zamaskowane. - Wskazuje cztery miejsca, w których dostrzegł rzekomo ślady słupków podtrzymujących stojące tu wcześniej poręcze. Znacznie wymowniejsze wydają się jednak cztery betonowe płyty, dwie jasne i dwie ciemne, które położono tutaj znacznie później od pozostałych. - To jest pokrywa. Te cztery płyty tak naprawdę stanowią jedną. Ci goście mieli betoniarkę, odlali płytę w całości, odcisnęli na powierzchni odpowiedniej wielkości kształty, a potem pomalowali je tak, by pasowały do reszty. Na koniec przycięli płytę dokładnie i zasłonili nią otwór - wyjaśnia, oddając mi szkło powiększające. - Widzisz te szczeliny?

Szczerze powiedziawszy, nie widzę. Nie dostrzegam żadnego z opisanych przez niego szczegółów.

Cortez wstaje, przeciąga się, odchylając mocno we wszystkie strony.

- Wzór tutaj, na krawędziach, trzeba było poprawić, doszlifować. Reszta to robota maszynowa. Ale to tutaj zrobiono ręcznie, widzisz?

Gapię się na podłogę, rozwieram powieki tak szeroko, jak tylko mogę. Jestem taki zmęczony. Cortez wzdycha ciężko, po czym rusza w stronę drzwi garażu.

- Patrz - mówi, otwierając je na oścież. - Widzisz?

Całe pomieszczenie wypełniają nagle tańczące w powietrzu drobinki, są ich miliony.

- To pył.

- Właśnie. Beton to ściśnięte bardzo mocno drobinki kamienia. Ktoś musiał użyć wyrzynarki albo innego narzędzia, żeby wyrównać krawędzie pokrywy, i dlatego jest tu teraz tak dużo pyłu.

- Kiedy? - pytam. - Kiedy to zrobiono?

- Przestań pan tak dyszeć, panie policjant. Głowa ci się oderwie i odleci jak balon, jeśli nie przestaniesz.

- Kiedy to zrobiono?

- Może wczoraj, a może tydzień temu. Jak już mówiłem, przy obrabianiu betonu powstaje sporo pyłu.

Przykucam, potem wstaję. Sięgam do kieszeni, wyczuwam w niej zdjęcie Nico, widelec i niedopałek zamknięty teraz w szczelnym woreczku. Znów kucam. Ciało odmawia pozostania w bezruchu. Czuję krążącą w moich żyłach kawę.

Pył kłuje mnie w oczy, ale wydaje mi się, że w końcu dostrzegam tę wąską jak włos linię oddzielającą krawędź podłogi od pokrywy. Nico jest gdzieś pod nią. Nico i cała reszta jej bandy. Przyjechali tutaj, by zbudować coś na kształt bazy ukrytej pod warstwą betonu stanowiącego podłogę starego garażu. Czekają tam, w dole, na kolejny akt intrygi - a może poddali się już i ukryli jak te strusie, które chowają głowy w piasek.

- Weźmy łomy - proponuję. - Podważmy ją.
- Nie da rady.
- Dlaczego?
- Ponieważ potrzeba by do tego siły, jaką niestety nie dysponujemy.

Spoglądam po sobie; zawsze byłem szczupły, a teraz, po miesiącach wsuwania batoników Muesli i picia kawy, wyglądam jeszcze marniej. Cortez po przymusowym odchudzaniu stał się bardziej żylasty, ale i jemu daleko do tytułu Mister Universum, innymi słowy, jest z pewnością silniejszy ode mnie, ale na pewno to nie mocarz.

- Łom też w niczym nam nie pomoże - dodaje, zwijając powoli papierosa wypełnionego tytoniem z kapciucha noszonego w torbie golfowej.

- Co zatem zrobimy? - pytam, a on wybucha śmiechem, obserwując, jak krążę nerwowo po garażu.

- Właśnie się nad tym zastanawiam, człowieku. Kombinuję. A ty łaż tak dalej w kółko. Za jakiś czas wywalisz się jak długi i dopiero będzie zabawa.

Nie zatrzymuję się. On kpi ze mnie w żywe oczy, ale i tak nie zwalniam kroku. Nie mogę się zatrzymać, więc orbituję wokół tej pokrywy jak planeta okrążająca gwiazdę. Wracam myślami do jednego z pomagierów mojej siostry, do człowieka, którego próbowałem odszukać w Concord. Do nieznanego mi z nazwiska Jordana. Nico przedstawiła mi go na uniwerku, gdy poszła tam ze mną, by pomóc w rozwiązaniu ostatniej sprawy. Facet zajmował podobno - tak przynajmniej twierdziła - eksponowane stanowisko w ich porąbanej konspiracji. Najbardziej uderzyło mnie w nim to, że ironizował za każdym razem, gdy otwierał usta. Ona traktowała sprawę z najwyższą powagą - w końcu mieli ratować świat - natomiast on zdawał się tym wszystkim bawić, jakby to była zwykła zgrywa. Moja siostra nie zauważała albo nie chciała widzieć jego nastawienia, więc ich związek stał się kolejnym powodem mojego niepokoju. Ostatnim razem widziałem Jordana tuż po tym, jak Nico odeszła, odleciała helikopterem. Czynił

wtedy aluzje, oczywiście w podobnie prześmiewczym tonie, że istnieje znacznie więcej tajemnic i aspektów tej intrygi, o których moja siostra nie ma bladego pojęcia.

A kiedy wróciłem do niego, żeby zapytać, dokąd u licha poleciała, zastałem wyłącznie Abigail, zagubioną porzuconą dziewczynę, która skierowała mnie tutaj, do Ohio, do Rotary, do tych drzwi w podłodze.

- Musimy tam zejść.

- Pozwól, że to powiem - rzuca Cortez. - To może być niewykonalne.

- Musimy.

Wydmuchuje obłoczek dymu, po czym obaj wbijamy wzrok w podłogę. Jordan tam jest. Wiem o tym. Nico też, oddziela nas tylko ta płyta z zimnego betonu, więc jedyne, co musimy zrobić, to rozwalić ją albo usunąć z drogi. Robię głęboki wdech, śpiewam wers jakiejś piosenki, staram się ze wszystkich sił uspokoić rozgorączkowany umysł na tyle, abym mógł wymyślić sensowny plan, opracować strategię działania. W tym samym momencie do garażu wbiega Houdini, słyszę, jak jego pazurki skrobią po powierzchni betonu. Coś jest nie tak. Szczeka jak szalony, tak głośno, że zbudziłby zmarłego.

4.

- To pewnie opos - sapie Cortez, gdy wbiegamy między drzewa. - Albo durny pies chce ci pokazać wiewiórkę.

To jednak nie opos ani wiewiórka. Tyle mogę powiedzieć po tempie, w jakim Houdini wyrywa do przodu, jak pędzi, nie zważając na zranioną łapkę, jak pokonuje zarośla miarowymi susami. Biegniemy za nim przez gęsty las rosnący tuż za posterunkiem, przeskakujemy nad kolejnymi krzewami, jakby świat już stał w ogniu. Tu nie może chodzić o oposa ani o wiewiórkę.

Zbiegamy po zachodnim stoku, wzdłuż mulistego koryta jakiegoś strumyka, zapuszczamy się głębiej w knieje, w końcu stajemy na niewielkiej owalnej polanie o średnicy jakichś dwudziestu pięciu stóp. Cortez i ja musimy przedrzeć się przez pas gęściejszych zarośli, ale Houdini przemyka pod nimi, nie zważając na to, że kolce znów rozcinają mu skórę. Mój partner trzyma w ręku toporek, wiem jednak, że w kieszeni jego długiego czarnego płaszcza kryje się też obrzyn. Wyszarpuję z kabury sig-sauera, wyciągam go przed siebie, trzymając oburącz.

Rozstawiamy się na skraju polany, tworząc półokrąg: człowiek, pies, człowiek. Wszyscy mocno dyszymy, wszyscy wpatrujemy się w ciało. To dziewczyna, leży twarzą do ziemi.

- Chryste - mamrocze pod nosem Cortez. - Boże Wszchemogący. Ja nic nie mówię. Nie mogę złapać tchu. Wchodzę na polanę, próbując się uspokoić. Raz ją widzę, potem wszystko ciemnieje, to znów tonie we mgle, wzrok figle mi płata. Dziewczyna ma na sobie kompletne ubranie, dżinsową spódniczkę, jasną bluzkę, brązowe sandały. Ręce wyrzuciła przed siebie, jakby zginęła, płynąc albo sięgając po coś.

- To ona? - pyta Cortez zniżonym głosem.

Trzy kroki wystarczają, bym dotarł do ciała, ale już wcześniej zauważam, że to nie może być ona. Nie te włosy, nie ten wzrost. Moja siostra nigdy nie nosiła też dżinsowych spódniczek.

- Nie. - Tylko tyle mogę z siebie wydusić.

Zalewa mnie fala ulgi, a moment później napływa poczucie winy, które rozpuszcza to pierwsze doznanie. Znaleziona na polanie dziewczyna nie jest moją siostrą, ale musi być czyjąś żoną, córką albo przyjaciółką. Jest dla kogoś ważna. A raczej była. Leży teraz twarzą ku ziemi pośrodku lasu, z wyciągniętymi przed siebie rękami. Dopadli ją po szaleńczym pościgu. Sześć dni przed końcem tego wszystkiego.

Cortez staje obok mnie, ściska w dłoni toporek jak jaskiniowiec maczugę. Zagłębiliśmy się w ten spokojny las na ćwierć mili, więc parterowy budynek posterunku policji zniknął nam z oczu. Z tego miejsca nie widać też innych zabudowań miasteczka zwanego Rotary, które leży za wzgórzem, po drugiej stronie gęstwiny. Równie dobrze moglibyśmy stać teraz pośrodku głuszy, zagubieni w magicznie zielonej krainie, otoczeni kwieciem, błotem i pożółkłymi liśćmi, które pokrywają ziemię.

Przykucam przy ciele dziewczyny, obracam ją na plecy, potem delikatnie ścieram brud z policzków i oczu. To Azjatka, całkiem ładna, o bardzo delikatnych rysach twarzy. Czarne włosy, blade policzki. Wąskie różowe usta. W obu uszach zauważam niewielkie kolczyki. Stoczyła zaciętą walkę, jej oblicze pokryte jest otarciami i sińcami, wliczając w to spore limo pod prawym okiem, które tak opuchło, że ledwie je widać. Poderżnięto jej gardło. Szeroka rana zaczyna się przy prawym uchu i biegnie nierówną linią aż do lewego. To naprawdę odrażający widok, rozcięcie odsłania wnętrze krtani, wciąż czerwone i wilgotne, odcinające się ostro od reszty bladego ciała. Krew zdążyła już zaschnąć na obrzeżach rany.

Cortez przyklęka obok mnie w błocie, mamrocząc:

- Ojciec nasz, któryś jest w niebie.... - Posyłam mu pytające spojrzenie, więc odpowiada uśmiechem, niemniej widzę, że jest

mocno zaniepokojony. - Tak, wiem - rzuca. - Jestem pełen niespodzianek.

Patrzę na ciało, na kark dziewczyny, przypominając sobie wieszak nad zlewozmywakiem i te trzy noże, rzeźnicki, tasaczek i obierak, wszystkie upaprane krwią. W chwili gdy zamierzam wstać, ona zaczyna oddychać. Jej pieś unosi się ledwie dostrzegalnie, po czym opada. I jeszcze raz.

- Hej... - mówię. - Nie...

- Co? - pyta Cortez, gdy kładę rękę na jej szyi, tuż pod jabłkiem Adama, pod tą straszną raną, by sprawdzić puls. Wyczuwam pod opuszkami palców leciutkie poruszenie.

Ona nie ma prawa żyć, ta dziecina przeleżała w takim stanie całe godziny, powinna być martwa, a mimo to... Pochyliam głowę i wsłuchuję się w słaby oddech. Jest mocno odwodniona, język ma opuchnięty, wargi spękane.

Podnoszę ją bardzo ostrożnie, potem układam wygodnie na rękach, by jej głowa spoczęła na mojej piersi, jakby była niemowlęciem.

- To moja wina - szepczę.

- Co? - dziwi się Cortez.

- To wszystko moja wina.

Przybyliśmy zbyt późno. To poczucie przepała się z serca w kierunku twarzy. Stoję pośrodku lasu, tuląc ofiarę. Cokolwiek się tutaj wydarzyło, miało miejsce wiele godzin temu. Nie zdążyliśmy z mojej winy. Za późno opuściliśmy Concord, robiliśmy zbyt wiele postojów. Ja na nie nalegałem, więc to wyłącznie moja wina, jak zawsze.

I jeszcze ta dziewczyna, która wybiegła z lasu dziesięć mil za Seneca Falls. Razem z bratem próbowała uwolnić zwierzęta z miejscowego zoo. Biedne stworzenia pozostawiono w klatkach bez pożywienia i wody, ale wypuszczony tygrys nie okazał wdzięczności, tylko zagonił jej brata na drzewo. Wszystkiego dowiedzieliśmy się z potoku wypowiedzianych pospiesznie słów. Cortez od razu stwierdził, że to pułapka i powinniśmy jechać dalej. Siedzieliśmy w wózku golfowym znalezionym w jakimś

snobistycznym klubie opodal Syracuse - ale ja się uparłem, powiedziałem, że tego nie zrobię, że musimy jej pomóc, a gdy zapytał dlaczego, odparłem, że przypomina mi siostrę. Zaśmiał się wtedy, po czym otworzył drzwiczki wymierzonym w dziewczynę obrzyłem.

- Tobie wszystko kojarzy się z siostrą - rzucił.

Epizod z tygrysem kosztował nas pół dnia, a przecież po drodze było wiele innych czerwonych i szarych miast. W Dunkirk ocaliliśmy z pożaru starsze małżeństwo. Wyprowadziliśmy tych nieszczęsnych ludzi z płonącego apartamentowca w zrujnowanym centrum, ale nie mogliśmy nic więcej dla nich zrobić ani zabrać ich ze sobą, więc zostawiliśmy staruszków, tak jak stali, na schodach lokalnej remizy.

Pada deszcz, robi się zimno. Jest późny ranek. Zaniepokojony pies krąży pomiędzy drzewami po mokrej ziemi usłanej zeschniętymi liśćmi. Ruszam w drogę powrotną na posterunek, niosąc na rękach nieprzytomną dziewczynę niczym nowożeniec. Cortez idzie przodem, wymachując toporkiem, wycinając gałęzie i krzewy blokujące mi drogę. Utykający znów Houdini człapie za nami.

5.

Nazwaliśmy go Dom Policjanta, ponieważ taką propozycję przegłosowały dzieciaki. To wielka chałupa stojąca pośrodku lasu w Massachusetts, opodal kropki na mapie podpisanej słowem Furman. Zajęła ją grupa gliniarzy – w tym paru emerytowanych funkcjonariuszy – sprowadzając tam dzieci i przyjaciół, by wszyscy mogli przetrwać ostatnie dni w odosobnieniu, względnym bezpieczeństwie i towarzystwie podobnie myślących ludzi. Tam właśnie mieszkałem razem z Trish McConnell i jej dziećmi, a także z paroma dawnymi kumplami i całkiem nowymi znajomymi. Stamtąd wyruszyłem na poszukiwanie siostry.

Najwyższą kondygnację Domu Policjanta zajmowała niemłoda już siwowłosa kobieta, Elda Burdell, którą nazywano Sową bądź po prostu Ptakiem. Funkcjonariuszka ta odeszła na emeryturę w stopniu detektywa sierżanta jakieś dwa lata przed moim wstąpieniem do służby, ale w naszej małej policyjnej społeczności pełniła funkcję nieformalnego nestora, a może raczej mędrca. Nie przywódca, tylko osoba, która siedzi na stryżku w bujanym fotelu, popijając piwko, którego nawiozła tu kilka skrzynek, i udziela porad każdemu, kto o nie poprosi. Dzieciaki pytały ją, które jagody nie są trujące. Funkcjonariusze Capshaw i Katz dowiedzieli się od niej, jaka przynęta będzie najlepsza do łowienia pstrągów w rwącym strumieniu, który przepływa niespełna ćwierć mili od naszej kryjówki.

Dwudziestego trzeciego sierpnia wieczorem, dzień po wypadzie do Concord i odwiedzeniu Abigail, wspiąłem się po stromych schodach na stryż, by przedyskutować kilka kwestii związanych z planowaną wyprawą.

Sowa zaproponowała mi butelkę pabsta, lecz odmówiłem, po czym obgadaliśmy dość szybko konieczne przygotowania. Na

koniec, gdy stałem już jedną nogą za progiem, spojrzała na mnie, uśmiechając się pod nosem.

- Co jeszcze cię gnębi, synu?

- Cóż... - zawahałem się i jak zwykle w takich sytuacjach zacząłem skubać wąsa. - Chciałbym poznać twoją opinię na pewien temat.

- Nawijaj.

Pochyliła się mocniej w fotelu, składając ręce pomiędzy nogami, więc streszczając się, przystąpiłem do wyłuszczenia sprawy: powiedziałem o zbuntowanym naukowcu pracującym uprzednio dla Centrum Kosmicznego, o głowicach nuklearnych, które zebrano gdzieś na terenie Wielkiej Brytanii, o pchnięciu korygującym.

Sowa uniosła w tym momencie dwa palce, pociągnęła łyk piwa, po czym rzuciła:

- Pozwól, że ci przerwę. Chcesz mnie zapytać, czy pchnięcie korygujące jest możliwe.

- Słyszałaś o tym?

- Boziu droga. Ja o wszystkim słyszałam. - Odstawiła pabsta i wyciągnęła kruchą dłoń. - Podaj mi, proszę, ten czerwony skoroszyt.

I okazało się, że funkcjonariuszka Burdell przestudiowała wszystkie scenariusze: zebrała nie tylko dane na temat każdej w miarę sensownej teorii, ale także wszystkie rojenia natchnionych zbawców świata.

- To pchnięcie korygujące, o którym wspomniałeś, młodzieńcze - zaczęła - należy do ścisłej czołówki najbardziej fantastycznych rozwiązań. Może nawet mieści się w pierwszej piątce. To znaczy jest równie prawdopodobne jak wszelkie fantazjowanie o przyciąganiu i odpychaniu, o grawitacyjnym ściągaczu czy wzmocnionym efekcie Jarkowskiego. - Otworzyła skoroszyt na właściwej stronie, przyjrzała się z rozbawieniem kolumnie liczb. - Ludzie bardzo liczyli na wzmocniony efekt Jarkowskiego. Nazwa jest fajna, ale to nie miało szans zadziałać. Nikomu nie udało się

zrobić dokładnych pomiarów tego cholernego pola magnetycznego.

Kiwnąłem głową. Wszystko dobrze, ale ten naukowy bełkot mnie nudził. Chciałem prostej odpowiedzi: tak czy nie.

- A co z tym całym pchnięciem korygującym?

Sowa odchrząknęła, przekrzywiła głowę i posłała mi ostre spojrzenie. Nie lubi być poganiana.

- To samo - odpowiedziała. - Trzeba by dysponować precyzyjnymi wyliczeniami i odpowiednim sprzętem. Może i ten facet z Centrum Kosmicznego coś tam wie, może nawet udało mu się wyliczyć dokładnie prędkość obiektu, ale nie może mieć dostępu do sprzętu, bo on po prostu nie istnieje. Trzeba by specjalistycznej rakiety, która wyniosłaby te głowice w przestrzeń, skonstruowanej wyłącznie po to. Trzeba by znać dokładny skład, strukturę i prędkość celu. Gdybyśmy mieli kilka lat, pewnie znalazłby się ktoś, kto zdołałby to wszystko obliczyć i zbudować. Gdyby odpalono te głowice dziesięć lat temu, może zmiana kursu pozwoliłaby na ominięcie Ziemi o przysłowiowy włos. - Pochyliła się jeszcze bardziej. - A ty mi mówisz, że ktoś chce tego dokonać teraz? - Popatrzyła na zegarek, potrząsając głową. - Ile nam zostało... miesiąc? Półtora miesiąca?

- Czterdzieści dwa dni - odpowiedziałem. - Zatem twierdzisz, że nie ma na to szans?

- Nie ma. Więcej powiem: to jest kompletnie, absolutnie niewykonalne.

Podziękowałem jej jak najuprzejmiej i zszedłem na dół, by dokończyć pakowanie rzeczy.

* * *

- Wiesz, te słowa z trudem przechodzą mi przez usta - zaczyna ostrożnie, rolując w palcach kolejnego papierosa - ale to naprawdę atrakcyjna dziewczyna.

Rzucam mu gniewne spojrzenie. W tonie, jakim to powiedział, albo w lubieżnej minie, jaką zauważam, nie ma nawet śladu trudu, o którym wspomniał. Dokucza mi, właśnie to robi. Mówi

coś, co mnie najbardziej irytuje. Wielu ludzi kpiło ze mnie w podobny sposób: choćby moi dawni przyjaciele, detektywi McGully i Culverson. No i Nico. Rozumiem, dlaczego to robili, wiem przecież, jaki jestem.

- Tak tylko mówię. - Cortez zapala papierosa i zaciąga się łapczywie. Wypuszczając powoli dym, przygląda się szczupłemu ciału z nieskrywaną przyjemnością.

Nie odpowiadam, nie zamierzam dawać mu satysfakcji, nie usłyszy też żartobliwej reprimendy. Żadnego „ha, ha” ani przewracania oczami. Krzywię się, odganiam dym od nieprzytomnej wciąż dziewczyny, dopóki Cortez nie rzuci niedopałka na podłogę.

- Mój drogi Palace - stwierdza, wstając, po tym jak przestaje ziewać. - Będzie mi cię brakowało, gdy pójdę do nieba, bo ty tam nie trafisz.

Siedzę na sedesie obok dziewczyny, którą ułożyliśmy na gołym materacu na wznak, z rękami u boków. Poślanie stoi w celi tego aresztu, oprócz niego jest tu tylko kibel i umywalka z lustrem. Cortez został po drugiej stronie krat, w przestrzeni przeznaczonej dla tych dobrych, przy drzwiach prowadzących na posterunek. Cela to jedyne miejsce, gdzie znalazłem sposób na zawieszenie torebki z płynem fizjologicznym. Dynda teraz na wieszaku za kratami, po stronie tych dobrych, a sterylny płyn skapuje z niej powoli do rurki, której drugi koniec znika w ręce dziewczyny. Gdy opuszczałem Dom Policjanta, Sowa zorganizowała mi zestaw pierwszej pomocy: zwitek gazy, pudełko aspiryny, kilka buteleczek wody utlenionej, dwa litrowe woreczki płynu fizjologicznego i zestaw do kroplówki. Gdy jej powiedziałem, że nie mam pojęcia, jak go użyć, spojrzała na mnie spode łba, po czym burknęła: „Wystarczy postępować według załączonej instrukcji”. Potem dodała, że to nic trudnego.

Cortez także spogląda na woreczek wypełniony gęstym płynem.

- Jesteś pewien, że tak to powinno wyglądać?
- Powinno kapać i kapie, nie?
- Jesteś pewien, że zrobiłeś to jak trzeba?

- Nie jestem, ale kapie.
- A jeśli zrobiłeś coś nie tak?

Nie odpowiadam, wiem, że dziewczyna umrze, jeśli nie otrzyma tej kroplówki.

Sprawdzam ponownie godzinę, jest za kwadrans siedemnasta. Dostałem ten zegarek od Kelli, córki Trish McConnell, zaraz po pospiesznym uścisku.

- Mama wścieka się na ciebie - poinformowała mnie.
- Tak, wiem - odparłem.
- Ja też - dodała, ale i tak wsunęła mi ten zegarek do kieszeni, a ja założyłem go na rękę.

Wystarczy nacisnąć klawisz na obudowie, by cyfry załśniły przyjemną zielenią. Uwielbiam ten czasomierz.

Nic nie wskazuje na to, by dziewczyna została zgwałcona. Sprawdziłem to najdokładniej jak mogłem, oczywiście zachowując najwyższą ostrożność i delikatność, ograniczając dotyk do minimum i bez przerwy ją przepraszając, ale zrobiłem to. Nie stwierdziłam także otarć w okolicy nadgarstków i łokci, które świadczyłyby o tym, że została związana. Jedynymi obrażeniami są sińce na twarzy, podcięte gardło oraz podrapana skóra na kostkach i w okolicach goleni i dwa złamane paznokcie, co oznacza, że stoczyła z kimś zaciętą walkę. Zebrałem próbki tkanki napastnika spod jej ocalałych paznokci i umieściłem je w kolejnym woreczku śniadaniowym. Trafiły do Minimagazynu Dowodów Rzeczowych Detektywa Palace'a. Oczyszcziłem i opatrzyłem ranę na szyi dziewczyny, smarując krawędzie nacięcia warstewką neosporyny. Zużyłem na opatrunek niemal całą gazę, owijając szyję kilkakrotnie, przez co wygląda teraz, jakby ktoś odciął jej głowę, a potem ponownie przytwierdził do reszty ciała. Kruczoczarne włosy dziewczyny opadają dwoma brudnymi kaskadami na policzki.

Wstaję z sedesu, odwracam się na moment, ale i to wystarcza, bym się zachwiał. Umieram z głodu. Jestem wycieńczony.

W dłoni trzymam bransoletkę nieprzytomnej dziewczyny. Znalazłem ją nie na jej przegubie, tylko w przedniej kieszeni

dżinsowej spódniczki. Zwykły tombak, wygląda jak ozdoba, którą można kupić w każdym sieciowym markecie. Taka, jaką chłopcy darują swoim szkolnym sympatiom. Dynda na niej kilka wisiorów, nuta, para baletek, bukietik srebrnych kwiatów, delikatny i piękny.

- Irysy? - mruczę do siebie.

- Lilie - podpowiada Cortez.

- Tak sądzisz? - Czuję wagę łańcuszka na dłoni. - A może to róże?

- Lilie - powtarza, po czym znów ziewa.

Przyglądam się bladej twarzy dziewczyny i uznaję, że powinienem nazywać ją Lily. Właśnie dlatego nosiła tę bransoletkę. Chcę, by miała jakieś imię, by przestała być anonimowa.

- Nazywam się Henry Palace - szepczę do niej, choć wiem, że nie może mnie usłyszeć. Cortez przygląda mi się z rozbawieniem. Ignoruję go. - Muszę teraz zadać ci kilka pytań.

Nie odpowiada. Jest nieprzytomna, a ja nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić. Odczuwam nagłą potrzebę położenia się na tym materacu, zajęcia jej miejsca. Obserwuję, jak oddycha: płytki wdech, płytki wydech. Trzymam w dłoni należącą do niej bransoletkę, metal połyskuje w złotawym świetle przenikającym do wnętrza niewielkiej szarej celi.

Cortez odpycha się od ściany, przywiera do krat, zaczyna mówić w zamyśleniu, jakby od niechcenia:

- Moja mama zapadła raz w śpiączkę. W szpitalu stanowym. Tylko na dwa dni. Pielęgniarki przynosiły jej lunchy i obiady, mimo że była karmiona dożylnie. Jakies niedopatrzenie, jak sądzę, albo kolejny durny przepis. Zjadaliśmy wszystko, ja i mój brat. To była niezła wyzerka, zwłaszcza w porównaniu z tym, co mama zazwyczaj nam gotowała.

Śmieje się. Ja też się uśmiecham, ale tylko półgębkiem. Nigdy nie wiem, kiedy zaczniesz snuć kolejną długą opowieść, muszę jednak przyznać, że są bardzo prawdziwe i wciągające. Gdy go pierwszy raz zobaczyłem w tym zapyziałym magazynie przy

Garvins Fallas Road, siedział na kupie zagrabionych łupów, które podwędziła mu później jego urocza partnerka Ellen. Opowiedział mi już trzy wersje tej historii, różniące się, i to bardzo. W pierwszej zaskoczyła go i wygnała, grożąc mu toporkiem. W drugiej go oszukała. W trzeciej okazało się, że ma innego kochasia, który sprowadził swoich kumpli i wyczyścił metę do zera.

Cortez wraca do celi i staje obok sedesu, by przejrzeć się w lustrze. Pytam, dlaczego jego matka zapadła w śpiączkę.

- Tak... - Strzela kostkami. - Sam wiesz. Zerwałem się pewnego dnia ze szkoły, by wrócić wcześniej do domu i zajarać trawkę. Wchodzę, patrzę i widzę, że kochaś ją dusi. Kevin mu było. Były komandos. Dusił ją obiema rękami, o tak. - Cortez odwraca się od lustra i pokazuje. Jego palce zaciskają się na wyimaginowanej szyi, oczy wychodzą mu z orbit.

- Ohyda.

- Kevin był złym człowiekiem.

- Zatem tak ją poddusił, że straciła przytomność?

Macha lekceważąco ręką.

- Była na ostrym haju, podobnie jak on.

- Aha. - Wracam wzrokiem do nieprzytomnej dziewczyny. - A co z nią? Podejrzewam, że mogła przedawkować.

- Wypluj te słowa. - Cortez przyciska dłonie do piersi, udając przerażenie. - Ona nie jest taka. Ktoś ją zadźgał. Wykrwawiła się. Potem... Sam nie wiem. Organy jej powysiadały czy coś.

- Nie. - Sam się nad tym zastanawiam, próbuję przypomnieć sobie, jak przebiega taki proces, ale jestem zbyt cienki z podstaw medycyny. - Jeśli człowiek krwawi tak mocno, że traci przytomność, to musi umrzeć. Chyba że znajdzie się ktoś, kto w porę opatrzy ranę.

- Jesteś pewien? - Cortez stroszy brwi.

- Tak. Nie. - Próbuję sobie to przypomnieć. - Nie wiem.

Kręcę głową, wściekając się na siebie. Dlaczego tego nie wiem? Za pięć lat mógłbym być świetnym policjantem. No może za dziesięć.

Cortez znów odwraca się do lustra. Ja pocieram oczy kłykciami, próbując przypomnieć sobie cokolwiek z kursów pierwszej pomocy. Tych podstawowych z akademii i późniejszych, dla zaawansowanych. Gardło jest wąskie, napakowane bardzo istotnymi narządami - co znaczy, że ta dziewczyna, pomijając tragedię, która ją spotkała, miała niesamowite szczęście. Ten, kto poderżnął jej gardło, sfuszerował robotę, bo nie naruszył żadnej z tętnic szyjnych ani jakże delikatnej tchawicy. Zwykle badanie krwi mogłoby potwierdzić bądź wykluczyć obecność zakazanych substancji w ciele ofiary, lecz zrobienie go dzisiaj to czyste science fiction. Spektrometria mas, test immunologiczny czy chromatografia gazowo-płynowa, wszystko to należy już do przeszłości.

Liczy się tylko to, o czym wspomniał przed momentem Cortez. Ona nie jest taka. Ale Peter Zell też taki nie był. Dzisiaj nikt już nie jest tym, kim kiedyś był.

Przyglądam się uważnie spokojnej twarzy Lily, potem przenoszę wzrok na woreczek zawierający płyn fizjologiczny, jego poziom jest chyba nieco niższy, co znaczy, że dziewczyna zaczyna się nawadniać. Taką przynajmniej mam nadzieję.

- Spokojnie, Sherlocku - rzuca Cortez. - Musimy tylko poczekać, aż otworzy oczy, i wtedy zapytamy, co się stało. O ile śpiączka nie potrwa dłużej niż tydzień. W takim wypadku będziemy mieli przesrane.

Wybucham śmiechem, a ja tym razem ulegam, dołączam do niego. Przewracam oczami, kręcę głową. Za tydzień wszyscy będziemy martwi. Ten posterunek zamieni się w kupę pyłu, podobnie jak my. Ha, ha, ha. Załapałem.

* * *

Zostawiam śpiącą Lily i palącego Corteza. Wracam do lasu, na miejsce zbrodni.

Gdyby był tutaj detektyw Culverson, zapewne dokonałby odtworzenia przebiegu wydarzeń od początku do końca, krok po kroku. Dziewczyna leżała twarzą do ziemi z wyciągniętymi przed

siebie rękami, wskazując nimi na zachód. To by mogło oznaczać, że biegła w tym kierunku, ale potknęła się o coś i upadła. Naśladowuję jej ostatnie kroki, potem wyciągam przed siebie ręce jak Superman. Wyobrażam sobie upadek i twarde lądowanie, po czym zaczynam jeszcze raz, od samego początku. Potykam się i padam, czując za plecami obecność uzbrojonego w nóż napastnika, który już się pochyła.

W rozmokłej ziemi polany znajduję wiele odcisków stóp, wszystkie jednak pochodzą sprzed dwóch godzin i należą do nas: rozpoznaję kwadratowe obcasy moich martensów i charakterystyczne odbicia kowbojek Corteza. Dostrzegam nawet ślady pazurków Houdiniego, ponieważ on także kręcił się nieustannie wokół ciała. Natomiast miejsce, w którym leżała dziewczyna, zostało dokładnie oczyszczone ze wszelkich śladów, widzę tylko grząską ziemię i leżące na niej liście. Padający od dwóch dni deszcz usunął wszystkie dowody.

Wlekę się ponownie przez las, wracając na posterunek. Wychodzę na podjazd w kształcie podkowy. Okalał go niegdyś piękny trawnik, który zamienił się z czasem w pole chwastów. Nierówny rząd cynii niknie w łanie niekoszonej od dawien dawna trawy. Na samym środku tego trawnika znajdują się dwa maszty, z których zwisają przemoczone flagi Stanów Zjednoczonych i Ohio. Przeszukuję to miejsce metodycznie, dzieląc zielony teren – oczywiście w wyobraźni – na sieć kwadratów. Przeczესuję sektor po sektorze. Znajduję przedmioty, które mogą – choć nie muszą – mieć związek z przestępstwem: kupkę łupinek po orzeszkach; kilkunastocalowy splątany sznurek. W sektorze leżącym na północ od flagi stanu natrafiam na trzy identyczne wgłębienia, które mogą być pozostałością po żerdziach rozstawionego tu wcześniej namiotu.

Po zakończeniu poszukiwań stoję dłuższą chwilę pod flagami. Ręce trzymam na biodrach, pozwalam, by krople deszczu spływały mi po nosie i policzkach niczym łzy. W pewnym momencie docierasz do takiego punktu wycieńczenia, że czujesz ból w całym ciele. Przełyk cię pali, nawet oczy pieką jak szlag.

Głód wzmacnia to wrażenie – zaczyna ci się zdawać, że usychasz, jakby twoje ciało spaliło się albo stwardniało. Jakby skóra zamieniła się w korę lub w skorupę.

Dzisiejsze menu składa się z trzech torebek prażonych orzeszków z miodem oraz z zielonego jabłka, których koszyk zebraliśmy przy Residence Inn w Penfield. Pożeram je pospiesznie, zachłannie, jak koń. Powstrzymuję się jednak przed wsypaniem do ust całej paczki orzeszków, zostawiając ją na później.

Dwa nakładające się na siebie ślady krwi, jeden biegnący w stronę kuchni, drugi w przeciwnym kierunku.

Lily została zaatakowana w kuchni. Uciekła, brocząc krwią z rany na szyi. Napastnik pobiegł za nią, ale zdołała zgubić go w lesie. Znalazł ją dopiero na tej polance, gdy straciła przytomność. Wtedy wrócił na posterunek, odnosząc ociekające krwią noże. Odłożył je na miejsce, po czym zniknął.

Co znaczy: zniknął? Musiał zejść pod ziemię. Przez ten otwór w podłodze garażu.

Zgadza się, detektywie Palace? Czy to się zgadza?

Tak, może, prócz jednego szczegółu: jakim cudem zdeterminowany morderca mógł zgubić w lesie bezbronną, ważącą najwyżej sto funtów dziewczynę, która ledwie się poruszała i w dodatku broczyła krwią?

I prócz drugiego szczegółu: po co mu były aż trzy noże?

Spoglądam w niebo, zaciskając zęby w desperackiej próbie odegnania kolejnego ataku paniki, poczucia winy, rozpacz, ponieważ nigdy się tego nie dowiem. Ta zagadka, podobnie jak zagadka wiążąca się z moją siostrą, zostanie tajemnicą już na zawsze. Posterunek policji w Rotary w stanie Ohio jest właściwym miejscem, tylko pojawiłem się tutaj w złym czasie. Spóźniliśmy się, nie zdołaliśmy zapobiec atakowi na tę dziewczynę, tak samo jak nie zdążyliśmy powstrzymać mojej siostry przed zniknięciem pod ziemię. To moja wina. Wszystko to moja wina.

Pocieram czoło wierzchem dłoni, spoglądając na kraniec trawnika, za którym zaczyna się las. Widzę ją, bezimienną śpiącą

dziewczynę, umykającą w mrok z rękami przyciśniętymi do szyi, próbującą krzyknąć, ale niezdolną do wydania z siebie dźwięku, widzę krew tryskającą z jej rany.

* * *

To nie była pułapka. W tym miasteczku założono niewielkie zoo, z którego para szalonych nastolatków próbowała uwolnić zwierzęta. Brat tej dziewczyny naprawdę został uwięziony przez tygrysa. To wszystko wydarzyło się dwa tygodnie temu, na początku września, może nawet szesnaście dni temu, mniej więcej w połowie naszej wędrówki. Seneca Falls to szare miasto, niby spokojne, na ulicach widać ludzi, niektórzy są uzbrojeni, inni nie, część przemieszcza się grupami, ale zauważamy też samotników. Wszyscy napotkani przechodnie mają równie ponure i zacięte miny. Wymachującą rękami dziewczynę dostrzegliśmy jakieś dziesięć mil dalej. Pozwoliliśmy jej wsiąść do wózka golfowego i pojechaliśmy wyboistą boczną drogą do wspomnianego ogrodu zoologicznego. Tam znaleźliśmy chłopaka. Miał na sobie koszulkę, krótkie dżinsy. Zwykły śmiertelnie przerażony szesnastolatek siedzący na najwyższej gałęzi, która ugina się groźnie pod jego ciężarem, zbliżając go niebezpiecznie do szczyrzącego się groźnie drapieżnika. Wyliniała sierść pokrywa zapadłe boki bestii, przez skórę widać zebra.

- Co zamierzacie zrobić? - zapytała dziewczyna.

- Cóż... - Tyle zdążyłem powiedzieć, a Cortez już położył tygrysa trupem, jednym strzałem z obrzyna w wychudły bok. Chłopak jęknął tylko, po czym zeskoczył z drzewa, lądując obok martwego cielska. Z rany w pomarańczowym futrze unosiła się wciąż para i krwista mgiełka. Cortez odłożył broń, spojrzał na mnie i zapytał:

- Możemy już jechać?

- Czekaście! - zawołała dziewczyna, biegnąc w naszym kierunku, gdy wsiadaliśmy do wózka golfowego. - Co mamy teraz zrobić?

- Gdybym był na waszym miejscu - odpowiedział jej Cortez - zjadłbym tego tygrysa.

* * *

- NIE PIJCIE WODY Z ROZLEWISKA RZEKI MUSKINGUM...
NIE PIJCIE WODY Z ROZLEWISKA RZEKI MUSKINGUM.

Zafascynowany Cortez stoi w centrali łączności przed starym, uruchamianym ręcznie nadajnikiem, wielką czarną skrzynią służącą niegdyś do komunikowania się z patrolami. Teraz z jego głośników płynie w kółko ten sam komunikat. Jest powtarzany wyważonym spokojnym tonem, jakby to była automatyczna sekretarka kierująca ludzi pod właściwy numer: jeśli dzwonisz, ponieważ potrzebujesz pomocy, dostrój swój odbiornik...

- Spójrz tylko na to cudencko - rzuca Cortez. - Wciąż działa.

- Widzę. - Mnie także ogarnia fala nostalgii. - Te maszyny są niezniszczalne. Już nie mówiąc o tym, że wyposażono je na koniec w całe zestawy zapasowych akumulatorów.

Pamiętam identyczną konsolę stojącą na naszym posterunku w Concord. W porównaniu z laptopami, które zainstalowano w centrali łączności kilka lat wcześniej, mniej więcej wtedy, gdy wstępowałem do służby, wydawała się przestarzałym złomem, ale nikt nie chciał jej wynieść, więc spoczęła w kącie pomieszczenia, czarna, lśniąca i nieusuwalna - pomnik upamiętniający dawną policyjną robotę.

Z radiostacji posterunku w Rotary dobiega kolejny komunikat.

- CENTRA PIERWSZEJ POMOCY ZOSTAŁY ROZMIESZCZONE
W NASTĘPUJĄCYCH MIEJSCOWOŚCIACH... CENTRA
PIERWSZEJ POMOCY ZOSTAŁY ROZMIESZCZONE
W NASTĘPUJĄCYCH MIEJSCOWOŚCIACH... - Moment później
kobięcy niemłody głos zaczyna je wymieniać: - CONESVILLE...
ZANESVILLE... DEVOLA...

Przesuwam palcem po zakurzonej pokrywie aparatury. Ta konsola jest naprawdę pięknym przykładem sprzętu produkowanego na potrzeby policji.

- CENTRA PIERWSZEJ POMOCY ZOSTAŁY ROZMIESZCZONE
W NASTĘPUJĄCYCH MIEJSCOWOŚCIACH....

Stoimy ramie w ramie, ja i Cortez, wsłuchując się w beznamiętny recital nazw. Widok maszyny i płynący z niej głos tej kobiety sprawiają, że w moim sercu pojawia się na powrót tęsknota. Zaczyna do mnie docierać, jak bardzo brakuje mi wiadomości. Przez całe wcześniejsze życie byłem nimi zalewany. Niusami, raportami z wydarzeń, ale przez ostatni rok ich źródła kolejno zniknęły, powoli, nieuchronnie. Najpierw zamknięto „Concord Mirrora” i „New York Timesa”, potem zlikwidowano programy informacyjne, a za nimi całą resztę telewizji. Padł nawet Internet z jego niesłabnącym nigdy biciem piany i hejtem. Wszystko to przestało istnieć. Przez jakiś czas – do chwili gdy musiałem opuścić Concord po pożarze mojego domu – słuchałem na tranzystorze gościa, który nazywał sam siebie Dan Dan Radio Man. Nie odrywałem ucha od jego audycji przez cały okres prac komisji Mayfaira. To on poinformował mnie o ostatnim etapie prac legislacyjnych nad Ustawą o działaniach stabilizacyjnych i zapewnieniu bezpieczeństwa w okresie przed zderzeniem, przegłosowaną w pośpiechu przez uszczuplony Kongres, tą samą, która nakazywała nacjonalizację wszystkich silosów z ziarnem i lokalizację obozów dla przesiedleńców na terenach parków narodowych.

W czasie wędrówki można słuchać wyłącznie plotek i niepotwierdzonych informacji. Wymienialiśmy się więc zasłyszanyymi pogłoskami, spekulacjami, a nawet wymysłami. Ktoś powiedział nam, że wysadzono tamę Hoovera, bo pustoszona suszami Nevada desperacko potrzebowała wody. Ktoś inny wymachiwał nam przed nosem papierem, który miał być rzekomo spisany własnoręcznie przez prezydenta i głosił, że Stany pozostaną „po wsze czasy suwerennym krajem, zachowującym wszystkie przywileje i zajmowane do tej pory terytoria”. Jeszcze inny twierdził, że Savannah zostało zajęte przez uciekinierów z zagrożonego zagładą Laosu, którzy zamienili to miasto w fortecę i strzelają bez ostrzeżenia do każdego, kto próbuje się zbliżyć, na co inny sprostował, że rzecz dotyczy nie Savannah, tylko Roanoke, a zajęli je nie Laotańczycy, lecz Etiopczycy.

I tak dobrnęliśmy do obecnego stanu i do tego, co pozostało z naszego świata: do żywności konserwowej i środków opatrunkowych wydawanych w namiotach gdzieś w Apple Grove w stanie Ohio.

- PROGRAM „MIESZKAŃCY OHIO POMAGAJĄ SWOIM SĄSIADOM” BĘDZIE KONTYNUOWANY TAKŻE PO ZDERZENIU - nadaje policyjne radio. - PROGRAM „MIESZKAŃCY OHIO POMAGAJĄ SWOIM SĄSIADOM” BĘDZIE KONTYNUOWANY TAKŻE PO ZDERZENIU.

Odwracam się, by wyjść, ale przed oczami zaczynają mi wirować gwiazdy, zataczam się i opieram o futrynę, by nie upaść.

- Wszystko w porządku? - pyta Cortez, więc macham do niego przez ramię, jakbym chciał powiedzieć: „Tak, nic mi nie jest”. Gdy jednak odpycham się od drzwi, natychmiast dopadają mnie kolejne fajerwerki i zawroty głowy. Tym razem widzę także krwawe plamy rozlewające się pod powiekami. Dziewczynę leżącą twarzą do ziemi. Drzwi w podłodze. Półkę z zakrwawionymi nożami wiszącą nad pokrytym szkarłatem zlewozmywakiem. Automat z przekąskami wypatroszony z zawartości jak upolowane zwierzę.

- Palace?

Robię kolejny krok. Jestem taki zmęczony. Padam z nóg.

6.

- Henry. Hej, wstawaj.

Skądś znam ten głos. Budzę się i tadam! zagadka rozwiązana. Nico jest przy mnie, jej oczy lśnią w mroku niczym kocie. Klęczy u mojego boku, ponieważ leżę na ziemi, budzi mnie w taki sam sposób jak kiedyś, gdy chciała, bym zrobił jej śniadanie - dźga mnie dwoma palcami w klatkę piersiową, zawisając tak blisko, że nieomal stykamy się nosami.

- Henry, Henry. Hen, Hen. Henry, hej, Hen.

Wskazuje palcem Lily, nieprzytomną dziewczynę leżącą opodal na więziennym materacu. Cortez musiał przenieść mnie z centrum łączności do aresztu, dlatego spoczywam obok jej posłania.

- Kim jest twoja przyjaciółka? - pyta Nico.

Zaczynam mówić, chcę powiedzieć: „Boże, siostra, myślałem, że nie żyjesz”, ale ona ucisza mnie, kładąc palec na ustach, więc milknę posłusznie i przypatruję się jej w kompletnej ciszy. Cała cęła przesiąknęła smrodem dymu z papierosów Corteza.

- Posłuchaj - odzywa się Nico, a ja na sam dźwięk jej głosu zaczynam czuć łzy nabiegające mi do oczu. - To się dzieje. Robimy to.

Wygląda dokładnie tak jak na zdjęciu ze szkolnego rocznika, które trzymam w kieszeni kurtki. Zaczesa jej włosy za uszy, nosi też stare lamerskie okulary, te same, w których chodziła do szkoły. Nie mogę uwierzyć, że wciąż je ma. Chcę poderwać się z ziemi, uściskać ją. Chcę posadzić ją przed sobą na ramie roweru. Umieściłbym Houdiniego w przyczepce i moglibyśmy stąd odjechać. Zabrałbym ją do domu.

- Wszystko poszło zgodnie z planem - wyjaśnia. - Sprowadzili go tutaj. Tego naukowca, o którym tyle ci mówiłam. Jest z nami. Rano lecimy z nim do Anglii, tam razem z resztą zespołu dawnych

współpracowników doprowadzą do pchnięcia korygującego. Pokażą asteroidzie, kto tu rządzi. – Uśmiecha się. Jej zęby są takie bielusieńkie. – Wszystko będzie dobrze – zapewnia mnie.

Mam obiekcje oraz całą masę pytań, ale Nico zatyka mi usta rozprostowaną dłonią, kręcąc głową, jakby ją to zirytowało.

– Mówię ci, Hen, rozumiesz. Wszystko jest już zapięte na ostatni guzik. – To jedno z zabawnych powiedzonek ojca, jego ulubione. – Po prostu załatwione. Nie masz się już o co martwić.

To niesamowite, naprawdę niesamowite! Nico tego dokonała. Uratowała świat.

– A teraz słuchaj. Miej oko na tego swojego oprycha. Nie ufam mu.

Na mojego oprycha, znaczy na Corteza.

Do tej pory nie mieli okazji się spotkać, ale jestem pewien, że powinni się polubić. Nico jednak nigdy go nie widziała ani o nim nie słyszała. W moim sercu rozkwita melancholia rozlewająca się po wszystkich członkach ciała niczym błękitna krew. To ułuda. Ja po prostu śnię, wiem, że to tylko sen. Nico staje się przezroczyta niczym dickensowski duch, zastępuje ją mój dziadek, wychudły, przygarbiony, ma zapadnięte policzki i przenikliwe spojrzenie. Siedzi w swoim antycznym bujanym fotelu, zaciągając się american spiritem i mamrocząc pod nosem.

– Kop dziurę – powtarza. – Kop dziurę.

* * *

Dym okazuje się prawdziwy. Smród palonego papierosa snuje się korytarzem posterunku, przenikając między kratami do celi i do mojego snu. Dziadek palił papierosy tej samej marki co Nico. Przeklinał po wyrzuceniu każdego american spirita, nazywając je „durnym syfem”, a potem sięgał do paczki po następnego i obracał go z irytacją w palcach. Był facetem, którego nic nie cieszyło.

Ale to nie on teraz pali, choćby dlatego, że nie żyje już od wielu lat. To znajdujący się gdzieś w głębi budynku Cortez pracuje usilnie nad wyprodukowaniem kolejnego niedopałka.

Tak się składa, że nie trafiłem do celi na cienki materac i nie leżę obok nieprzytomnej ofiary napaści. Zostawił mnie tam, gdzie upadłem, na podłodze w centrum łączności, w cieniu konsoli radiostacji. Mimo to na ustach czuję wciąż dotyk dłoni, tej samej, którą Nico mnie uciszała.

Podnoszę się pospiesznie, rozmasowuję zdrętwiałe nogi, po czym prostuję plecy, opierając się niepewnie dłonią o ścianę. Jest piąta dwadzieścia jeden. Jak długo spałem? Podążam za odorem papierosowego dymu i znajduję Corteza w przyposterunkowym garażu, znów przykucnął pośrodku podłogi i przygląda się jej uważnie. Nasz przenośny sprzęt do zaparzania kawy stoi obok, na jednym z regałów, z prowizorycznego filtra zwisają grudki poklejonej ciemnej masy. U boku Corteza zauważam także otwarty termos, bijące z niego smużki pary mieszają się z dymem papierosowym.

- O, dzieńdoberek - wita mnie, nie podnosząc głowy.
- Musimy się tam dostać.
- Co ty nie powiesz... - mruczy, kładąc się na brzuchu. - Pracuję nad tym.

- Damy radę tam zejść?
- Już powiedziałem, że nad tym pracuję - fuka. - Napij się kawy.
Znajduję mój własny stalowy termos na półce za plecami - ten, na którym wyryto moje imię - i nalewam sobie pełen kubek naparu. W moim śnie klasyka - wszystko poszło jak z płatka: Nico przeżyła, Ziemi nic już nie groziło. Planeta przetrwała, ja przetrwałem. Ale o co mogło chodzić z dziadkiem mamroczącym: „Kop dziurę”? To naprawdę były jego ostatnie słowa. Cortez leży z twarzą wtuloną w podłogę, jedno oko ma otwarte, drugie zamknięte, papieros chwieje mu się w kąciku ust, gdy przesuwam ostrą końcówką młotka po betonie, wpatrując się w niewidzialne z mojej pozycji szczeliny pomiędzy pokrywą a resztą posadzki.

Upijam łyk kawy, jest gorąca, gorzka i czarna. Odczekuję dziesięć sekund.

- Jak sądzisz? Damy radę się tam dostać?
- Jesteś strasznie namolny, wiesz?

- Wiem. Mów, co o tym myślisz.

Wybuchła śmiechem, więc sterczę tam, czekam i ćwiczę cierpliwość. Cortez chce zejść tam tak samo jak ja, pragnie tego równie mocno. Ja zrobiłbym wszystko, by dostać się do tej dziury, ponieważ wiem, że siedzi w niej moja siostra albo ludzie, którzy wiedzą, gdzie mogę ją znaleźć. Cortez chce po prostu otworzyć to przejście, ponieważ trafił na nie, a nie lubi przeszkód, z którymi sobie nie radzi. Włosy ma zmierzwił, kucyk całkiem mu się rozsypał, więc długie kudły opadają aż na plecy. Nigdy nie zapytałem go, ale tak poważnie, dlaczego wyruszył ze mną na te jakże idiotyczne poszukiwania mojej niezrównoważonej siostry, chyba jednak znam odpowiedź, mam ją przed oczami: nie zostało mu wiele czasu, a chciał robić to, co kocha najbardziej. Jestem znakiem zapytania wskazującym kolejny sekret. On natomiast jest kluczem otwierającym najbardziej niedostępne miejsca tego świata.

- Zatem... - zaczynam ponownie. - Możesz...

- Tak. - Podnosi się z trudem, potem wyrzuca niedopałek, dodając go do całej masy innych zaśmieających podłogę.

- Tak? Ale jak?

- Zaczekaj, a wszystkiego się dowiesz. - Uśmiecha się, po czym nabiera tytoniu, by zrobić kolejnego skręta. Oklepuje wszystkie kieszenie w poszukiwaniu papieru, zwija go bardzo uważnie, torturując mnie przez cały ten czas. W końcu mówi: - To nie jest prostopadłościan, jak sądzę, boki tej pokrywy biegną pod pewnym kątem, co znaczy, że nie udałoby nam się jej podnieść, nawet gdybyśmy nie byli parą szkieletorów.

- Zatem...

- Zatem musimy ją rozbić. Mój pierwszy wybór padłby na młot pneumatyczny, którego niestety nie posiadamy i nie zdobędziemy.

Potakuję, kiwam głową jak szalony, a w głowie mam prawdziwy mętlik, który nie pozwala mi się skupić. Tego jednak chciałem, konkretów, szczegółów, odpowiedzi. I celu. Odstawiam kawę, jestem gotów wybiec na zewnątrz, by zdobyć wszystko, czego Cortez potrzebuje.

- A drugi wybór? - pytam.

- Drugim wyborem byłyby zwykłe ciężkie młoty. - Zaciąga się mocno, szczerząc zęby w ospałym uśmiechu. Czekam zdesperowany do granic możliwości. - A ja wiem, skąd wziąć taki jeden.

- Skąd?

- Ze sklepu, to chyba oczywiste.

W końcu, nareszcie, otrzymuję jakieś konkrety. Dwa dni temu znalazł podobne narzędzie, gdy przeszukiwaliśmy SuperTarget podczas ostatniego postoju przed Rotary. To był jeden z pięciu wielkich jak fortece marketów okalających rozległy parking. Prócz niego znajdowały się tam także: HobbyLobby, Home Depot, spożywczy Kroger i Cheesecake Factory.

- To był wilton - dodaje Cortez. - Wielki dwunastofuntowiec. Z porządnym trzonkiem. - Opiera się o ścianę, potrząsając głową. - A ja go tam zostawiłem. Pamiętam, że mało brakowało, bym go zabrał, ale jednak się nie zdecydowałem. Pomyślałem, że na nic nam się nie przyda. Obciążyłyby tylko niepotrzebnie wózek. - Wzdycha ze smutkiem jak ktoś wspominający utraconą miłość. - Ale zapamiętałem drania. Wielki piękny wilton z fiberglasowym trzonkiem. Wiesz, o którym mówię?

- T... tak. - Nie jestem pewien.

Doskonale pamiętam wizytę w SuperTargecie: niekończące się rzędy ogołoconych regałów, zapachowe świece i ręczniki porzucane po wykafelkowanej posadzce, porozbijaną armaturę łazienkową zalegającą przejścia niczym popsute zabawki. Część spożywcza wyglądała, jakby padła ofiarą stada wygłodzonych drapieżników. Wielka tablica, zapewne wisząca tam od wielu miesięcy, głosiła: „Brak amunicji. Przepraszamy”.

- A jeśli ktoś go już stamtąd zabrał? - pytam.

- No to nie będziemy go mieli - odpowiada. - Zupełnie jak teraz.

Przygryzam końcówkę wąsa. Ironia losu polega na tym, że jeśli wyruszymy na poszukiwanie młota i wrócimy z niczym, tylko pozornie niczego nie stracimy, ponieważ tym, czego najbardziej nam obecnie brakuje, jest czas. A jego nijak nie odrobimy.

Ile czasu trzeba, by dotrzeć tam na rowerze, ile godzin zajmie przeszukanie hali, zataszczenie drania na przyczepkę i przywiezienie tutaj?

Cortez wie dokładnie, gdzie go zostawił. Zapamiętał numer alejki i regału: kolejno 9 i 14. Tak funkcjonuje jego umysł. To dział na tyłach sklepu, za akcesoriami ogrodowymi i sekcją hydrauliki. Gdy informuje mnie o tym wszystkim po raz kolejny, znów wychwytyuję w jego głosie tę ciężką nutę żalu: pierwszy raz w życiu porzucił dobrowolnie narzędzie, którego potrzebował do wykonania roboty.

- Zostań tutaj - rzucam. - Miej oko na tę dziurę.

- Okej - odpowiada, salutując, po czym rozsiada się pośrodku garażu, krzyżując nogi po turecku. - Będę miał oko na tę dziurę.

* * *

Po drodze do wyjścia zatrzymuję się na moment w areszcie. Ku mojemu zadowoleniu litrowy woreczek płynu fizjologicznego został opróżniony, zwisa teraz z krat pomarszczony, zwiędły, jak przekłuty balon. Skóra wokół igły wbitej w wyprostowaną rękę dziewczyny także wygląda nie najgorzej. Nie zauważam śladów zaczerwienienia sugerującego infekcję. Biedaczka Lily, czy jak jej tam na imię, z pewnością jest kimś ważnym w czyimś życiu. Wchodzę do celi, w której leży, przesuвам ostrożnie palcami po jej ustach: są wciąż wyschnięte, ale już nie tak bardzo jak w chwili, gdy ją znaleźliśmy. Jej ciało przyjęło płyn.

- Dobra robota, dziecinko - mówię do niej. - Będzie lepiej.

Albo i nie będzie, ponieważ Lily przyjęła tak dużą dawkę płynu, ale niczego nie wydalila. Nie czuję woni uryny, co ostrzega mnie przed wystąpieniem komplikacji - na razie nie wiem jakich, ponieważ moje przeszkolenie medyczne jest zbyt marne i wąskie. Wiem tylko, jak udzielać pierwszej pomocy, robić sztuczne oddychanie, tamować krwawienie, opatrywać rany, wszystko to, co robimy zazwyczaj zaraz po przybyciu na miejsce zdarzenia. Ustalanie przebiegu kuracji pacjentów wykracza daleko poza

moje skromne możliwości. To jak rozwiązywanie krzyżówki, której hasła spisano w obcym języku.

Staję ostrożnie na krześle, zdejmuję opróżniony woreczek i zastępuję go drugim, tyle nauczyłem się z instrukcji zamieszczonej na jego wewnętrznej stronie. Na tym kończą się moje możliwości pomocy tej dziewczynie bez względu na to, co jej dolega. Od tej chwili mamy dwie możliwości: albo przeżyje, albo umrze.

- Wydobrzejesz - zapewniam ją. - Wszystko będzie dobrze.

I to by było na tyle. Jestem gotów wyruszyć, ale w miejscu powstrzymuje mnie przebłysk wspomnienia, wczorajszy sen z Nico w roli głównej. Siostra spogląda na mnie spode łba, nieufnie, i szepcze natarczywie: „Miej oko na tego swojego oprycha”.

Zaniepokojony tą wizją spoglądam raz jeszcze w głąb korytarza prowadzącego do garażu, gdzie Cortez siedzi i czeka na mnie, paląc papierosa. To nie fair, poza tym to był tylko sen. Nico nie zna przecież tego gościa. Okazał się znakomitym kompanem, poza tym skorzystałem już wielokrotnie na jego rezolucji, ale ta krótka wizja uświadamia mi, jak daleki jestem od prawdziwego poznania jego natury - albo od tego, by mu w pełni zaufać.

No i jeszcze dziewczyna: nieprzytomna, bezbronna, samotna. Oczami wyobraźni widzę uśmiechającego się lubieżnie Corteza, który wodzi wzrokiem po jej ponętym ciele i oblizuje się, jakby patrzył na kosz pełen świeżych owoców.

Opodal na staromodnym haku wisi równie staromodny klucz. Zatrząskuję więc drzwi celi, szarpię kilkukrotnie za kraty, aby się przekonać, czy są na pewno dobrze zabezpieczone, po czym zdejmuję klucz z haka i ciskam go w głąb celi, aż pod przeciwległą ścianę.

Środa, 22 sierpnia

Rektascensja 18 26 55,9

Deklinacja -70 52 35

Elongacja 112,7

Delta 0,618 j.a.

Udaje mi się uspokoić Abigail, przynajmniej chwilowo, więc kontynuujemy rozmowę, momentami mam nawet wrażenie, że dostrzegam w jej oczach przebłyśki rozsądku.

Pokazuję jej odznakę, potem pistolet, wyjaśniam, że jestem emerytowanym policjantem z Concord, który pracuje nad pewną sprawą, nie Obcym, który roznosi po okolicy kosmiczny kurz, ani pracownikiem NASA wysłanym tutaj, by wszczepił jej antymaterię. Siedzimy przy maleńkim rozklekotanym stoliczku na tyłach sklepu, w tym samym miejscu, z którego obserwowałem jakiś czas temu, jak Jordan uzyskuje dostęp do Internetu, by włamać się do baz Narodowego Rejestru Osób Skazanych. Wtedy miałem jeszcze nadzieję, że ten wieczny kpiarz pomoże mi w rozwiązaniu sprawy.

Teraz znów siedzę na tym samym krześle, wysłuchując przerywanej co rusz tyrady Abigail, w której wyjaśnia mi zmęczonym głosem, że Jordana już tu nie ma, a ona nie ma bladego pojęcia, gdzie mógłbym go znaleźć.

- Powinien tu być. Mieliśmy spędzić ten czas wspólnie. Takie otrzymaliśmy instrukcje.

- Od kogo?

Wzrusza ramionami. Ruchy wykonuje zrywami, jakby odczuwała ból.

- Jordan z nimi rozmawiał.

- Z kim?

Znów zbywa mnie wzruszeniem ramion. Gapi się w blat, popychając po jego powierzchni kawałek pomiętego papieru, jakby to był pionek przesuwany po niewidzialnej planszy.

- Jak brzmiały te instrukcje?

- Zostańcie... tutaj.

- W Concord?

- Tak. Tutaj. Znaleziono rozwiązanie. W bazie. W Gary, stan Indiana.

- Rozwiązanie? Mówisz o tym naukowcu? Hansie-Michaelu Parrym?

- Tak. Ktoś inny miał go przejąć i doprowadzić do ostatniej fazy planu. My mieliśmy zostać tutaj. - Podnosi wzrok, znów wysuwa dolną wargę. - Ja i on. Ale Jordan gdzieś polazł. Zniknął, wyparował. Zostałam sama. Niedługo później pojawił się pył... - zaczyna się jąkać. - Po... po... po prostu naleciał.

Nagle jakby przypomniała sobie o źródle nieustannej udręki - rozgląda się, zerka w kierunku ciemniejszych kątów, drapie miejsca, które rzekomo pokrył kosmiczny pył.

- Kiedy to było, Abigail? Kiedy odszedł?

- Niedawno. Jakiś tydzień, góra dwa. Trudno powiedzieć kiedy, bo od tamtej pory ciągle walczę z tym pyłem.

- Wiem, że to niełatwe - przyznaję, ale w myślach błagam: nie odpływaj, kochana, zostań ze mną jeszcze tę chwilkę. - Zatem reszta waszej grupy wyruszyła do Gary w stanie Indiana?

Pochyla głowę, przygryza dolną wargę.

- Nie, nie. Tam znaleźli rozwiązanie, ale punkt zborny wyznaczono w Ohio. To jakiś posterunek policji w Ohio.

Ohio. Ohio. W chwili gdy wypowiada tę nazwę, wiem już, że właśnie tam muszę się udać - to jest mój nowy cel. Ostatnie znane miejsce pobytu zaginionych osób. Nico jest w Ohio.

Pochylam się mocniej na krześle. Jestem tak zniecierpliwiony, że niemalże kładę się na blacie stołu.

- Gdzie w Ohio? W którym mieście? - Wstrzymując oddech, czekam, aż odpowie, czepiam się nadziei jak kropla wody krawędzi przepelnionej szklanki. - Abigail?

- Odbieram także wirowanie planety. Przez to kręci mi się w głowie i mam mdłości, ale nie wiem, co zrobić, by przestać je czuć. Rozumiesz, o czym mówię?

- Abigail, powiedz mi, o jakie miasto w Ohio chodzi.

- Najpierw mi pomóż - odpowiada, wyciągając chronione lateksowymi rękawicami dłonie, by chwycić moje. - Ja nie mogę tego zrobić. Za bardzo się boję.

- Czego nie możesz zrobić? - pytam, choć doskonale wiem, o co chodzi, widzę to w jej oczach. Popycha jeden z pistoletów maszynowych w moim kierunku.

- Znam nazwę tej miejscowości. Mam też mapę, ale zaraz po tym, jak ci ją zdradzę, masz to zrobić. Natychmiast.

CZĘŚĆ DRUGA

Człowiek z Niebieskiego Miasta

Piątek, 28 września

Rektascensja 16 55 19,6

Deklinacja -74 42 34

Elongacja 83,1

Delta 0,376 j.a.

1.

Skąd wiem, że ona żyje? Stąd, że zawsze przeżywała. Jak wtedy, po pogrzebie taty, gdy znalazłem ją w White Parku ukrytą w cieniu pod ślizgawką. „Myślałeś, że ja także odeszłam, prawda, Hen?” Miała rację, tak wtedy myślałem, potem również dała mi kilka dobrych okazji do podobnego zwątpienia. Pierwszego roku po śmierci rodziców przecucie jej rychłej śmierci prześladowało mnie niemal nieustannie, miałem całkowitą pewność, że któregoś dnia wyślizgnie mi się z rąk: albo jeden z tych jej niewydarzonych chłopaków, z którymi chodziła, wciągnie ją w handel narkotykami, co źle się dla nich obojga skończy, albo rozwali się na tym durnym motocyklu, którym zasuwała na uczelnię w drugim roku nauki, albo schła się w trupa na jakiejś imprezie i zostanie z niej wyniesiona nieprzytomna, na oczach reszty durniów sterczących na trawniku w krwistych błyskach kogutów karetki.

Mimo to udawało jej się wychodzić cało z każdej opresji, omijać najgorsze rafy, jest jak ryba mknąca przez spienioną czarną toń fali toczącej się nad ostrymi skałami, nawet w tych ostatnich przerażających miesiącach. To nie ona zniknęła, tylko ten jej durny mąż Derek, który poświęcił życie w imię niejasnych celów ich kretyńskiej organizacji. To nie ona, tylko ja o mało nie zginąłem w pewnym forcie na południowym wschodzie Maine, kiedy postrzelono mnie w ramię w trakcie poszukiwań zaginionego mężczyzny. Wtedy to ona uratowała mnie, zstępując z nieba na pokładzie czegoś tak niewyobrażalnego jak prawdziwy działający helikopter.

To wszystko nie ma jednak najmniejszego znaczenia. Teraz ponownie zniknęła, więc strach znów narasta mi w trzewiach jak symptomy poważnej choroby na samą myśl, że ona także może leżeć gdzieś tam martwa albo konająca. W takich chwilach muszę

przekonywać sam siebie raz po raz, że do tej pory zawsze jej się udawało. Wychodziła z każdej opresji bez szwanku. Jest gdzieś tam. Cała i zdrowa.

* * *

Posterunek łączy z miasteczkiem tylko jedna porządna droga, która jak przystało na Środkowy Zachód, nosi szumną nazwę ulicy Posterunkowej. To sielski pas równiutkiego asfaltu biegnącego ćwierć mili w dół łagodnego zbocza, między ogrodzeniem wybiegu dla koni a pomalowaną na czerwono szopą. W oddali po prawej widzę wiatrak, stoi z dala od drogi, przechylony lekko w prawo, jakby ktoś chciał go przewrócić, lecz w połowie roboty znudził się i zrezygnował. Houdini leży w koszu przy kierownicy i pokasłuje cicho. Pusty wózek grzechocze za moimi plecami, czekając na przyjęcie ładunku.

Słońce właśnie wstaje, w powietrzu unosi się wciąż drobniutka mżawka, rosząc żółto-czerwone korony drzew. Koniki polne nie zaprzestają jednak nawoływania, a wrony kraczą żałobnie, co skłania mnie ku myśli, że ten świat wyglądałby naprawdę spokojnie, gdyby ludzie zniknęli z powierzchni Ziemi, pozwalając naturze na odzyskanie wszystkich zabetonowanych terenów. Wtedy kwiecie porosłoby ruiny, a ptaki odzyskałyby wyłączne panowanie w przestworzach.

Wiem, że to tylko kolejne niespełnione marzenie, pokryty bujną roślinnością postapokaliptyczny krajobraz, tak spokojny, tak piękny, czysta ułuda choćby dlatego, że wszystkie otaczające mnie drzewa spłoną, gdy przez Środkowy Zachód przejdzie czoło fali termicznej. Roślinność całego świata zniknie w płomieniach jak chrust zebrany na ognisko. Niedługo później chmury dymu i popiołu przesłonią słońce, co powstrzyma do reszty procesy fotosyntezy i wyniszczy wszelką pozostałą roślinność. Spłoną wiewiórki, spłoną motyle i kwiaty, na których przysiadają, biedronki przemykające wśród gęstej trawy. Oposy utoną w swoich głębokich norach. Jedno jest więc pewne: matka natura nie odzyska Ziemi pod egidą zepsutego człowieka.

Wszystko, czym byliśmy i czym pragnęliśmy zostać, odejdzie w niebyt. To wydarzenie było nam pisane, musiało nastąpić prędzej czy później bez względu na to, cośmy uczynili, a czego nie.

* * *

- Szczury - mruczę pod nosem, zjeżdżając spiralną rampą na rozległy parking. - Szczury, szczury, szczury.

SuperTarget został zdobyty. Dostrzegam uzbrojonych w karabiny maszynowe mężczyzn patrolujących dach hali i instynktownie zaczynam ich liczyć - jeden, dwóch, trzech, czterech.... - choć już jeden facet z pukawką na tym hipermarkecie wystarczyłby z okładem, by zniweczyć moje plany. Pięć metalowych podestów, ułatwiających wcześniej klientom zdejmowanie towarów z wyżej położonych półek, wypchnięto za wyjścia. Służą teraz tamtym za wieże obserwacyjne. Na każdym z nich widzę człowieka. Najbliższego strzeże kobieta w średnim wieku, ubrana w czerwoną koszulkę drużyny softballowej, czarne włosy przewiązała bandaną, a w dłoniach dzierży groźnie wyglądający karabin szturmowy.

Zsiadam z roweru, potem podnoszę rękę, by pozdrowić kobietę z bronią, a ona odwzajemnia gest, po czym woła „hej-ja”, na co odpowiada jej podobnym zawołaniem ktoś stojący na innym podeście, po drugiej stronie parkingu, także noszący identyczną koszulkę, tyle że z tej odległości nie sposób ocenić, czy jest młody czy stary, czy to mężczyzna czy kobieta. Okrzyk ten jest powtarzany, niosąc się coraz dalej, aż do chwili, gdy zza załomu ściany wyjeżdża z rykiem silnika wielki pikap napędzany silnikiem na olej roślinny. Wóz zatrzymuje się z piskiem opon tylko kilka stóp przede mną, syjąc wokół grudkami żwiru, więc cofam się, jednocześnie unosząc ręce w górę.

- Dzień dobry - mówię.

Odpowiada mi pisk megafonu zamontowanego na dachu nad fotelem kierowcy. Krzywię się, podobnie jak kobieta pilnująca

najbliższej wieży. Potem ktoś zaczyna mówić za pomocą tego urządzenia, nie opuszczając wozu.

- Czy to twoja... - Głos tonie w kolejnym trudnym do wytrzymania pisku, po czym słyszę zduszone „cholera”, kiedy kierowca kręci potencjometrem. - Czy to twoja kryjówka?

- Nie. - Potrząsam głową. Chodzi mu pewnie o ten parking albo sklep, chce wiedzieć, czy jestem tu sam czy z innymi facetami poubieranymi, dajmy na to, w granatowe spodnie i brązowe swetry, aby odróżniać się od intruzów noszących sportowe stroje, ale pewnie najbardziej jest zainteresowany, czy zamierzamy odbić SuperTarget. Czy uważamy ten sklep za swoją bazę wypadową czy może raczej chcemy splądrować te zabudowania do czysta na tydzień przed planowaną zagładą. - Nie - powtarzam. - Ja tylko tędy przejeżdżam.

Kobieta z najbliższej wieży przygląda mi się z umiarkowanym zainteresowaniem, ale na wszelki wypadek nie opuszczam rąk.

- Aha - mówi głos z megafonu. - To tak jak my.

Mężczyźni patrolujący dach zebrali się przy krawędzi, obserwują mnie z dystansu. Też mają karabiny maszynowe i czerwone sportowe koszulki. Kątem oka dostrzegam ludzi kłębiących się za kompleksem sklepów, przy rampie wyładunkowej. Oczyszczają to miejsce. Wynoszą pudła, wytaczają całe zafoliowane palety. W tym sklepie było naprawdę niewiele, gdy go przeszukiwaliśmy, ci ludzie jednak zabierają stąd dokładnie wszystko. Ten widok napędza mnie desperacją. Potrzebuję tego młota.

- W tym sklepie jest narzędzie, którego bardzo potrzebuję - dodaję.

- Cóż... - Kolejny przeraźliwy pisk sprzężenia. - Do jasnej cholery - rzuca mężczyzna z kabiny, po czym wyłącza nagłośnienie i otworzywszy drzwiczki wozu, wyskakuje na beton. Nosi okulary, nie wygląda zbyt groźnie. Ma na sobie taką samą czerwoną koszulkę ozdobioną wyszytym nad kieszonką imieniem: Ethan. Umiarkowanie atletyczną sylwetkę zniekształca wystający brzusek. Facet wygląda mi na trenera szkolnej drużyny

w średnim wieku. – Wybacz. To straszna tandeta. Czego potrzebujesz?

- Młota. Jest tam jeden. Wilton z plastikowym trzonkiem. – Robię krok do przodu, nawiązuję kontakt wzrokowy, uśmiecham się i wyciągam dłoń, jakbyśmy spotkali się u sąsiada na grillu. – Naprawdę go potrzebuję.

- Rozumiem. Okej, moment.

Drapie się po policzku niezdecydowany, po czym unosi palec i zagląda do kabiny wozu. Słyszę, jak rozmawia z kimś przez krótkofalówkę albo przez CB. Potem wychyla się ponownie i szczerzy do mnie radośnie, czekając na odpowiedź tego, który tutaj teraz rządzi. On sam nie miałby nic przeciw, widzę to po jego spojrzeniu. Gdyby przyszło mi się układać z Ethanem, sprawa byłaby już załatwiona. Wciąż pada, woda ciurczy z nieba nie za mocno, za to nieprzerwanie. Przesuwam dłonią po sierści Houdiniego. Spoglądam na kobietę okupującą najbliższy przesuwany podest, ona jednak patrzy gdzieś w przestrzeń zajęta własnymi myślami. Jeszcze półtora roku temu sprawdzałyby e-maile na swojej komórce.

Krótkofalówka w pikapie na powrót ożywa, więc Ethan znów znika do połowy w kabinie, potakuje żywo, słuchając, a ja nie spuszczam wzroku z jego twarzy, dopóki nie wróci na zewnątrz.

- Słuchaj, kolego, masz może coś na wymianę?

Robię szybkie podsumowanie wszystkiego, co posiadam: kurtka i spodnie, buty i koszula. Skoroszyt i długopis. Naładowany sig-sauer i pudełko naboju kaliber .40. Wydarte z rocznika szkolnego zdjęcie pewnej zaginionej dziewczyny.

- W sumie to nie – przyznaję. – Przykro mi. Ale z drugiej strony ten młot należy przecież do mnie.

- Co znaczy, że należy do ciebie?

Nie wiem, co powiedzieć. Zobaczyłem go pierwszy? Naprawdę jest mi potrzebny?

- To tylko przedmiot – rzucam, słysząc, że uderzam w błagalne desperackie tony. – Jeden jedyny przedmiot.

Ethan pociera dłonią szczękę. Nie czuje się najlepiej, jak chyba każdy z nas.

- A co z wózkiem? - Zerka na wartowniczkę z pobliskiego podnośnika, która obserwuje naszą rozmowę z dużą dozą sceptycyzmu. - Może wymienimy się za ten wózek?

Spoglądam na poobijanego red rydera. Zabraliśmy go z Concord. Od tamtej pory kółka zdążyły się powykrzywiać.

- Problem w tym, że jak ci oddam wózek, nie będę miał jak dowieźć młota tam, gdzie jest potrzebny.

- A niech to. - Wzdycha ciężko. - No i tak doszliśmy do tego, jak mu tam...

- Paragrafu 22? - rzuca kobieta z podnośnika.

Zanim zdążę coś dodać, ktoś przy rampie załadunkowej wykrzykuje „hej-ja”, na co odpowiada mu jeden z ludzi na dachu, a potem stojący na drugim od naszej strony podajniku. Ethan ożywa w momencie: wskakuje do szoferki, zatrzaskuje drzwi i zawraca na trzy zmiany biegów, by wrócić, tam skąd przyjechał. Kobieta w bandanie przygląda mi się z zaciśniętymi ustami, po czym wzrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć: no co zrobisz? Nic nie zrobisz.

- Szlag - mruczę pod nosem.

Houdini szczeka cicho, chrapliwie, więc pochylam się, by podrapać go za uchem.

* * *

Nie wiem co się stanie, jeśli wrócę na posterunek bez młota.

Może Cortez ma w rękawie jakąś inną sztuczkę, a może ta była już ostatnia. W tym drugim wypadku nie pozostanie nam nic innego, jak siedzieć z założonymi rękami i popijać tę lurę zwaną kawą, i gawędzić aż do popołudnia w środę, kiedy to zamilkniemy na dobre jak wszystko inne.

Rotary to niewielkie miasteczko, ale i tak większe od Pike, opodal którego znajduje się SuperTarget. To największa miejscowość w okolicy. Tam też musi być sklep z narzędziami.

Widzę wieżę kościoła i drugą podobną kilka mil dalej. Jest też bulwiasta wieża ciśnień z wypisaną na niej kobylastymi literami nazwą miasta, jak to mają w zwyczaju na głębokiej prowincji. Jesienne derenie ciągną się wzdłuż chodników, ich listowie jest pomarańczowe albo czerwone, a gałązki ociekają deszczówką. Nie widzę za to ludzi, nie ma po nich śladu.

To musi być gdzieś tutaj: takie miasta zawsze mają własne sklepy z narzędziami, a w każdym razie miały je do minionego roku, takie rodzinne interesy uwielbiane przez miejscowych, choć rokrocznie przynoszące straty. W takim sklepiku z pewnością znajdę młot, nawet cały ich rząd albo nawet regał. Zabiorę tylko jeden, załaduję go do wózecka, przywiążę i zawiozę na posterunek w Rotary.

Wędrujemy główną ulicą od drzwi do drzwi; przechodzimy obok lodziarni, pizzerii, apteki. Mijamy bar stylizowany na staromodny salon ozdobiony szyldem głoszącym: „Wpadnij na jednego”. Nigdzie nie zauważam jednak nawet śladu człowieka. Śladu życia.

- Niebieskie miasto - rzucam do Houdiniego, gdy rozglądamy się po opuszczonej lodziarni.

Pies obwąchuje puste opakowanie po rożkach, tak bardzo chciałby wbić zęby w coś, co nadaje się do jedzenia. W piwnicy parterowego ceglanego budynku użyteczności publicznej znajduję schowek cuchnący amoniakiem i środkami chemicznymi. Stoją tam też pomarańczowe pacholki chroniące datę kataklizmu wyrytą przez jakiegoś znudzonego rabusia. Nie ma jednak młota. Ani innego narzędzia.

* * *

Zaczęliśmy używać wobec miast kolorowego kodu z powodu wielobarwnego zestawu post-itów Corteza, które jako jedna z niewielu rzeczy pozostały w jego obrabowanym magazynie. Gdy opuszczaliśmy kolejne miasto, przydzielaliśmy mu kolor, robiliśmy to po części dlatego, że chcieliśmy mieć rozeznanie, ale też dla zabawy. Oznaczaliśmy wszystkie stadia rozkładu, różniące się w każdym przypadku, czasem nawet znacznie, ponieważ te

miejsowości pogrążyły się powoli w chaosie powodowanym nieuchronnością zagłady. Czerwonymi nazywaliśmy te, w których dochodziło do aktów otwartej przemocy: płonące, opanowane przez bandy maruderów, ze strzelaninami nawet za dnia, miasteczka, gdzie ginęli rabusie żywności i ludzie jej strzegący, gdzie oblegano domy. Tylko od czasu do czasu trafialiśmy na zorganizowanych przedstawicieli służb porządkowych: oddziały Gwardii Narodowej patrolujące czerwone miasta – trudno powiedzieć, czy z czyjogoś rozkazu czy na własną rękę – głównie dzieciaki wydzierające się na każdego i strzelające bez przerwy w powietrze.

Becker w Berkshire było jednym z takich czerwonych miast: na rozklekotanych motorowerach goniło nas dziesięciu chłopaków wrzeszczących jak spragnione krwi dzikusy. Stottville w stanie Nowy Jork także uznaliśmy za czerwone. Podobnie jak De Lancy i Oneontę. Dunkirk – miasteczko, w którym ocaliliśmy z płomieni pewne małżeństwo, ale musieliśmy pozostawić je własnemu losowi na stopniach lokalnej remizy – również miało tę barwę.

Zupełną przeciwnością takich miejsc są zielone miasta. Ich mieszkańcy zdołali jakimś cudem dojść do porozumienia. Dogadali się sami albo ktoś ich do tego przymusił, ale wspólnie dźwigają jarzmo niedoli. Zmiatają liście z chodników, popychają wózki dziecinne, kłaniają się sobie nawzajem. Prowadzają psy na smyczy albo rzucają im frisbee. W Media w stanie Ohio nie mogliśmy uwierzyć w to, że słyszymy chóralne wykonanie tematu przewodniego ze „SpongeBoba Kanciastoportego”, wykonywane wieczorem na głównym placu przez co najmniej trzysta osób. Po odśpiewaniu pieśni ludzie pozostali w parku, był tam klub szydełkowania, kółko czytelnicze, pokazy robienia świec i amunicji. Miejscowy klub strzelecki organizował polowania, by dostarczać pożywienie tym, którzy nie byli w stanie zdobyć go na własną rękę: kobietom i dzieciom, starcom i chorym.

Ważnym elementem zielonych miast jest system pozbywania się śmieci. Za rogatekami nieodmiennie płoną stosy odpadków albo robi się tam regularne wysypiska, na które ludzie przynoszą

śmieci, aby dla dobra całej społeczności pozbyć się ich spod domów. Jeśli dostrzegaliśmy zwały śmieci z dala od zabudowań, śmiało między nie wkraczaliśmy, ponieważ wiedzieliśmy, że to dobre miejsce na nocleg.

Czarne miasta były z kolei puste. Niebieskie na takie wyglądały, ale tylko pozornie. Ludzie w nich mieszkający po prostu nie wychodzili na ulice. Spokój takich miejsc przerywało od czasu do czasu pojawienie się przemykającej chyłkiem postaci, która przebiegała z jednego miejsca w drugie, czasem w dzień, czasem nocą, zależy, kto kiedy czuł się bezpieczniej. Reszta czatowała w oknach z bronią w ręku, pilnując tego, co im jeszcze zostało.

Do południa przekopałem całe centrum, więc naprawdę z wielką niechęcią zabrałem się do prywatnych domów. Mam ustalony system działania: pukam do drzwi, czekam chwilę, pukam ponownie, tym razem natarczywiej, i znów czekam. Jeśli nie ma żadnej reakcji, wchodzę. W domach znajduję mnóstwo osobistych drobiazgów: zimowe ubrania, gofrownice, myśliwskie trofea, wszystko to, co ludzie zostawiają, gdy muszą się ewakuować. Szafki na narzędzia są jednak nieodmiennie puste, podobnie jak lodówki, spiżarki i kanistry na benzynę.

Dobijam się do parterowego domu, którego boczne ściany są obite arkuszami aluminiowej blachy. Pukam, czekam, pukam ponownie, znów czekam, wchodzę i trafiam na drobniutkiego staruszka, który śpi w głębokim fotelu z rozłożonym na piersiach czytany numerem „Time’a”. Wygląda, jakby zapadł w sen przed wieloma laty i właśnie miał się zbudzić, by odkryć przerażającą prawdę. Wycofuję się na palcach i zamykam za sobą cicho drzwi.

Niebieskie miasto. Klasyczne niebieskie miasto.

* * *

Na moim casio jest już czternasta. Nie wiem, kiedy słońce zdążyło wypalić wszystkie chmury. Czas płynie nieubłaganie.

Nagle nachodzi mnie myśl, znienacka, sama z siebie, zawisa nade mną wielka jak kosmiczny krążownik, zasłania niemal całe

niebo: ona tam jest, nieżywa. W lesie. Leży w miejscu, które przeoczyłem. Albo siedzi w tej dziurze pod garażem i nie zamierza z niej wyleźć, więc marnuję tę resztkę czasu, która mi jeszcze została.

Idź dalej, Hen. Nie zaprzestawaj poszukiwań. Rób swoje. Nic jej nie jest.

Na Brookside Drive, zaledwie sześć przecznic od siedziby Legionu Amerykańskiego, trafiam na niewielki dom w wiejskim stylu, do pewnej wysokości osłonięty czymś w rodzaju muru obronnego, wysoką na dziesięć stóp konstrukcją z lanego betonu. Poważna inwestycja, jakby ta chałupa była co najmniej amerykańską ambasadą w Bagdadzie albo Bejrucie. Gruby beton, gładkie powierzchnie, wąskie szczeliny, jakby otwory strzelnicze. Te fortyfikacje wzniesiono nie po to, by przetrwać koniec, ale by móc go doczekać. Mają powstrzymać złodziei, różnych przejezdnych oprychów.

- Halo?! - wołam przez jedną ze szczelin. - Hej!

Niebo w jednej chwili eksploduje ogłuszającymi odgłosami serii strzałów z broni maszynowej. Padam na kolana, Houdini szaleje, zaczyna ganiać w kółko. Kolejna długa seria.

- Dobra! - drę się prosto w zabłoconą trawę, w której leżę. - Wystarczy.

- Mam prawo bronić własnego domu - odpowiada mi hardo ktoś zza ogrodzenia charczącym, nieco maniakalnym głosem. - To nadal mój dom.

- Ma pan rację - rzucam natychmiast. - Wiem o tym.

To człowiek z niebieskiego miasta. Nie widzę jego twarzy, ale mogę wyczuć strach i gniew. Podnoszę się bardzo wolno, patrząc na doskonale widoczny wylot lufy, która wystaje ze szczeliny przede mną. Jest długa i sztywna niczym nos mrówkojada.

- Już sobie idę - dodaję. - Wybacz pan, że przeszkodziłem.

Odpełzam powoli, bez wykonywania gwałtownych ruchów, z tyłkiem sterczącym w górę i rękoma opartymi o ziemię.

Oddalając się w kierunku wózka, mijam podstawę muru, na której ten, kto go wznosił - kimkolwiek był - wybił swój znak

firmowy. To jedno, jedyne słowo zabarwione ciemną czerwienią:
JOY, czyli RADOŚĆ.

2.

Jedynie ofiary samobójstwa, na jakie natrafiam w Rotary, spoczywają na osłoniętej werandzie przy Downing Street: mąż i żona z ranami postrzałowymi, pomiędzy nimi na szklanym stoliku stoi wypełniony lemoniadą dzbanek, skryształizowany cukier perli się na ściankach, plastry przegniłej cytryny spoczywają na dnie. Mąż nadal trzyma oburącz sztucer upchnięty między nogami. Chłonę tę scenę instynktownie, w jednej chwili, nawet tego nie chcąc. Strzelał on: najpierw zabił ją - czyste trafienie - a potem siebie. Tu nie było już tak łatwo, pierwsza kula przeszła pod za ostrym kątem, przebijając tylko kość policzkową, dopiero drugi strzał w podniebienie zrobił swoje.

Czuję falę szacunku dla tego człowieka z odstrzeloną dolną połową twarzy za to, że dotrzymał słowa danego wcześniej kobiecie. Zastrzelił ją, a potem sam odebrał sobie życie, tak jak ustalili. Nad dzbankiem lemoniady krążą pszczoły zwabione tutaj zanikającym już zapachem słodczy.

Nie mieli w domu młota. Przekopałem cały garaż, a potem wewnątrz domu, zaglądając do każdej szafy. Takiego narzędzia nie potrzebujesz na co dzień.

Schodzę razem z Houdinim z ganku na ulicę, gdzie natychmiast owiewa mnie znajoma, jakże przyjemna woń. Dałbym słowo, że w tym momencie spoglądamy na siebie, ja i pies, dzieląc tę samą myśl: czy to może być pieczony kurczak?

Ślina wypełnia mi usta, Houdini rozgląda się bez przerwy. Oczy lśnią mu z podniecenia jak marmurowe kulki.

- Szukaj - rzucam, więc rusza śladem zapachu, a ja biegnę za nim.

Gnamy wzdłuż bocznej uliczki, której nie zdążyłem sprawdzić, to długa, choć wąska alejka prowadząca na zachód od Elm Street. Mijam kolejne zabite dechami domki, stację benzynową

z powyrywaniem dystrybutorami. Pędząc za psem, czuję coraz głośniejsze burczenie w brzuchu, więc zaczynam rechotać pod nosem, trochę jak szaleniec, ponieważ powoli dociera do mnie, że to może być coś w rodzaju pustynnej fatamorgany: tam otumaniony człowiek pędzi ku źródłu wody, tu natomiast patykowaty policjant gna za iluzorycznym zapachem pieczonego kurczęcia.

Droga biegnie na tym odcinku łagodnie pod górę, mijamy kilka skrzyżowań, później po prawej dostrzegam parking, pośrodku którego wznosi się trudna do pomylenia z czymś innym bryła Taco Bell. Ściany budynku zdobią tradycyjnie purpura i złoto, klasyczna tania sztukateria – to jeden z miliona podobnych obiektów, jakie wybudowano w Ameryce w ciągu minionego półwiecza, zwłaszcza na obrzeżach mniejszych miast. Ale to jest wciąż działający tani meksykański fast food, o czym świadczy otaczający mnie i Houdiniego zapach. Pieczony kurczak, taki soczysty, wonny, tego zapachu nie da się pomylić z żadnym innym. Ślinię się do niego jak postać z kreskówki.

Z wnętrza restauracji dobiegają dźwięki muzyki, co także wydaje mi się bardzo dziwne. Przechodzimy przez parking Taco Bell powoli, ja przodem, z pistoletem w dłoni, Houdini za mną, trzymając się jednak blisko. Wspólnie wsłuchujemy się w głośny łomot dobiegający ze środka, a raczej skądś zza restauracji: głośna muzyka, przesterowane gitary, wrzaskliwy wokal.

Zatrzymuję się raptownie, gwizdnięciem przywołuję psa, który posłusznie wraca do nogi. Przyglądam się uważnie budynkowi, przez wybite okna widzę wyraźnie plastikowe boksy, ceraty na stołach, podajniki serwetek. Drzwi frontowe są otwarte na oścież, podparto je książką telefoniczną.

Muzyka dobiegająca zza restauracji to Beastie Boys. Nagranie nosi tytuł „Paul Revere”, pochodzi z ich najlepszej płyty. Zapach kurczaka i dźwięki muzyki docierają do nas z wiatrem

- Siad - nakazuję psu. - Zostań.

Wykonuje polecenia, powiedzmy, że to robi. Niby zostaje z tyłu, ale przesuwa się wolno po każdym kroku, jaki robię wzdłuż ściany

tego niewielkiego budynku.

- Halo! - wołam, sunąc bardzo wolno wzdłuż muru z pistoletem w dłoniach. - Jest tu kto?

Nikt nie odpowiada, ale nie mam pewności, czy ktokolwiek może mnie usłyszeć przez ten jazgot. Nigdy nie byłem wielkim fanem Beastie Boys, miałem jednak przyjaciela, Stana Reingolda, który mniej więcej przez tydzień był hiphopowcem, jeszcze za czasów szkoły średniej. Kilka lat temu dowiedziałem się, że służy w 101. Powietrznodesantowej. Dzisiaj może być wszędzie. Podnoszę sig-sauera na wysokość piersi i wychodzę z za żywopłotu na podjazd.

Nie dręczą mnie już wątpliwości, że mam do czynienia z mirażem. Zapach pieczonego kurczaka jest bardzo wyraźny, miesza się z wonią rozgrzanego asfaltu i parującej deszczówki. Może to jakaś pułapka, ktoś wabi przechodniów głośną muzyką i zapachami żarcia, aby... czort wie, co z nimi zrobić.

Widok tego, co wyrabia się za restauracją, przesłania mi wielki kamper, wóz ten ma ze dwadzieścia pięć stóp długości, zaparkowano go tak, że dotyka tyłem do ściany Taco Bell, blokując przy okazji całą przestrzeń parkingową. Ten masywny pojazd stoi na ceglach, wszystkie jego drzwi są otwarte na oścież, a okna opuszczone. Szyby kabiny pozasłaniano częściami ubrań, inne leżą na podniesionej masce. Brązowe burty przecina czerwony pas, na którym ktoś wykaligrafował sprayem równy napis: PIRAT AUTOSTRAD. Wydaje mi się, że muzyka dobiega z wnętrza wozu. Houdini szczeka cicho u moich stóp, on także ma już dość czekania. Pochyliam się i poklepuję go po karku, w nadziei że da się tym udobruchać i umilknie. To nie jest niestety zbyt dobrze wyszkolony pies.

Muzyka się urywa, mamy moment ciszy, po którym rozlega się kolejny jazgot. Tym razem to „Livin' on a Prayer” grupy Bon Jovi. Ruszamy dalej, Houdini i ja, wzdłuż burty kampera, a gdy wyglądam w końcu z za krańca wozu, zauważam stojącego na parkingu mężczyznę mierzącego do mnie z shotguna.

- Ani kroku dalej, bracie - ostrzega. - Masz się zatrzymać, twój pies także.

Zamieram, Houdini na całe szczęście robi to samo. Jest ich tam dwoje, mężczyzna i kobieta, oboje półnaczy. On nie ma na sobie koszulki, tylko bokserki i klapki, jego długie brudne kasztanowe włosy z pewnością nie wiedzą co to fryzura. Ją zdobi długa spódnica w kwiaty, rude włosy i czarny biustonosz. Oboje trzymają w jednej ręce po piwie, w drugiej po shotgunie.

- Dobra, bracie, dobra - rzuca mężczyzna, mierząc mnie wzrokiem. Ma lśniące od potu spore bicepsy i ogorzałe czoło. - Nie rób niczego, co zmusiłoby mnie do odstrzelenia ci głowy.

- Nie zrobię.

- Nie robi - wtrąca kobieta, po czym pociąga spory łyk piwa. - Możesz mi wierzyć. To dobry chłopak, dobrze mówię? Jesteś dobrym chłopcem.

Potakuję.

- Jestem dobrym chłopcem.

- Tak. Będzie naprawdę dobry. - Puszczą do mnie oko.

Gapię się na nią. To Alison Koechner, moja pierwsza sympatia. Płomieniste włosy zdobią jej blady tors jak wstążki prezent.

- Jestem Billy - przedstawia się facet. - A to Sandy.

- Sandy. - Mrużę oczy. - Aha.

Kobieta się uśmiecha. To nie Alison, w niczym jej tak naprawdę nie przypomina. Co ze mną jest nie tak? Odchrząkuję, by oczyścić krtań.

- Przepraszam, że was nachodzę - mówię. - Nie mam złych zamiarów.

- Kuźwa, gościu, my też nie mamy - stwierdza Billy.

Mówi to ciepłym, niemal radosnym tonem, przesiąkniętym śmiechem i blaskiem słońca.

- Absolutnie - dodaje Sandy.

Stukają się butelkami, nadal uśmiechnięci, ale żadne z nich nie opuszcza wymierzonej we mnie broni. Odpowiadam więc niepewnym wyszczerzeniem zębów, po czym następuje długa niezręczna chwila, podczas której próbujemy nawzajem się przekonać o swoich dobrych intencjach, nie zdejmując palców ze spustu. Tak to teraz wygląda. Za Billym i Sandy, pomiędzy ich

kamperem a restauracją, stoi węglowy grill, ciężki i czarny, kopący jak lokomotywa. Obok zauważam aparaturę do warzenia piwa, prymitywną samoróbkę: płatanina rurek łączy jakieś kotły i beczki. Jeszcze dalej, za niską siatką, dostrzegam kłębiące się na trawniku stadko kurczaków - mijają się i mieszają na tych alienowatych nóżkach, gdacząc bez przerwy jak uczestnicy jakiegoś festynu czekający na rozpoczęcie koncertu albo na masową egzekucję.

Billy przerywa w końcu ten impas, postępuje krok do przodu, więc ja cofam się na taką samą odległość, mierząc z pistoletu w jego twarz. Krzywi się, potem odwraca głowę, spokojnie, okazując znużenie, jak lew oganiający się od moskita.

- Zrobimy tak, bratku - mówi. - Mam browara i spluwę, jak widzisz. Możesz napić się z nami, posiedzieć tu chwilkę, nakarmimy cię też, zanim sobie pójdiesz. Mamy na grillu całego kuraka, ponieważ zbliża się pora obiadu. Spory był, nie, kochanie?

- Zgadza się - odpowiada kobieta. - Klaudiusz, nie? - dodaje, szczerząc zęby. Przez jeden moment mrozący krew w żyłach mam wrażenie, że bierze mnie za kogoś o tym imieniu, ale potem dociera do mnie, że mówi o kurczaku. - Trzy kuraki dziennie, tak odliczamy czas do zdarzenia - wyjaśnia.

Billy przytakuje.

- Zgadza się. - Najpierw węszy, potem odrzuca rockerskie włosy. - Jest jeszcze druga opcja: zrobisz coś głupiego, na przykład spróbujesz ukraść kurczaka, i Sandy cię rozwali.

- Ja? - pyta rozbawiona.

- Tak, ty. - Billy śmieje się do mnie, jakbyśmy obydwaj żartowali.

- Sandy strzela lepiej ode mnie, zwłaszcza wieczorami, kiedy robi się ciemniej, a ja jestem już mocno napruty.

- Billy, u licha, ty jesteś wiecznie napruty.

- A ty może nie?

Ta kobieta w niczym nie przypomina Alison Koechner, teraz widzę to bardzo wyraźnie. Podobieństwo zanika jak topniejący na upale śnieg.

- Co wybierasz, brachu? - pyta Billy. - Browara czy kulkę?

Opuszczam broń. Sandy także, a potem robi to Billy, po czym podaje mi piwo, które jest ciepłe, gorzkawe i przesmaczne.

- Dzięki - mówię, gdy cofają się oboje, zapraszając mnie na swoje terytorium. - Nazywam się Henry Palace.

Pies człapie za mną, łypiąc podejrzliwie w kierunku tłustych, obcych mu pierzastych kurczaków.

Z głośników płynie kolejna melodia, jakiś heavymetalowy kawałek, którego nie rozpoznaję. Pomiedzy ścianą restauracji a kamperem rozpięto dwa hamaki, pod nimi spoczywa stos papierowych talerzy pokrytych tłuszczem i kurzymi kostkami. Z gałęzi pobliskich drzew zwisają chińskie lampiony. Głośniki zamontowano na zewnątrz wozu, silnik pracuje na wolnych obrotach, zasilając sprzęt grający, światła, cały ich świat.

Zastanawiam się, co porabia teraz Trish McConnell w Domu Policjanta. Albo doktor Fenton w miejskim szpitalu. Detektywi Culverson i McGully, gdziekolwiek ten drugi skończył. Albo Ruth-Ann, najlepsza kelnerka z ulubionej restauracji. Wszyscy oni robili kiedyś coś zupełnie innego.

- Poważnie mówię, człowieku - rzuca Sandy, kładąc mi rękę na ramieniu. - Namieszasz z kurczakami, a odstrzelimy ci łeb.

* * *

Kurczak był przepyszny. Zjadłem go naprawdę dużo, ale Billy i Sandy zachęcają, abym wziął dokładkę, więc robię to i dokarmiam też Houdiniego, który wsuwa mięso z takim zapalem, że aż miło patrzeć. W zamian proponuję trzy torebki prażonych orzeszków jako dodatek do tego obiadu. Gospodarze przyjmują dar z radością, wznosząc przy okazji całą serię toastów za moją szczodrość.

Mieszkają w tej miejscówce, jak ją nazywają, od niemal miesiąca, a może nawet od sześciu tygodni, sami już tego nie wiedzą. To ich trzecia meta.

- I ostatnia, jak się domyślasz - uściśla Billy.

Kurczaki pochodzą z poprzedniej meliny, farmy znajdującej się gdzieś pomiędzy Rotary a Hamlin, czyli sąsiednim miastem na południu. Gospodarze wyciągają się na hamakach, ja siedzę na ziemi pod nimi oparty o zderzak kampera, pogryzając ostatnie orzeszki. Kurczaki to dary pieprzonego losu, zapewnia mnie Sandy.

- Zostało nam ich jeszcze szesnaście - dodaje. - Trzy na dzień, a dni zostało jeszcze pięć, co daje w sumie piętnaście.

- No to mamy jednego w zapasie - wtrąca Billy.

- Zgadza się, jeden jest w zapasie. - Sandy ściska jego dłoń.

Miło się ich słucha, są jak dwuosobowa trupa teatralna. Zadowolenie, jakie z nich emanuje, zapadający powoli zmierzch i mżawka tworzą anestezjologiczną mgiełkę, więc siedzę tam z przymkniętymi powiekami i wsłuchuję się tępo w ich gaworzenie. Kończą nawzajem wypowiedziane przez drugą stronę zdania, chichocząc przy tym jak dzieci. Leniuchują całymi dniami, palą fajki, wygłupiają się, piją piwo, wsuwają kurczaki. Oboje urodzili się i dorastali tutaj, w Rotary, wspólnie kończyli miejscowy koledż, ale wynieśli się z tej okolicy, gdy tylko osiągnęli pełnoletność. Billy kręcił się to tu, to tam, jak sam mówi, swoje też odsiedział, ale niedługo, potem wyszedł na warunkowe, „i nadal na nim jestem, jak się zastanowić”, stwierdza, prychnąwszy pogardliwie. Sandy z kolei uczęszczała przez dwa lata do szkoły w Cincinnati, wyszła za światowej klasy durnia, rozwiodła się, po czym skończyła jako kelnerka w zajeździe gdzieś pod Lexington.

Spiknęli się ponownie mniej więcej wtedy, gdy gruchnęła wieść, jakoś wiosną albo latem minionego roku, gdy szanse na zderzenie były wciąż niskie, ale szybko rosły, w czasach, gdy ludzie niby się jeszcze nie bali, choć już zaczęli szukać kontaktu z dawnymi miłośnikami i nadrabiali, co było do nadrobienia.

- Znaleźliśmy się - streszcza Billy. - Wiesz, Facebook i te sprawy.

Lato wypaliło się w jesień, szanse na ocalenie malały wraz ze średnią temperaturą. Świat zaczął drzeć w posadach, więc Billy

i Sandy pisali do siebie zabawne e-maile o ponownym zejściu się i wspólnym oglądaniu końca świata.

- Zanim ogłoszono tę cholerną stuprocentową pewność, Internet nam się skończył - Billy znów odrzuca włosy - a ja wciąż nie miałem jej cholernego numeru telefonu. Dupek ze mnie do kwadratu, nie?

- Zgadza się - popiera go Sandy. - Ja jego numeru też nie wzięłam, żeby była jasność.

On uśmiecha się do niej, ona do niego, kiwają głowami, piją piwo. On opowiada mi ich historię, ona od czasu do czasu wtrąca parę słów, uszczegóławia, delikatnie koryguje, głaszcząc go po lśniącym od potu bicepsie. Ja natomiast zaczynam coraz wyraźniej słyszeć wewnętrzny głos, który nakazuje mi ruszać dalej, skupić się na celu, znaleźć młot, wrócić z nim do garażu - nie mogę jednak drgnąć, jakby plecy przyrosły mi do kampera, a kolana utraciły zdolność zginania. Sączę wciąż to samo pierwsze piwo, przyglądając się, jak zachodzące słońce barwi czerwienią korony okolicznych drzew. Houdini leży na moich kolanach niczym wielki kudłaty pluszowy miś.

- Wtedy powiedziałem sobie: pieprzę wszystko - kontynuuje Billy. - Odpaliłem Pirata i ruszyłem w trasę, by jej szukać. Pozwól, że ci powiem jedno... wybac, stary, ale jak ty właściwie...

- Henry - przedstawiam się ponownie - albo jeśli wolisz, Hank.

- Hank - rzuca Sandy, jakby to ona zadała poprzednie pytanie. - Podoba mi się. Wiesz, co było najśmieszniejsze? Czekałam na niego spakowana.

- Uwierzyłbyś w coś takiego, brachu? Czekala na mnie. Czula, że ja odnajde, tak mi powiedziala.

- Tak bylo. - Sandy potakuje zdecydowanie, a w jej oczach dostrzegam lekkie pijackie rozbawienie. - Po prostu wiedzialam.

Kręca głowami, komentując to zrzącenie losu, potem trącają się szyjkami butelek. Przyglądam się tym niby drobnym gestom. Billy zrobił sobie z folii małą popielniczkę i na nią odkłada papierosa. Sandy wykonuje siedzącą wersję robota do hiphopowego kawałka lecącego z głośników kampera.

Przemykam oczy i odpływam na chwilę, choć nie całkowicie. Na jakimś poziomie percepcji jestem wciąż świadomy nielogicznego uporu co do pewnych kwestii związanych z moją siostrą - na przykład niezachwianego przekonania, że ona nie tylko wciąż żyje, ale uda mi się ją odnaleźć i zaciągnąć do rodzinnego miasta, które cholera wie, czy jeszcze istnieje. Wszystkie te myśli rozpływają się, otaczają mnie jak dym zgaszonej świecy. Jeśli Nico zdołała ocaleć do tej pory, trzymając się kurczowo myśli, że zderzeniu można zapobiec, to może naprawdę ma rację. Może do niczego nie dojdzie.

Nico jest cała i zdrowa. Wszystko jakoś się ułoży.

Otwieram oczy jakąś minutę albo dwie później, otrząsam się, po czym wyciągam zeszyt i zaczynam zapisywać.

Nie, Billy i Sandy nie mają poszukiwanego przeze mnie narzędzia. Ani tym bardziej zasilanego agregatem młota pneumatycznego. Dysponują za to paliwem, i to taką ilością, że wystarczy im aż do sądnego dnia, aby muzyka grała, sączyło się piwko i piekły kurczaki.

Moment później dociera do mnie, po co sięgnąłem do kieszeni, więc wyciągam plastikowe biblioteczne etui, potem wysuwam z niego zdjęcie, ostrożnie, ponieważ jego rogi zaczynają się już zaginać.

Nie, nie widzieli jej. W ogóle mało kogo ostatnio widują, a już na pewno nie było tutaj doroślejszej wersji uczennicy w okularach, czarnym T-shircie, w ogóle nie widzieli nikogo o tak zblazowanej minie.

3.

Proste obozowisko Billa i Sandy po zmroku także wygląda uroczo. Moi gospodarze marnują wystarczająco wiele energii, by zasilić kilka lampionów i móc tańczyć w ich żółtym blasku. Płaszą właśnie w wonnym dymie sączącym się z dogasającego grilla. Sandy kołysze głową w rytm rockandrollowej melodii, jej rude włosy unoszą się i opadają przy każdym kroku. Billy oplata ją w pasie rękami, wisi na niej jak kamizelka ratunkowa.

Wstaję, otrzepuję spodnie z pyłu i przyglądając im się w tym świetle, wspominam nieżyjących rodziców. Może spowodowało to zniknięcie Nico i jej poszukiwania, a może chodzi o intensywność przeżyć ostatnich dni, ale zaczynam się właśnie zastanawiać, co by sobie o tym wszystkim pomyśleli.

Za każdym razem gdy do New Hampshire przybywała przepiękna jesień, która dzień po dniu złociła liście tak pięknie kontrastujące z idealnie błękitnym niebem, ojciec zwykł mawiać:

- Wrzesień jest królem wszystkich miesięcy. Nie tylko u nas, ale też wszędzie indziej. Na całym świecie. Wrzesień jest ideałem.

Stawał na ganku z okularami uniesionymi na czoło, lekko pochylony, oparty obiema dłońmi o poręcz balustrady, i wdychał gryzące opary liści palonych przez sąsiadów. Moment później mama, uśmiechając się z politowaniem, kontrowała:

- Przecież ty nigdy nie byłeś nigdzie indziej. Od urodzenia mieszkasz w Nowej Anglii.

- To prawda - przyznawał. - Ale i tak mam rację. - Całował ją, potem mnie. - Mam rację. - Całował małą Nico.

Następny kurczak, imieniem Augustus, zostanie podany dokładnie o północy, lecz nie mogę tu tak długo zostać. Mam zadanie do wykonania. Zerkam w kierunku ulicy za kamperem. Wydaje się taka mroczna.

Billy podchodzi do rozklekotanej aparatury, by napełnić ponownie butelki uwarzonym piwem. Sandy wciąż płąsa po parkiecie, a ja wpadam na ostatnią kwestię, o którą mogę ich wypytać.

- Co wiesz o policji? - rzucam.

- Możesz powtórzyć pytanie, Hank?

Gapi się na mnie, gdy piwo pieni się, ściekając z brudnego kranika do wylotu napełnianej flaszki.

- Co wiesz o stróżach prawa. Znaczą tutaj, z Rotary. Czy znałeś miejscowych policjantów?

- Taaa, to były same palanty. Jak wszyscy gliniarze.

Dostrzega moją minę, moment później parska, aż mu piwsko tryska z nozdrzy.

- No nie! - Zaśmiewa się, ociera wierzchem dłoni pianę z twarzy.

- Miałem takie dziwne przeczucie, serio... - Milknie w połowie zdania, po czym woła do Sandy, która chwieje się nadal z przymkniętymi powiekami, mamrocząc pod nosem słowa „Enter Sandman” Metalliki: - Słuchaj, to gliniarz!

Nie otwierając oczu, wciąż kołysząc się, jego kobieta unosi rękę z wyprostowanym kciukiem.

- Słuchaj, stary, nie pakuj mnie do puszki za pędzenie. - Znów się śmieje, jakby nie mógł uwierzyć. - To się już nie powtórzy,

- Nie jestem już gliniarzem - wyjaśniam. - Moje stanowisko pracy zostało zlikwidowane.

Billy pociąga kolejny spory łyk piwa.

- Gówniana sprawa, nie? Wszyscy możemy to o sobie powiedzieć. Cała planeta, człowieku. - Parska. - Nasze stanowiska pracy zostały zlikwidowane.

- Wracając do tematu - rzucam. - Co wiesz o miejscowych gliniarzach?

Potrzęsa głową.

- Wybacz, brachu, ale jak już wspomniałem, tutejsze psy były takie jak wszędzie, klasyczne palanty. Takich gliniarzy pamiętam z młodości, a potem sytuacja tylko się pogorszyła, sam wiesz.

- Jak długo pracowali?

- Po ogłoszeniu wielkiej wiadomości? - Billy się zastanawia, przeczesuje włosy mokrą od piwa dłonią. - Większość pewnie ze dwie pieprzone sekundy. Nawet ten ich szef, Mackenzie, pierwszej klasy gnida. - Znów się odwraca. - Hej, Sandy, pamiętasz Dicka Mackenziego? - Kolejne uniesienie kciuków Sandy tańczącej z przymkniętymi oczami. - Świnia pełną gębą, nie? - Kciuki wędrują jeszcze wyżej. - Mówię ci, brachu - dodaje Billy, odwracając się do mnie. - Większość z nich dostała odpału, jak tylko się okazało, że to poważna sprawa.

Tę samą historię wyczytałem z opasłego, oprawionego w skórę dziennika detektyw Irmy Russell - oczami wyobraźni widzę sporządzoną jej ręką notatkę ozdobioną trzema wykrzyknikami: „Jason odszedł!!!”. Czy nie z takiego właśnie powodu trafiłem na krótko do grona detektywów w Concord? Ludzie odchodzili, ludzie ginęli. Okazje pojawiały się nagle. Tak to można ująć optymistycznie.

- Kilku pewnie zostało dłużej - kontynuuje Billy. - Tych najlepszych. Ale tylko do zamieszek.

- Do zamieszek? - Czuję rosnące zainteresowanie. Mrużę oczy, by się skupić, potrząsam głową, aby pozbyć się lekkiego zamroczenia spożytym piwem. - Do jakich zamieszek?

- Tych w więzieniu. Stanowym.

- Creekbed.

- Zgadza się, brachu. To miało miejsce... hej, Sandy, pamiętasz, kiedy wybuchła zadyma w Creekbed?

- W maju - odkrzykuje.

- Nie... - Billy krzywi się w zamyśleniu. - Chyba w czerwcu.

- Dziewiątego czerwca - podpowiadam.

- Skoro tak mówisz...

Potakuję. Tak właśnie mówię. Ostatni wpis w dzienniku Irmy Russell głosi: „Ojczy w niebiesiach, miej nas w opiece, proszę”.

- Wiem to od kumpla, a jemu powiedział jakiś znajomek, ćpun, który tam wtedy był, a przynajmniej tym się chełpił, debil jeden. Z tego, co mówił, do Stanowego Zakładu Karnego Creekbed posłano każdego, kto jeszcze nosił odznakę. Zdaje się, że

strażnicy dali nogę, chociaż nie pootwierali krat, ale znasz więźniów, wiesz, do czego są zdolni, jak nie masz na nich oka. Uznali, że wszyscy o nich zapomnieli, więc pozdychają z głodu, jeśli czegoś nie zrobią.

Ma rację. Pozdychaliby – jak szczury w klatkach, jak Kevin, były komandos i chłoptaş matki Corteza. Jak wszyscy ludzie, którzy będą zamknięci w przyszłą środę: więźniowie, obłożnie chorzy, niezdarni starcy. Wszyscy ci, którzy nie mogą opuścić domu bez pomocy podnośnika hydraulicznego. Choć jeśli spojrzeć na to z drugiej strony, wszyscy jesteśmy dzisiaj uwięzieni, jak te damy w opałach z archiwalnych filmów, które porzucano związane na torach przed jadącymi pociągami.

- No i puścili pierdel z dymem – dodaje Billy.

- Gliniarze?

- Co ty, brachu, bandziory. Kumpel kumpla i jego paka. Było ich tam z kilkuset, jeśli nie więcej. – Jego butelka znów jest pusta, więc napełnia ją pod kranikiem. – Podpalili ten burdel, żeby zwrócić na siebie uwagę, więc wszyscy gliniarze, którzy jeszcze nie pieprznęli odznakami, strażacy i ci tam, no... sanitariusze zjechali się na miejsce. Wtedy właśnie zrobiło się, że tak powiem, niefajnie. – Zerka na Sandy, potem pochyla się i kontynuuje zniżonym głosem, jakby chciał jej oszczędzić przysłuchiwania się tej rozmowie i wracania myślami do tamtych chwil: – Cholernie niefajnie. Gdy tylko zaczęto ich uwalniać, poodbierali broń gliniarzom i zaczęli napażać do wszystkiego, co się rusza: do psów, strażaków, sanitariuszy. Zamykali ludzi w płonących zabudowaniach tylko dlatego... – Wzrusza ramionami. – Ot tak, po prostu. – Wbija wzrok w butelkę. – Wiesz, bez urazy, nie mam powodu lubić gliniarzy – chichocze pod nosem gdy to mówi – ale coś takiego... – Milknie ponownie, odchrząkuje, stara się znów uśmiechnąć szczerze. – Tyle mogę ci powiedzieć na temat tutejszej policji. Od tamtej pory każdy musi troszczyć się o siebie.

- Tak – odpowiadam. – Domyślam się.

- Tam, skąd przyszedłeś, było podobnie?

- Owszem - przyznaję i znów widzę oczyma wyobraźni płonące Concord, kopułę ratusza czerwoną od blasku płomieni. - Mniej więcej.

Czerwone miasta, niebieskie, czarne. Lada moment będzie po wszystkim. Ona jest tuż-tuż.

Zapisuję rozmowę o Creekbred w niebieskim zeszycie, datę, kolejność wydarzeń. Robiąc to, zastanawiam się, czy ta historia może mieć jakieś punkty styczne z Nico, grupą Jordana oraz z ich obecnością w Rotary. Jedyne, co wiem, to że moja siostra została wezwana w to miejsce w połowie lipca, gdy jej kumple zlokalizowali poszukiwanego naukowca gdzieś w Indianie, bodajże w Gary. Trudno mi jednak wyobrazić sobie, by Jordan i jego ludzie dysponowali środkami pozwalającymi na rozpętanie zamieszek w pobliskim więzieniu stanowym, doprowadzenie do pożaru i masakry. Czy robiliby tak wiele zadymy tylko po to, by wykurzyć z Rotary kilku ostatnich gliniarzy?

Mimo wszystko zapisuję te przemyślenia. Ostatnie stronicie mojego cienkiego zeszyciku zdobią kolejne liczne znaki zapytania.

Smutek z powodu marnego końca detektyw Irmy Russell kondensuję do pięciu, dziesięciu sekund. To nie moja bajka. Nie moja sprawa. Mimo to wyobrażam sobie tę scenę: płonące więzienie, wkraczający do akcji ratownicy, odgłosy wystrzałów, płomienie, ludzie walący w ściany cel, wrzeszczący i palący się za grubymi szklanymi drzwiami.

- Jeszcze jedno pytanie, Billy. Wiesz coś na temat tutejszego posterunku?

- Nie.

- Kiedy go zbudowano? Czy ma piwnice?

- Przecież ci powiedziałem, brachu, że nie mam bladego pojęcia.

- Szeroki uśmiech powoli znika z ust mojego rozmówcy.

Sandy podchodzi do kranika ich domowego browaru, uśmiechając się w zamyśleniu. Billy zastanawia się, ile jeszcze minut powinien poświęcić obcemu z zeszytem, który zadaje tyle pytań, nie oferując niczego w zamian.

- Dzięki - rzucam więc, zamykając zeszyt. - Bardzo mi pomogłeś.

- Nie ma sprawy, brachu - rzuca na odchodne. - A teraz muszę zaciukać Augustusa.

* * *

Czas na mnie, naprawdę muszę już iść. Księżyc właśnie wschodzi.

Stoję jednak pod kamperem obok Sandy i patrzę, jak Billy wybiera, a potem zarzyna ostatniego kurczaka przeznaczonego na tę dobę. Houdini waruje przy ogrodzeniu z łąbkami pomiędzy łapkami, obserwując uważnie każdy ruch mężczyzny brodzącego w stadzie drobiu. Nasz gospodarz robi swoje, naciąga żółte gumowe rękawice, wysoko, aż po łokcie, potem zakłada na goły tors ciężki rzeźnicki fartuch. Czarne włosy z klatki piersiowej sterczą znad jego górnej krawędzi. Ogrodzenie wygląda na nowe, belki, na których rozpięto siatki, są wciąż jasne, docięto je więc niedawno, w dodatku bardzo dokładnie. Ich podstawy są betonowe, na każdej z nich dostrzegam to samo logo składające się z trzech liter: JOY.

- Hej, Sandy - zagaduję. - Chciałbym zapytać o to ogrodzenie.

- Niezłe, nie? - odpowiada nieobecny tonem, skupiona na Billym i jego żółtych rękawicach, w których wynosi Augustusa ze stada.

- Powiedz mi, Sandy, kto je dla was zrobił?

- Kto zrobił to ogrodzenie?

- Tak. Czyja to robota.

- Taki jeden - rzuca, ziewając. - Amisz.

- Amisz?

Nie zwracam zbyt dużej uwagi na to, co robi właściciel tego stadka. W głowie znów mam nieludzki mętlik. Billy unosi Augustusa wyżej, jakby oceniał jego wagę. Houdini nie spuszcza z oka szamoczącej się, skrzeczącej ofiary.

Sandy wyjaśnia, że spotkali amisza w głębi miasta.

- Wcześniej zajmował się stawianiem znaków, robił takie tam różne wykopy, betonowe wylewki... Wszystko, by zarobić na żarcie. - Spogląda na mnie, zauważa napięcie. Betonowe wylewki,

tylko te słowa dźwięczą mi w głowie, jakby powtarzała je w kółko.
- To było naprawdę zabawne, właśnie powiedziałam Billy'emu, że sami powinniśmy zrobić tę zagrodę, na co on odparł, że za cholere nie wie, jak się do tego zabrać. A pół godziny później napatoczyliśmy się na tych gości.

- Na tych gości? Było tam więcej amiszów?

- Nie. Amisz był jeden. Wielki, stary, z gęstą brodą, czarną, ale poznaczoną już siwizną. Musiał przyleźć tu ze wsi, bo tylko tam mieszkają tacy jak on, ale było z nim paru obcokrajowców.

- Mówisz o imigrantach?

- Tak, zgadza się. O nielegalach. Skośnookie sukinsyny, może Chińczycy? Sama nie wiem. Nie odezwali się słowem, tylko zapieprzali. Harowali jak trzeba, tak na marginesie. Amisz ich doglądał.

- Wiesz, jak się nazywa?

- Wyobraź sobie, że nie. Serio - zapewnia. - Billy także nie ma pojęcia, tego jestem pewna. Przez całe cztery godziny, jak tu zapieprzali, nazywaliśmy go amiszem. Nie bawiło go to zbyt, ale reagował prawidłowo, jak się go wołało.

Billy kładzie kurczaka na odwróconej do góry dnem skrzyni. Ptak odruchowo podnosi łeppek, gapi się prosto na człowieka, który stara się go unieruchomić obiema rękami. Moment później ostry tasak opada szerokim łukiem na wyciągniętą szyję ofiary, krew tryska na wszystkie strony. Billy odwraca się na moment, krzywi się strasznie z odrazy i strachu. Korpus kurczaka drga jeszcze chwilę pod jego ręką, potem nieruchomieje. Wtedy do akcji wkracza Houdini, zaczyna szczebrać jak szalony, nie spuszcza oczu z truchła, gapi się na strugę krwi wypływającą z przepołowionej szyi.

Wyciągam ponownie ołówki i odwracam się do Sandy, zapisuję wszystko, pospiesznie, najzwzięle, jak umiem, ponieważ zbliżam się w zastraszającym tempie do końca ostatniej kartki. Amisz ze wsi, ale jakiej, jak daleko od miasta leży kolejna spora miejscowość? Jakies czterdzieści mil. Dwaj imigranci, którzy mu towarzyszyli, byli Azjatami, ale to on szefował. Zna się na

wylewaniu betonu. Wy poprosiliście, aby zrobił te słupki z betonu? Nie, to jego propozycja, twierdził, że zna się na tym, nie to co my...

Trzymam ołówek w charakterystyczny sposób, przy końcu, umysł chłonie każde słowo jak gąbka, zawsze tak jest, gdy biorę się do analizowania faktów. Sandy robi wielkie oczy, wydaje się zadowolona, że potakuję bez przerwy i powtarzam jej słowa, próbując to sobie poukładać, dysząc przy okazji jak zgoniny pies, doświadczając uczucia rosnącej pewności siebie, wiary w to, że jestem wystarczająco inteligentny, by podołać w przyszłości takiej robocie. Za pięć, dziesięć lat?

Nagle dociera do mnie, że w zamyśleniu zamknąłem oczy. Gdy otwieram je ponownie, widzę, że Sandy patrzy na mnie, nie, nie patrzy, ona się gapi, obserwuje mnie jak jakiegoś dziwoląga. Przez moment mam nawet wrażenie, że zagląda do wnętrza mojej głowy i obserwuje wypełniający ją wir myśli.

Odchrząkuję, by oczyścić krtań, co skutkuje atakiem kaszlu. Po jej szyi ścieka między piersi strużka potu.

- Jak miała na imię? - pyta.

- Kto?

- Ta kobieta. No wiesz która.

Płonę się. Spuszczam wzrok, potem znów spoglądam na nią. Przypominała mi Alison Koechner, ale mówię o Naomi. Szepczę jej imię.

Sandy pochyla się, całuje mnie, więc odpowiadam tym samym, przywierając do niej całym ciałem. Podniecenie postępująco w dochodzeniu narasta, zmienia się w radosne, ale też przerażające uczucie, nie w miłość, lecz w coś bardzo do niej podobnego - ciała otwierają się na siebie, końcówki nerwów rozwijają, szukając możliwości połączenia. To ostatnie takie uniesienie, jestem o tym przekonany, gdy wypełnia moje żyły i stawy, wiem, że nie poczuję go już nigdy więcej. Sandy cuchnie papierosami i piwem, mimo to całuję ją namiętnie, długo, a potem odstępujemy od siebie. Księżyc stoi już wysoko, świeci jasno, prosto na nas przez otwarte okno kuchni kampera.

Stoi w nim Billy. Przygląda nam się w milczeniu, trzymając za szyję martwego kurczaka, bezwładne, ale wciąż parujące ciało dynda pod jego dłonią. Gdy facet ściąga fartuch, widzę na jego szyi i umięśnionych barkach strużki potu, nagą pierś pokrywają plamy krwi, upaprał nią też bokserki. Cuchnie węglem i błotem.

- Słuchaj... - zaczynam, a Sandy drży u mojego boku, nie wiem, czy z przepicia czy może ze strachu.

To byłoby naprawdę absurdalne, gdybym dał się zabić tu i teraz, zastrzelić ze śrutówki przez zazdrosnego kochanka zaledwie pięć dni przed końcem świata.

- Zostań jeszcze pół godzinki - proponuje tymczasem Billy. - Zjesz jeszcze jeden posiłek.

- Nie, dzięki.

- Jesteś pewien? - pyta. Sandy wchodzi do ciasnej kuchni kampera, ściska go w pasie, a on przytula ją, nie puszczając jednak zabitego ptaka. - Muszę go tylko oskubać.

Mógłbym zostać, naprawdę. Sądzę, że przygarnęliby mnie chętnie, pozwoliliby spać na ziemi koło Pirata Autostrad, abyśmy razem doczekali zdarzenia.

Ale nie, tak to się nie skończy.

- Dzięki. Naprawdę - mówię. Poznałem nowe fakty. Otworzyły się przede mną nowe możliwości. - Wielkie dzięki.

CZĘŚĆ TRZECIA

Joy

Sobota, 29 września

Rektascensja 16 53 34,9

Deklinacja -74 50 57

Elongacja 82.4

Delta 0,368 j.a.

1.

Jeśli dobrze rozumiem to, co Cortez mówił o kształcie płyty, to wejście zaczopowano grubą warstwą betonu jak nie przymierzając, butelkę korkiem, a to znaczy, że ktoś musiał pozostać na górze już po tym, jak Nico i jej banda zeszli pod ziemię, jeśli więc przyjmiemy założenie, iż wszyscy oni mieli się tam schronić, to w garażu był ktoś jeszcze, ktoś, kogo wynajęto do tej roboty i dobrze opłacono za zapieczętowanie tego grobowca.

Wiem też, że w okolicy wzniesiono ostatnio kilka naprawdę solidnych konstrukcji, i o grupce mężczyzn najmujących się do dziwnych robót, ale specjalizujących się w betoniarstwie.

To mi wystarczy. Jadę więc ciemną nocą na południe stanową drogą numer cztery.

- Dwadzieścia albo trzydzieści mil - powiedział Billy. - Tam zaczynają się farmy amiszów, przy drodze zobaczysz stoiska z owocami i innym śmieciem. Na pewno nie przeoczysz tego zadupia.

Houdini leży w koszyczku, a grubą latarkę przykleiłem taśmą izolacyjną do kierownicy, więc widzę w snopie rozchwianego światła drogę przed nami.

Pedałując, wyobrażam sobie detektywa Culversona, który rechocze ze mnie i z mojej logiki żółtodzioba. Widzę go siedzącego po drugiej stronie naszej łoży w Somerset Diner, spoglądającego z nieprzesadnym rozbawieniem, przesuwającego cygaro z jednego kącika ust w drugi. Słyszę, jak wskazuje kolejne dziury w mojej teorii, a jest ich więcej niż w szwajcarskim serze.

Zadaje kolejne pytania tym przymilnym głosem, potem puszcza oko do kelnerki Ruth-Ann, gdy dołącza do niego, by mogli pokpić choć przez chwilę ze starego dobrego Hanka Palace'a, zanim ktoś odciągnie ją od naszego stolika, prosząc o dolewkę kawy.

Somerset Diner od dawna nie funkcjonuje, Culverson i Ruth-Ann zostali w Concord, a ja nie mam innego wyjścia, jak przeć prosto przed siebie, więc jadę opustoszałą szosą na południe ku „temu zadupiu”. Pozwalam sobie tylko na krótki odpoczynek na parkingu, rozkładam śpiwór pod tablicą z mapą Ohio i napisem: „Jesteś tutaj”, nastawiwszy budzik w zegarku na piątą.

Gdy Sandy zapytała mnie o imię, odpowiedziałem bez zastanowienia „Naomi”, choć to Alison Koechner była tą, którą kochałem najdłużej, a Trish McConnell pozostawiłem przed paroma tygodniami. Nie wspomniałem jednak o nich, tylko o Naomi.

Rozmyślałem o niej w tych wolnych chwilach, ponieważ nie ma już radia ani telewizji, które wypełniały ludziom czas, gdy nie zajmowali się dochodzeniem prawdy albo tłumieniem lęków.

Spotkałem Naomi Eddes podczas prowadzenia innej sprawy, ale nie zdołałem jej ochronić, choć naprawdę próbowałem. Spędziliśmy wspólnie tylko jedną noc: zjedliśmy kolację u pana Chow, wypiliśmy jaśminową herbatę, potem poszliśmy do mnie i na tym definitywnie zakończył się nasz romans.

Czasami, gdy myślenie o niej mnie przerasta, zaczynam się zastanawiać, jak mogłoby wyglądać nasze dalsze życie. Możliwości wynurzają się niczym ryby z mętnej toni, jak wspomnienia wydarzeń, które nigdy nie miały miejsca. Moglibyśmy stać się po jakimś czasie szczęśliwą rodziną, podobną do tych z sitcomów, radośnie chaotyczną parą układającą z kolorowych magnesów idiotyczne napisy na drzwiach lodówki, krzątającą się po domu i ogródku, każdego ranka odprowadzającą dzieci pod drzwi szkoły. Rozmawiającą półgłosem do późnej nocy w łóżku, ponieważ nie możemy zasnąć.

Nie warto brnąć w takie myśli.

W chwili gdy ktoś zostanie zastrzelony, utonie albo zmiażdży go wielki głaz, umiera nie tylko on sam. Zabijana jest także cała jego przeszłość, wspomnienia, o których pamięta tylko on, nigdy nie wypowiedziane myśli. No i wszystkie możliwe warianty przyszłości, każde życie, jakie miałyby przed sobą. Przeszłość,

teraźniejszość i przyszłość spalają się razem jak naręcze rzuconego w ogień chrustu.

Gdyby Maja nie pojawiła się na niebie, najprawdopodobniej zostałem samotnikiem. To najbardziej realny scenariusz. Byłbym jak detektyw Russell. Siedziałbym od rana do końca zmiany za idealnie wypucowanym biurkiem, na którym nie ma żadnych zdjęć, tylko otwarty notes. Wyrobiony detektyw po czterdziestce, wydziałowy mędrzec po sześćdziesiątce, potulny staruszek po osiemdziesiątce, wciąż rozpamiętujący sprawy rozwiązywane przed laty.

* * *

Przydrożne stragany amiszów wyglądają tak samo: trzeszczące drewniane skrzynie, puste kosze. Wszystkie owoce i warzywa dawno już stąd poznikały, podobnie jak ciasta i wypieki, miody, sery i precle.

Na przestrzeni kilku mil natykam się na dziesiątki podobnych miejsc, przy każdym zsiadam z roweru i przyglądam się uważnie betonowym elementom konstrukcji. Na jednym straganie drewniany dach podtrzymują okrągłe słupy, do drugiego prowadzą równiutkie stopnie. Choć jestem potwornie obolały, raz po raz zeskakuję z siodelka, by na czworaka powoli szukać odcisku zawierającego czerwone logo z napisem: JOY. Raz po raz Houdini wyskakuje z koszyka i węszy wokół mnie, jakby rozumiał, czego szukamy, wspólnie więc przeciskamy się pomiędzy wiklinowymi koszami, brodząc w rozsypanych wyblakłych paragonach.

I tak przez cały dzień. Tracę na to wiele godzin, nie znajdując nic, w końcu nadchodzi późne popołudnie, a ja wracam na siodelko, zastanawiając się, czy zdołam pojechać dalej, ale muszę, przecież nie zawrócę teraz z pustymi rękami. Wszystko mnie boli, padam z głodu, zjedzony kurczak przeszedł do kategorii odległych wspomnień, a te wszystkie reklamy ciast i precli nie pomagają w poprawie nastroju.

- Okej - mówię w końcu do Houdiniego przy szóstym, ósmym albo setnym z bezużytecznych przydrożnych straganów. - Co teraz?

Cortez czeka w Rotary, niecierpliwi się pewnie, siedząc wciąż po turecku przed zaczopowanym otworem w podłodze. No? Detektyw Culverson siedzi w świętej pamięci Somerset Diner, pykając spokojnie cygaro. „Mógłbym powiedzieć: a nie mówiłem?” rzuca.

Ale nie, jest w końcu, jakieś ćwierć mili dalej dostrzegam go, gdy zaczyna już szarzeć: jest tam! Nie na postumencie tuż nad ziemią ani na najniższym stopniu schodów, tylko nad moją głową. Widzę billboard, a na nim wielkie czerwone litery układające się w napis: FARMY JOY. Poniżej dopisek: NIECZYNNE I OPUSZCZONE. A pod tymi słowami dwa kolejne: JEZUS = ZBAWIENIE.

Pod billboardem stoi kolejny stragan, a kilka minut śledztwa ujawnia istnienie drogi, która odchodzi od szosy pod kątem prostym, prowadząc w głąb pól kukurydzy. Zatrzymuję się, spoglądam to na billboard, to na drogę, a potem po prostu wybucham śmiechem, szczerzę się, dopóki policzki nie zaczynają boleć. Rechoczę tylko po to, by choć przez moment poczuć, jak to jest być szczęśliwym. Na koniec skręcam kierownicę i ruszam w głąb polnej drogi.

Po pokonaniu ćwierci mili kręta droga pomiędzy polami zwęża się do rozmiarów ścieżki na tyle wąskiej, że nie dam rady pojechać dalej z wózkiem. Sięgam więc po scyzoryk i używając zamontowanego w nim śrubokręta, luzuję mocowania, by móc kontynuować jazdę w głąb pól. Jakiś kwadrans później niebiosa ponownie się otwierają, rosząc moje czoło kolejną falą deszczu. Rozmoknięta ziemia staje się śliska, koła tracą od czasu do czasu przyczepność. Muszę zmrużyć oczy, przecieram je też co rusz, ale niewiele to daje, więc zwalnim, by zachować jak największą ostrożność. Ścieżka wiję się wśród pól, jakby nie miała końca. Trafiam na rozstaje, chwilę później na następne. Wybieram drogę, zdając się na instynkt, ale im więcej czasu upływa, tym bardziej czuję się zagubiony w tej plątaninie szlaków, a ulewa

dodatkowo komplikuję sprawę. Staję na pedałach, próbuję pochylić się mocniej do przodu, by choć trochę osłonić Houdiniego, który co ciekawe, zdołał przed momentem zasnąć. Im dalej brnę w tę polną drogę, tym trudniej mi się jedzie, ponieważ z nieba spadają strumienie wody, mam ją wszędzie, w brwiach, na policzkach. Odwracam wzrok od ścieżki tylko na moment, by omieść wzrokiem otaczające mnie równie nasiąknięte łąny, a kiedy skupiam spojrzenie ponownie na drodze, dostrzegam na niej wysokiego mężczyznę w czarnym kapeluszu, siedzącego na koniu, dosłownie kilka kroków ode mnie. Po jego twarzy także ściekają strużki deszczówki, w rękach trzyma uniesiony sztucer.

- Hej! - zdążam rzucić, zanim wypali w powietrze.

Wzdrygam się na odgłos strzału, mimowolnie skręcam kierownicę i zjeżdżając ze ścieżki, wpadam prosto między powyginane łądygi. Zlatuję z roweru, widzę, jak Houdini wyskakuje z koszyka. Szukam kryjówki, osłaniając głowę rękami. Dwa kolejne strzały. Każdy tak głośny, jakby próbowano mnie zabić z działa.

- Przestań! - wołam, leżąc na ziemi, dociskając dłonie do uszu. - Proszę!

Pełzną pomiędzy łądygami zlany deszczem. Serce wali mi jak młot. Pies się podnosi także cały mokry, rozgląda się niepewnie, po czym zaczyna czekać.

Odgłosy strzałów milkną, ale nie wstaję. Nie zostałem trafiony, nic mi nie dolega, może prócz przemoczenia. Ledwie mnie widać ze ścieżki. Przed oczami mam podkowsy, które unoszą się i opadają niespiesznie, rozbryzgując wodę w kałużach.

- Odejdź! - woła mężczyzna.

- Czekał - proszę.

- Już!

Chwytam biały T-shirt, na którym Houdini spał w koszyku, i zaczynam nim machać, jakbym chciał się poddać, sygnalizuję pokojowe zamiary, proszę o chwilę rozmowy. Podkowsy zbliżają

się do mnie, tym razem jakby szybciej, pies warczy zadziwiony ogromnymi rozmiarami konia.

- Czekał... – powtarzam i wyciągam przed siebie dłonie, by osłonić głowę, ale w tym samym momencie dociera do mnie, że jest już na to za późno.

Koń i jeździec górują nade mną, jedna z podków po wykonaniu idealnego łuku opada na moją pierś z siłą kowalskiego młota. Z początku nie czuję nic, potem nagle całe ciało eksploduje spazmem niewysłowionego bólu. Poruszam się, przetaczam w jedną i drugą stronę, zwijam.

Łąduję twarzą w błocie jak ta cudem ocalała dziewczyna, którą znaleźliśmy na polanie.

Jak miała na imię? Lily. Tak, to była Lily. Nie, zaraz, to nie tak... Jak tu ciemno. Czuję w ustach smak ziemi. Tracę świadomość. Wiem o tym. Zaciskam więc zęby i staram się wyrwać z objęć mroku. Słyszę szczekanie psa, krzyki, odgłosy deszczu spadającego na otaczające mnie uprawy.

Znów konam w spazmie bólu, wrzeszczę, ale człowiek na koniu mnie nie słyszy, Zeus w siodle jest tak wysoko, a ja leżę na dnie czeluści brudny, przemoczony, zbolały. Obracam się, spoglądam w posępne burzowe niebo. Facet w czarnym kapeluszu trzyma broń jedną ręką, w drugiej ściskając wodze, jest jak postać z batalistycznego dzieła, szarżujący kawalerzysta, mściciel na wierzchowcu.

- Nazywam się Henry Palace – próbuję powiedzieć, ale tylko poruszam wargami, ponieważ język mam całkowicie bezwładny.

Deszcz skapuje mi do ust, więc nie wiedzieć dlaczego przypominam sobie opowieści o indykach, które się potopiły, z rozwartymi dziobami gapiąc się w deszczowe niebo. Podenerwowany koń przestępuje z nogi na nogę, jeździec próbuje go uspokoić, ściągając wodze. Mój pies biega jak szalony pomiędzy kopytami o wiele większego zwierzęcia. Przed oczami pośród czerni pojawia mi się morze gwiazd, rozwieram usta szerzej, deszcz leje się do nich strumieniami.

Raz jeszcze próbuję dobyć z siebie głos, ale i tym razem nie daję rady.

Mój pogromca, wielki amisz w czarnym kapeluszu, mamrocze: „Spokojnie mała, spokojnie”, po czym ześlizguje się z siodła, a jego buty lądują w błocie tuż przed moimi oczami. Gapię się na nie. Czuję kolejną falę bólu w boku. Złamane żebro, może nawet kilka.

- Musisz odejść - mówi mężczyzna, przykucając. Jego twarz przesłania mi całe pole widzenia.

Ma wielkie oczy, wąski pas czarnego zarostu porasta jego szczękę, dostrzegam kilka pasemek siwizny.

- Muszę ci zadać kilka pytań - charczę, a raczej próbuję wycharczeć. Jestem tak otumaniony, że nie wiem nawet, czy wydaję z siebie jakiegokolwiek dźwięki.

Amisz się cofa, wstaje. Oprócz karabinu ma przewieszane przez plecy widły. Długi drewniany drąg zakończony trzema ostrymi zębami. Proste, ale skuteczne narzędzie zagłady. Sterczy tak nade mną jak jakiś szatan: broda, spojrzenie, widły... A ja chcę mu tylko zadać kilka pytań. Otwieram usta, lecz czuję, że wypełnia je krew. Ścieka mi strużkami po twarzy. Upadając, musiałem rozciąć skórę na czole o jakiś kamień. Niedobrze, mam problem, i to spory. Krwawię z ran na głowie, mam też jakiś wewnętrzny krwotok. Krew jest też na nożach i ściankach zlewozmywaka.

Facet zdejmuje widły z pleców, dźga mnie w pierś jednym z zakrzywionych zębów, traktuje jak gliniarz pałką zaprutego w trupa sztajmesa. Mam uszkodzonych kilka żeber, nie jedno, teraz to czuję, uwierają mnie od wewnątrz niczym zaciskające się szpony.

- Musisz odejść - powtarza.

- Daj mi chwilę - proszę, z trudem wysapując słowa, spoglądając mu w oczy. - Jeden moment. Muszę ci zadać kilka pytań.

- Nie. - Pochmurnieje. Strużki deszczu ściekają z ronda jego kapelusza. - Nie.

- Szukam człowieka bądź ludzi, którzy...

- Ucisz się.

Dźga mnie widłami po raz wtóry, też w pierś, więc ból promieniuje z torsu także do wnętrza czaszki jak rozwidlająca się błyskawica. Oczami wyobraźni widzę swoje ciało przyszpilone do gruntu, wijące się niczym robal nadziany na haczyk. Mimo to nie przestaję mówić. Nie wiem dlaczego, ale nie mogę zamilknąć.

- Szukam ludzi, którzy znają się na betonowych wylewkach.

- Idź stąd.

Facet zaczyna mamrotać pod nosem w jakimś obcym języku. To szwedzki? Nie. Staram się przypomnieć sobie, co wiem o amiszach. Niemiecki? Oprawca pochyla głowę i składa ręce, nie przestając mamrotać. Ja w tym czasie usiłuję wstać, ale doznaję zawrotów głowy i znów padam.

Krew ponownie zalewa mi oczy, więc ocieram je wierzchem dłoni. Pochyliam się mocno, ciężko dyszę, gardło mam wysuszone na wiór, żołądek zaciska się i rozpręża. Zastanawiam się, gdzie są Azjaci, jego pracownicy, a może przyjaciele. Potrząsam głową, by oprzytomnieć, ale jedyne, co zyskuję, to kolejny nawrót bólu i dezorientacji.

- Szukam człowieka, który pracował w garażu posterunku policji w Rotary - mówię wolno, słowo po słowie, nie zważając na krew ściekającą mi z kącików ust.

Wyglądam jak bestia, która pożarła kogoś dosłownie przed momentem.

Amisz nie odpowiada, nadal mamrocze do złożonych rąk. Modli się, a może oszalał i po prostu gada sam do siebie. Wygląda mi na kogoś bardzo zdesperowanego. Jest wysoki, mocno zbudowany, jego klatka piersiowa wygląda, jakby została zbita z grubych bali. Włosy na brodzie są gęste, podobnie jak nieco bardziej siwe wystające spod kapelusza. Kark ma masywny, silny. Twarz poważną, pobrużdżoną, jak u srogiego króla z bajek, którym straszy się dzieci.

Deszcz zacina falami, smagając jego oblicze. Widły drżą w zaciśniętych mocno dłoniach.

- Proszę - szepczę, ale on odkłada widły i sięga po sztucer.

- Wybacz mi, Jezu - rzuca. - Wybacz.

Wtulam głowę w tułów, staram się odsunąć ją jak najdalej od lufy. Mimo to nadal... boję się śmierci. Nawet teraz. Wyczuwam ostrą woń strachu, która otacza mnie, jakby wyparowywała przez wszystkie pory skóry.

- Wybacz mi, Jezu Chryste - powtarza amisz, a ja zyskuję pewność, że nie prosi o wybaczenie mnie, nie dodaje imienia Pana naszego dla podkreślenia wagi tych słów, tylko naprawdę prosi Chrystusa o wybaczenie tego, co uczynił albo zamierza dopiero zrobić.

- Proszę pana - wypalam tak szybko, jak tylko mogę. - Moja siostra zaginęła. Muszę ją odnaleźć. Tylko o to mi chodzi. Chcę ją odszukać, zanim dojdzie do końca świata.

Starcze oczy stają się okrągłe jak spodki, facet znów przykuca, przysuwa się tak blisko, że mam jego twarz tuż przed nosem. Odkłada sztucer, potem ociera czule krew sączącą się z mojego czoła.

- Nie powinieneś był wypowiadać tych słów.

Jestem skołowany. Pluję krwią. Szukam wzrokiem Houdiniego, dostrzegam go w pobliżu pomiędzy łądygami, przypada do ziemi i podrywa się na przemian, otrzepuje deszczówkę z przemokniętej brudnej sierści.

Wielkolud podchodzi do juków, rozpina jeden z nich, wyciąga niewielki worek. Wysypuje jego zawartość, czarne brykiety, które spadają z cichymi plaśnięciami na kamienistą ścieżkę.

- Co pan robi?

Wzdrygam się, gdy unosi tę torbę nade mną. Juki: to takie archaiczne słowo. Skąd je w ogóle znam? Nagle wydaje mi się bardzo dziwne i obce.

- Nie powinieneś był wypowiadać tych słów - powtarza, po czym naciąga mi worek na głowę i zawiązuje go ciasno.

* * *

Wielki atletycznie zbudowany amisz nie zabija mnie. Przez dłuższą chwilę robię pod siebie ze strachu, leżąc na ziemi z głową

tkwiącą w mrocznym worku, czekając na zadanie ostatecznego ciosu. Przez szum deszczu słyszę, jak krząta się wokół, jak po wielekroć podchodzi do konia i wraca, jego buty chrzęszczą po kamyczkach wyściełających ścieżkę. Docierają do mnie także inne dźwięki, jakiś szcęk, jakby odłożył broń i szukał czegoś w jukach.

Wiąże mi ręce za plecami w nadgarstkach, ale na szczęście luźno. Potem wsuwa mi dłonie pod pachy i stawia mnie na nogach jak zepsutą zabawkę. Popycha mnie, więc idę posłusznie we wskazanym kierunku przez pole, deptając sterty gnijących roślin, czuję, jak wciąż stojące, choć martwe już łodygi ocierają się o moje nogi i ręce.

- Musisz iść dalej - mówi mój prześladowca za każdym razem, gdy potykam się albo chwieję. Jego silne ręce podtrzymują mnie nieodmiennie.

Dławię się wciąż silnym odorem brykietów, które trzymał w tym worku, jego sztywne płótno drapie mnie po twarzy i głowie. Na szczęście splot jest na tyle luźny, że nie oślepią mnie całkowicie. Dostrzegam więc zarysy otaczających mnie łąnów kukurydzy, do wnętrza dostaje się także odrobina księżycowej poświaty

To może, ale nie musi być człowiek, którego opisała mi Sandy. Ilu takich postawnych amiszów o czarnych, choć poznaczonych siwizną brodach może mieszkać w tej okolicy i pilnować swoich farm przed intruzami? Jakie są szanse na to, że trafiłem we właściwe miejsce, do odpowiedniego człowieka, który może odpowiedzieć na wszystkie pytania? Jak wielkie są szanse na to, że zastrzeli mnie i pozostawi pośrodku pola gnijącej z wolna kukurydzy?

- Proszę pana... - zagaduję, odwracając lekko głowę, ale nie przerywam marszu.

O co mam zapytać? Od czego zacząć?

Odpowiada natychmiast uciszającym germańskim wyrażeniem, brzmiącym jak głośnie westchnienie, po czym powtarza to, co powiedział wcześniej:

- Musisz iść dalej.

Idę więc, brnę przed siebie w deszczu okryty maską ciemności.

Słyszę tuż za sobą ciche skomlenie, gdzieś na wysokości pasa. Nie zdawałem sobie sprawy, że niesie mojego psa. Poruszam dłońmi, próbując rozdzielić je pomimo więzów.

- Jeśli... – zaczynam, lecz ucisza mnie natychmiast:

- Milcz.

- Jeśli masz mnie zastrzelić – nie poddam się, muszę to powiedzieć – to zaopiekuj się moim psem, proszę. Jest chory.

Nie słucha mnie.

- Zamilcz – rzuca. – Masz być cicho.

Idziemy tak prawie pół godziny. Tracę poczucie kierunku i czasu. Zatracam się w bólu połamanych żeber i pieczeniu rozcięcia na czole, pochłaniają mnie obawy, mrok, oszołomienie, a mimo to brnę przez pole poganiany od czasu do czasu szturchnięciem broni. Czekam, kiedy amisz każe mi się zatrzymać i uklęknąć. Myślę o Nico, Sandy i Billu, potem przed oczami stają mi McConnell i jej dzieci mieszkające w Domu Policjanta. Układające puzzle, łowiące ryby na obiad. Powinienem być zostać z nimi. Powinienem być zostać z Cortezem na posterunku, powinienem być zostać z Naomi Eddes u pana Chow i flirtować z nią do upadłego nad stygnącym lo mein. Jest z milion miejsc, których nie powinienem był opuszczać.

* * *

- Proszę pana? – próbuję ponownie, gdy w końcu się zatrzymujemy. – Słyszysz mnie pan?

Nie odpowiada. Z miejsca, w którym się zatrzymał, a stoi teraz kilka kroków przede mną, dobiega nowy dźwięk, coś jak grzechot łańcucha. Mrużę oczy, próbując dojrzeć cokolwiek przez szparki w splotach worka.

Przyprowadził mnie do jakiegoś budynku, może nawet do domu? Stoję na deszczu, drżąc, czekając. Moment później z oddali dobiega skrzypienie uchylanych drzwi, a raczej bramy. Zatem to nie dom, tylko stodoła.

Chwyta mnie pod pachy zdecydowanie, choć nie brutalnie, podnosi i wstawia do wnętrza. Natychmiast rozpoznaję panujące

tu zapachy: to koński nawóz i ciepłe siano. Kładzie mnie na gumnie, po czym wiąże mi nogi, tak jak zrobił wcześniej z rękoma.

- Proszę pana! - rzucam, kręcąc głową, próbując wypatrzeć jego twarz przez płótno worka. Znów się porusza, wraca do drzwi. - Nie chcę odbierać panu farmy ani pozbawiać pana żywności. Słyszysz pan? Nie jestem tego rodzaju człowiekiem.

- Wybacz mi - odpowiada zniżonym głosem, niemal szeptem, ale podobnie jak wcześniej nie kieruje tych słów do mnie. Nie mojego przebaczenia pragnie. Leżę, leżę jak przerażony zwierz, oślepiiony i spętany. Zaczynam kasłać, dławi mnie własna ślina i smród panujący wewnątrz rozgrzanego worka.

- Nie zostawiaj mnie tutaj! - wołam. - Proszę, nie rób tego!

- Przyniosę ci coś do jedzenia, jeśli dam radę - odpowiada. - Ale miej świadomość, że może mi się to nie udać.

Wpadam w panikę, opanowuje mnie najczystszy strach i dezorientacja: czuję się jak człowiek uwięziony w jaskini albo pod gruzami zawalonego budynku. Jeśli ten starzec pozostawi mnie tutaj, dochodzenie dobiegnie końca i nigdy już się nie dowiem, co się stało z moją siostrą. Asteroida uderzy w Ziemię i zmiecie mnie z jej powierzchni spętanego, głodnego, tkwiącego w jakiejś cuchnącej stodole.

Facet podchodzi, klęka obok, wzdrygam się, gdy czuję, że coś dotyka mojej głowy. To ostrze noża, którym rozcina worek, wyłuskując z niego moją głowę niczym owoc ze skórki. Robi się jaśniej, choć niewiele bardziej niż poprzednio. Stodoła tonie w mroku rozjaśnianym jedynie księżycowym blaskiem, pełno w niej pajęczyn, ale jest też cieplej niż na zewnątrz. Czuję zapach koni i odór ich odchodów. Robię trzy głębokie wdechy, po czym spoglądam prześladowcy w oczy.

- Nie może mnie pan tutaj zostawić.

- To tylko cztery dni - odpowiada, wskazując na niebo. - Tylko cztery.

Kładzie psa obok mnie, robi to naprawdę ostrożnie. Houdini natychmiast zaczyna chłeptać brudną wodę z kałuży.

- Miej litość, człowieku - proszę amisa, który przeciera dłonią twarz, mierząc mnie wzrokiem.

- To jest litość - odpowiada, po czym odchodzi.

Słyszę grzechot łańcucha, którym zabezpiecza drzwi stodoły. Potem rozlega się powoli cichnący tupot jego kroków.

2.

Wiejska cisza. Wiejska ciemność.

Nie zasypiaj, Henry. Nie waż się zmrużyć oka.

To teraz najważniejsze. Nie możesz zasnąć. Druga sprawa to zachowanie odpowiedniej perspektywy. Muszę przetrwać, choć nie będzie łatwo ani lekko. Kiedy ostatnim razem znalazłem się w podobnej, równie beznadziejnej sytuacji, nie zostałem stratowany przez konia, tylko postrzelony. Snajper posłał mi kulkę prosto w prawe ramię, rozrywając tętnicę na tyle mocno, że mało brakowało, abym się wykończył. Wykrwawiałem się w wieży fortu, obserwując, jak zapadają ciemności, dopóki siostra nie przybyła mi na odsiecz, przylatując najprawdźniejszym helikopterem, którego śmigło poszatkowało zachodzące słońce, gdy z rykiem silników lądował, by mnie stamtąd zabrać.

Tym razem ratunek nie nadejdzie. To pewne, ponieważ to ja miałem ją dzisiaj ratować, nie ona mnie.

Pierwszy krok jest prosty. Teraz, gdy nikt nie gna mnie na ślepo przez pole, gdy nie mam na głowie worka, mogę się w końcu skoncentrować. Potrzebuję niecałych pięciu minut, by poluzować pęta i sięgnąć palcami do więzów. Kilka chwil później także moje nogi są wolne. Staję na nich niepewnie i obchodzę tymczasowe więzienie.

Nagle nachodzi mnie myśl, a w zasadzie pytanie: skąd wytrzasnęli ten helikopter? Jest ono naprawdę niepokojące... Skoro Nico i jej paczka to tylko banda nieudaczników, którzy gonią za bezsensowną teorią spiskową, nie powinni mieć przecież na wyposażeniu tak drogiej i cennej maszyny. Jakim cudem udało im się także zdobyć dostęp do Internetu, z którego Jordan pozwolił mi skorzystać ostatniej nocy w Concord, tej samej, gdy wyjawiał mi z kpiącym uśmieszkiem na twarzy, że ta sprawa ma drugie dno? Że chodzi o znacznie więcej, niż sądzi Nico...?

Daj spokój, Palace, przestań o tym myśleć. Skup się. To nie ma teraz najmniejszego znaczenia. Musisz działać. Musisz wydostać się z tej pułapki.

Obchodzę całą budowlę, węsząc po kątach jak zwierzę, aby rozeznąć się w jej rozkładzie. To stodoła, nie różni się niczym od wielu jej podobnych. Wielka pusta przestrzeń licząca jakieś sześćdziesiąt na trzydzieści stóp, podzielona na trzy części: na jednym końcu mamy koryta, gdzie zwierzęta dostawały pomyje albo śrutę, pośrodku nieco mniejszy segment, w którym przetrzymuje się siano. Ściany zbito z najzwyklejszych desek, starych, ale dobrze spasowanych i porządnie zabezpieczonych. Skośne zadaszenie. Półki i haki, na których kiedyś wisiało oporządzenie. Drabina prowadząca na poddasze. Sześć szerokich drewnianych stopni wiedzie na wyższy poziom. Staję pod nią, wstrzymując oddech i zatykając nos. Cuchnie tutaj, jakbym nie był jedynym więźniem tego przybytku.

Jakiegokolwiek zwierzęta tutaj trzymano, zostały już dawno zabrane na rzeź - tak przynajmniej zakładam. Zostało za to mnóstwo siana poukładanego w stogi, pozwijanego w bele, zatechłego i pleśniejącego.

Jest tylko jedno wyjście, wielkie podwójne wrota, które z tego, co wiem, zostały zablokowane od zewnątrz łańcuchem. Dostrzegam co najmniej trzy wąskie okna znajdujące się na wysokości poddasza, to przez nie wpada do wnętrza odrobina księżycowej poświaty. Są jednak zbyt małe, by pomieścić dorosłego mężczyznę, bez względu na to, jaki byłby chudy i zdesperowany.

- Co jeszcze, detektywie? - Głos mam zmęczony, bezbarwny. Odchrząkuję więc i powtarzam: - Co jeszcze?

Nie ma nic więcej. Houdini poddał się już dawno, śpi zwinięty w kłębek tuż obok kałuży, z której wcześniej pił wodę. Napieram na drzwi ot tak, dla pewności. Chwytam za skobel, pociągam mocno, ale słyszę irytujący chrzęst blokującego go od zewnątrz łańcucha.

Odstępuję od bramy. Pomimo odoru bijącego z tego miejsca nadal wyczuwam własną woń, całe dni pocenia się, życia

w strachu, a nawet ledwie już uchwytną woń dymu i pieczonego kurczaka.

Na krańcu działki mojego dziadka także stała stodoła, ale kiedy dorastaliśmy, należała już do zabudowań, z których nie korzystano. Ktoś z naszych przodków w zamierzchłej przeszłości zajmował się hodowlą koni, lecz do naszych czasów dotrwała tylko zrujnowana stajnia, do której lubiliśmy zaglądać z siostrą – notabene stała się potem jedną z jej niezliczonych kryjówek – tam także znaleźliśmy tylko trochę starego cuchnącego końskim nawozem siana i podrdzewiałych narzędzi. Nakryłem ją tam kiedyś na popijaniu whisky podkradzonej z barku dziadka. To był dzień, w którym miała pisać test SAT.

Uśmiecham się na to wspomnienie, stojąc w mroku stodoły jakiegoś amisza. Jedno muszę przyznać mojej siostrze – nigdy mnie nie okłamała.

- Nie powinnaś pisać teraz testu? – zapytałem wtedy.
- Powinnam.
- Więc co tu robisz?
- Piję whisky. Chcesz łyeczka?

Nie chciałem. Zaciągnąłem ją do domu. Zarejestrowałem na kolejną turę testów i osobiście dowiozłem do szkoły.

Zabawa w chowanego, tak wyglądało całe nasze życie.

Houdini się budzi, słyszę, jak buszuje w sianie, ganiając, oczywiście bez skutku, za myszą. Przyglądam się przez moment maleńkiemu gryzoniowi, który umyka zwinnie przed moim niezdarnym psem, w końcu znika w szczelinie pod jedną z listew. Padam na czworaka obok Houdiniego, zaczynam węszyć jak on. Z zewnątrz bije chłodem, czuję zapach trawy. To jednak tylko mysia nora. Niewielkie wgłębienie w ziemi.

Gapię się w ten otwór.

Trochę to potrwa, ale powinienem dać radę. Dajcie mi miesiąc, a wydostanę się stąd. Dajcie mi rok. Rok i łopatę, a wychynę po drugiej stronie ściany, brudny i zmachany, jak więzień uciekający z lochu. Dajcie mi tylko czas.

Wracam do drzwi, napieram na nie barkiem, ale nie chcę ustąpić, odbijam się od nich i ląduję na gumnie, czując, co znaczy urazić złamane żebra. Mimo to wstaję i próbuję ponownie, tym razem ból jest jeszcze gorszy, nie poddaję się jednak. Napieram raz po raz. Wyobrażam sobie Corteza, który pracuje w Rotary nad otwarciem betonowej płyty blokującej zejście. Walczymy z przeszkodami razem, ja tutaj, on tam. To by był numer, gdyby nagle się okazało, że przebijamy się i wpadamy na siebie, zupełnie jak bohaterowie slapstickowych komedii.

Odwracam się od drzwi, pochylam, dyszę jak zgoniony zwierz. Pot skapuje mi z czoła na siano pokrywające gumno. Houdini tymczasem poddaje się całkowicie, mysz robi, co chce. Biega mu przed nosem, a on tylko wodzi za nią bezradnie ślepkami.

* * *

Wspinam się powoli, krzywiąc przy każdym ruchu, ponieważ końcówki połamanych żeber dotykają płuc, a może i innych żywotnych organów. Chwilę później wystawiam głowę ponad poziom poddasza i trafiam na kolejny ukryty raj w ciągu ostatnich dwóch dni. Wokół trójnogiego zydła stoją cztery bele siana. To ustrojstwo do dojenia krów, podpowiada mi pamięć. Tak, ten stołek służył do dojenia krów. Udaje mi się wciągnąć resztę obolałego ciała na górę, teraz mogę przyjrzeć się uważniej ustawionemu na zydłu tranzystorowi. Prostokątne metalowe pudełko z okrągłym głośnikiem i anteną przypominającą sterczący pod ostrym kątem koci ogon.

Podnoszę radio, czuję, że w środku są baterie. Wciskam włącznik, ale nic to nie daje. Nie ma zasilania. Odkładam bezużyteczny sprzęt na miejsce.

Tutaj, na górze, jest jaśniej, więc widzę nieco lepiej. Stoję znacznie bliżej rzędu dachowych okien, a księżyc zdążył się już wznieść wysoko. Pod jedną z bel siana na deskach podłogi dostrzegam ręczne lusterko. Podnoszę je i przyglądam się własnej twarzy w zmętniałym szkle: stary wychudzony obdartus, podkrążone zaczerwienione oczy. Wąs mi się rozplecił, reszta

zarostu też jest niechlujna jak od dawna niekoszony trawnik. Wyglądam jak szaleniec, jak nie przymierzając, wilkołak. Odkładam zwierciadełko.

W drewnianym pojemniczku znajduję niedopałki papierosów. To chyba kubek do gry w kości albo z jakiejś planszówki. Wysypuję zawartość na dłoń. Niemal same skręty, wyschnięte i pociemniałe, muszą mieć z parę miesięcy. Wysuszyły je letnie upały, więc kruszą się pod naciskiem palców.

Spoglądam z góry na dolny poziom. Houdini znów śpi. Nie ma śladu po myszy. Tylko ja tu jeszcze czuwam, z samej góry obserwując swoją nową domenę - ja, udręczony król starej nawiedzanej stodoły.

Przysiadam na jednej z bel siana, walcząc z całych sił z kolejną falą zmęczenia. Niedziałające radio, garść starych petów, brudne lustro. To była czyjaś kryjówka, miejsce odosobnienia, i to wcale nie tak dawno temu. Samotnej młodej amiszki kryjącej się w mroku, popalającej po kryjomu papierosy i słuchającej zakazanej muzyki z bardzo odległych miejsc.

Nic nie poradzę, że w moich wyobrażeniach wyglądam jak Nico, i to ta ze szkolnych lat, także wymykająca się skrycie, także posiadająca romantyczne marzenia, podpijająca rozczulające trunki dziadka w trzewiach bardzo podobnej stodoły. Cortez miał rację, gdy mówił o mnie i o dziewczynie, która miała problem z tygrysem: „Tobie wszystko kojarzy się z siostrą”.

Wpadam na pomysł, straszny pomysł, ale gdy tylko pojawia się w mojej głowie, wiem, że właśnie tak zrobię. To jedyna opcja, jaka mi pozostała.

W więzieniu Creekbed wybuchł pożar. Billy streścił mi te niewyobrażalne wydarzenia. Więźniowie wpadli w panikę, ponieważ uważali, że zapomniano o nich, porzucono ich, pozostawiono w pułapce, by gnili w niej, oczekując końca świata.

Mój pomysł, choć straszny, jest też genialny.

Nie mogę tkwić tutaj przez następne trzy dni, odczuwając coraz większy głód i popadając z wolna w szaleństwo. Nie będę cierpieł

tak przez cztery noce i trzy dni, aby umrzeć potem, nie mając pojęcia, gdzie jest Nico i co tam robi.

Dlatego muszę zrobić to, co zamierzam, nie dbając, jakie będą tego konsekwencje.

- Jak to robiłaś, dziecino? - pytam ducha dziewczyny z tego poddasza. - Czym zapalałaś te fajki?

Nie potrzebuję wiele czasu, by je znaleźć. Czarne pokrzywione resztki zapalek, przypominające miniaturowe spalone drzewa, leżą w słomie pod najbliższą belą. Resztę dostrzegam tuż obok. Dwie płaskie, w połowie tylko zużyte paczki wsunięto pod jedną z nóg zydła. Są stare jak wypalone papierosy, kruszą się i łamią, ale gdy uda mi się potrzeć jedną z nich o draskę, natychmiast pojawia się płomień.

Gapię się w tańczący ogień do chwili, gdy wypala całe drewnienko i zaczyna parzyć mnie w palce. Może to nieprzemyślana decyzja. Może to tylko halucynacja, może wszystko to jest majakiem, efektem uszkodzenia neuronów. Nico nic nie grozi, mnie także. Zostałem rok temu zwolniony z policji, ponieważ jestem obciążony genetyczną chorobą psychiczną, wjeżdżam służbową impalą na chodniki i ostrzegam ludzi przed nadlatującą asteroidą, tak wielką jak obiekt, który doprowadził do wyginięcia dinozaurów.

Nie, to nie tak.

Ona tam jest. I to całkiem blisko. Blżej niż Słońce, bliżej niż Wenus. Nasz najbliższy sąsiad z przestrzeni i autorka zagłady ludzkości. Przyspiesza zgodnie z trzecim prawem Keplera: im bliżej Ziemi się znajduje, tym szybciej leci. Jak piłka celnie ciśnięta przez gracza, koń zbierający się do galopu, gdy poczuje owies.

Muszę się stąd wydostać.

Schodzę po drabinie, biorę Houdiniego pod pachę, niosę chore biedactwo, które nie ma nawet sił się opierać, targam je na górny poziom i tam kładę na sianie. Wykopuję jedno z okienek udawanym niezdarnym ciosem karate, oczywiście nogą po zdrowej stronie ciała. Chwytam Houdiniego i ciskam go, zanim

najdą mnie wątpliwości. Pies przelatuje nad krawędzią dachu, tak jak to sobie zaplanowałem, i wpada w gęste zarośla, które wyhamowują jego upadek, więc ląduje - mocno skołowany, ale cały i zdrowy - w samym środku mulastej kałuży. Spogląda stamtąd na mnie, nic nie rozumiejąc.

Macham do niego ręką, potem pocieram zapałkę o draskę i przykładam płomyk do beli siana.

* * *

To dzieje się znacznie szybciej, niż przypuszczałem. Wyschnięte na wiór siano i sezonowane drewno zajmują się natychmiast, nie dając mi czasu na realizację obmyślonego wcześniej planu. Jedno źródło ognia rozprzestrzenia się błyskawicznie, tworząc dziesiątki nowych, mały pożar staje się wielki, płomienie strzelają wysoko, sięgając powały. Cofam się niezdarnie, nie trafiam na drabinę i spadam jak kloc na twarde gumno, na płask, ale ból nie jest aż tak wielki, by mnie sparaliżować, więc przetaczam się i odpełzam od ognia tak szybko, jak to tylko możliwe.

Niemal natychmiast zaczynam też żałować tego, co zrobiłem. Przykucam w najdalszym kącie budowli, przyglądając się w niemym przerażeniu, jak rozżarzone źdźbła wznoszą się znad wypełnionego sianem stryszku i opadają gęsto na resztę stodoły. Ogień spada jak deszcz, sypią się na mnie nie tylko iskierki, ale też kłębki płonącej słomy. Czerń wypełniająca gospodarskie zabudowanie zmienia się w krwistą czerwień, a ja już wiem, że popełniłem potworny błąd - lepiej już dać się zagłodzić i zginąć, niż spłonąć żywcem. Gnam do bramy i łomoczę w nią z całych sił. Grube deski drżą pod uderzeniami dłoni zwiniętej w pięść, podczas gdy przesiąknięte nawozem siano zalegające na gumnie zajmuje się ogniem. Wystarczy moment, by otoczyły mnie płomienie.

Żar także rośnie, z góry sypią się kolejne iskry, dach zaczyna groźnie trzeszczeć. Jeśli mój plan ma zadziałać, ktoś powinien dostrzec ten pożar, powinien to zrobić właśnie teraz - jaśniej już nie będzie. Stoję pośrodku płonącego pieca. W ostatniej chwili

chwytam za skobel, szarpię go, wiedząc, że to na nic, ale nie ustaję. Ból jest obezwładniający, lecz wciąż narasta. Z oddali dociera do mnie dziwny krzyk - coś jakby skrzek albo wycie. Czy to mój głos? Czy to ja wrzeszczę? Chyba tak...

3.

Tym razem powrotowi do przytomności nie towarzyszą żadne sensacje, nie mam wizji Nico. Budzę się jak gdyby nigdy nic, rozglądam po przytulnym ciepłym pokoju. Leżę na łóżku. Ściany pomalowano na beż łamany bielą. Drzwi są drewniane. Nakryto mnie kołdrą, bardzo miłą w dotyku.

Pierwsze, co robię, to kaszlę. Wciąż czuję w gardle dym i smak popiołu. Rozkasłuję się raz jeszcze, głośniej, gwałtowniej, muszę się zgiąć, ten atak jest tak silny, że aż brzuch zaczyna mnie boleć. Gdy mija, robię trzy głębokie powolne wdechy, dociera do mnie w końcu, że wciąż mam na sobie T-shirt, buty i spodnie. Leżę pod pościelą w pełni ubrany, jak dziecko, które rodzice przenieśli śpiące z samochodu.

Kaszlę raz jeszcze, później rozglądam się wokół za szklanką wody. Zauważam dzbanek i kubek. Nalewam do pełna, wypijam łąpczywie, potem powtarzam te czynności raz jeszcze. To czyjaś sypialnia. Stoi w niej drewniane łóżo, takąż nocna szafka, poza tym są tylko cztery gołe ściany. I jedno okno pomiędzy prostymi muślinowymi zasłonami, odciągniętymi, spiętymi po obu stronach.

Czuję w płucach dym. Cięży mi to, jakby w moich ustach wciąż płonął ogień, a przelyk wypełniała gęsta piana. Bolą mnie też obie dłonie, i to bardzo. Zerkam na nie i zauważam, że obie zostały grubo obandażowane, wyglądają teraz jak ręce mumii. Pod opatrunkami wciąż jednak pieką i szczypią. Jęczę głośno, próbując ułożyć się wygodniej, ale nie bardzo mi to wychodzi, choć rzucam się jak ryba wyjęta z wody. Odnoszę przy tym wrażenie, że w tym stanie już dawno powinienem był skonać.

Dziadek leżał w hospicjum, gdy mówił mi: „Wykop dziurę”. To były jego ostatnie słowa, chwilę później zmarł. Stałem wtedy obok jego łóżka, czekając, aż odejdzie, robiliśmy tak od wielu miesięcy.

Dziadek dyszał ciężko, charcząc jak nienaoliwiony mechanizm, wdech, wydech, każdy słabszy od poprzedniego, a potem koniec, cisza. Wzrok miał wbity w sufit, policzki zapadnięte, ciało zadrgało lekko, choć zauważalnie. Nie byliśmy specjalnie bogobojną rodziną, ale w tamtym momencie poczułem, że jako najdorodszy i najbardziej odpowiedzialny powinienem zapytać, czy nie sprowadzić do niego kogoś.

- Kogoś? – zapytał, choć wiedział dokładnie, o co mi chodziło, a ja nie odpuściłem, ponieważ uważałem, że powinienem wypełnić ostatni obowiązek co do joty.

- Tak, kogoś – dodałem. – Księdza, który udzieli ci ostatniego namaszczenia.

Zaśmiał się, choć przyszło mu to z trudem, straszny był to rechot, charczący.

- Wiesz co, Henry? – wyszeptał. – Wykop dziurę.

Poruszam się raz jeszcze na łóżku. Czuję się lepiej, minimalnie lepiej. Odzyskuję władzę w członkach.

Widzę moją kurtkę. Złożono ją starannie u stóp łóżka. Wstaję, choć kręci mi się w głowie, wkładam ją. Moje najcenniejsze skarby wciąż spoczywają w wewnętrznej kieszeni: niewielkie zdjęcie młodej Nico, niedopałek american spirita, plastikowy widelec. Jest też zeszyt wypełniony niemal do ostatniej strony. Brakuje tylko sig-sauera. Całą resztę pozostawiono na miejscu.

Chwytam dzban, przechylam go, wysączam wodę do ostatniej kropli.

W moim pokoju nie ma lustra, żadnych zdjęć ani obrazów. Casio wskazuje godzinę piątą czterdzieści pięć, ale ta informacja wydaje mi się abstrakcyjna, jakby niekompletna. Piąta czy siedemnasta? Którego dnia? Jak długo byłem nieprzytomny? W takich czasach jak obecne człowiek ma wrażenie, że każde zamknięcie oczu prowadzi do obudzenia się ostatniego dnia przed zagładą.

Robię kilka chwiejnych kroków zadowolony, że mogę się poruszać, choć przychodzi mi to z trudem. Idąc w kierunku drzwi, rozkasuję się po raz kolejny, przekręcam gałkę tylko po to, by

odkryć, że zostałem zamknięty od zewnątrz. Podejrzewałem, że tak właśnie będzie – ale gdy tylko poruszyłem gałką, po drugiej stronie drzwi rozległo się wołanie.

– Obudził się! – słyszę kobiecy zadowolony, chyba nawet radosny głos. – Chwalmy Pana! Chłopak się obudził.

Chłopak? Mówi o mnie? Słyszę zgrzyt nóg przesuwanego krzesła, potem kolejny. Na zewnątrz jest dwoje ludzi siedzących w korytarzu, czekających na mnie. Czuwających.

– Czekaj. – Rozpoznaję drugi głos. To ten starzec, barczysty brodac. Słyszę stukot jego podkutych butów, gdy podchodzi do drzwi. Słyszę zgrzyt otwieranego zamka, więc cofam się ze ściśniętym sercem. Drzwi się otwierają, wpuszczając z korytarza nieco srebrzystej poświaty. Stoi tam, tuż za progiem; mój oprawca ze ścieżki, odziany w czarny płaszcz wielkolud.

Słyszę jednak tylko głos kobiety:

– Powiedz, przyjacielu... Muszę o to zapytać. Czy jesteś chory?

– Ja... – Stoję pośrodku sypialni kompletnie skołowany. Czy jestem chory? Na pewno daleko mi do pełni sił. Zostałem poparzony. Wciąż mam dym w płucach. Koń mnie stratował, rozwaliłem sobie także czoło. Czuję głód, wyczerpanie i senność, ale to przecież nie są oznaki żadnej choroby?

– Przyjacielu? – powtarza głosem kobiety dojrzałej, matczynym, ale i stanowczym. – Musisz nam powiedzieć. Musimy to wiedzieć.

Gapię się na swoją stronę drzwi.

– Przepraszam, ale nie rozumiem – odpowiadam w końcu.

– Ona pyta, czy zapadłeś na zarazę.

Starzec mówi wolno, wyraźnie. Chce, bym dobrze go zrozumiał, ale chyba mu się to nie udaje. Nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

– Co takiego?

– Czy jesteś nią dotknięty jak wielu innych.

Dotknięty. Słowo z innych czasów. Juki. Stołek do dojenia krów. Dotknięty. Muskam zabandażowanymi rękoma policzki, spodziewając się natrafienia na wrzody albo inne odrażające objawy biblijnych plag, ale nie, jest tam tylko moja twarz, ta

sama, choć wymizerowana z powodu długotrwałej wędrówki, wąs jeży się pod nosem, szorstki zarost pokrywa szczękę.

Mężczyzna odzywa się ponownie:

- Trzymamy się z dala od zarażonych. Dlatego musimy wiedzieć, czy jesteś zdrowy.

Opuszczam wolno ręce, lecz myśli wirują mi w głowie jak szalone. Próbuje to rozpracować. Dotknięty - zarażony. Zaczynam potakiwać. Zaczynam rozumieć, o co może tutaj chodzić i co powinienem zrobić, by wyplątać się z tej kłopotliwej sytuacji.

Oczyszczam krtań.

- Nie - odpowiadam, po czym kaszlę. - Nie, proszę pana, nie, proszę pani, nie zostałem zarażony. Czy mogę już wyjść z tego pokoju?

* * *

Jeśli w New Hampshire mieszkali jacyś amisze, nigdy wcześniej na nich nie trafiłem, więc cała moja wiedza na temat ich kultury pochodzi z kreskówek - czarne kapelusze, także brody, powozy ciągnięte przez końskie zaprzęgi, świece i krowy. Teraz drzwi przede mną otwiera kobieta w wyblakłej purpurowej sukni i czarnym czepku, obok niej stoi mężczyzna wyglądający równie imponująco jak za dnia: wysoki, barczysty, w białej koszuli i czarnych spodniach z szelkami. Ma charakterystyczną bródkę, czarną z rzadkimi pasemkami siwizny. Szerokie czoło, wielki nochal, spojrzenie poważne, usta powściągliwie zaciśnięte. Jego żona osłania twarz dłonią, bym nie widział, jak bardzo cieszy ją, że żyję, że wstałem, jakbym był jej od dawien dawna zaginionym synem.

- Chodź - zachęca mnie gorąco, przywołując gestem dłoni. - Chodź, poznaj wszystkich.

Wlekę się za nią po wyłożonym drewnem, oświetlonym słonecznym blaskiem korytarzu, a ona mamrocze cały czas pod nosem po angielsku, zanosząc dzięki Bogu, jej mąż milczy jednak, maszeruje za mną, a gdy zerkam przez ramię, gromi mnie wzrokiem, nie musi nic mówić, wychwytyję w jego spojrzeniu

wyraźne ostrzeżenie. Ostrożnie, chłopcze. Uważaj, co robisz i mówisz.

Dom pachnie chlebem i cynamonem, emanuje ciepłem i spokojem. Mijamy troje drzwi: za dwojgiem, otwartymi, widzę schludne sypialnie podobne do tej, w której mnie ułożono. Ostatnie są zamknięte, ale w szparze pod nimi dostrzegam światło.

Naszym celem jest wielka słoneczna kuchnia, w której roi się od ludzi w prostych ubraniach, a gdy wchodzę razem z dwójką starszych, wszyscy milkną jak na komendę.

- Nic mu nie jest! - wykrzykuje chłopiec mogący mieć nie więcej niż osiem lat.

Stojąca za nim kobieta obejmuje go pospiesznie rękami, przytula, mamrocząc pod nosem.

- Panu niech będą dzięki.

Moment później w kuchni dochodzi do eksplozji radości. Wszyscy pokrzykują, klaszczą.

- Przeżył! - wołają, poklepując się po ramionach. - Dzięki Bogu!

Dojrzały mężczyźni i chłopcy, kobiety i dziewczęta, legion dzieci w długich portkach i sięgających kostek sukienkach, wszyscy gratulują sobie, przyglądając mi się z podnieceniem i nieskrywaną fascynacją. Ich ręce składają się jak do modlitwy albo unoszą ku powale. Wszyscy powtarzają sobie wesołą wieść: „On żyje”, „Zbudził się zdrów”. Wiadomość o moim dobrym stanie roznosi się lotem błyskawicy. Mężczyźni ściskają mi kolejno dłoń, młodzi, dojrzały, nawet jeden sędziwy starzec. Kobiety trzymają dystans, lecz także uśmiechają się czule, po czym pochylają głowy, by zmówić szybką modlitwę.

Stoję wśród nich milczący i zagubiony. Czuję się jak dureń pomiędzy mędracami, nie mam bladego pojęcia, jak powinienem się zachować. Dopiero po minucie odważam się unieść ostrożnie otwartą dłoń, aby im niezdarnie pomachać, ale zaraz znów ją opuszczam. To dziwne, naprawdę niesamowite, czuję się, jakbym trafił na plan kolejnego odcinka „Strefy mroku”. Jak bożek wizytujący zamieszkaną przez obce ludy ziemię.

- Siadaj - woła do mnie radośnie jedna ze starszych kobiet, ta, która mnie tutaj przyprowadziła, po czym podnosząc głos, oznajmia wszystkim: - Czas coś zjeść.

Pozwalam, by zaprowadzono mnie do stołu, uśmiecham się do wszystkich, udając wyczerpanie i skołowanie, by obserwować bacznie starca, który także nie spuszcza mnie z oka. W głowie mam prawdziwy mętlik. Zastanawiam się, gdzie są współpracujący z amiszem Azjaci, o których wspominała Sandy. To sekret moich nowych przyjaciół, tak myślę. Gdziekolwiek przebywają, nie zostali zaproszeni na ten posiłek.

Wszyscy zasiedli przy okrągłych stołach rozstawionych w sporym pomieszczeniu przylegającym do kuchni. Porozkładali serwety na kolanach, rozlali do kubków wodę stojącą w drewnianych dzbanach. Kobiety w czepcach, szalach i sięgających kostek sukniach, brodaci mężczyźni w śnieżnobiałych koszulach bez guzików i w czarnych butach. Wszyscy uśmiechają się do mnie z najdalszych zakątków pokoju, kiwają głowami, komentując wycieńczenie i rozchełstanie.

Gospodyni podaje jedzenie. To prosty posiłek: bochny chleba, gotowane warzywa, potrawka z królika, niby nic, ale jakie smaczne. Próbuję rozpracować tych ludzi, odgadnąć łączące ich pokrewieństwo. To musi być jakaś rodzina. Jest starzec, ten, który mnie pojmał. Do tego trzej mężczyźni po czterdziestce albo i pięćdziesiątce, którzy mogą być jego synami lub zięciami, z pewnością są o pokolenie młodszy. Noszą identyczne czarne płaszcze, mają takie same brody i ponure miny na wciąż gładkich twarzach. Kobiet w podobnym do nich wieku, żon albo sióstr, naliczyłem pięć, a może jest ich osiem? Córki i synowe znikają co chwilę w kuchni, znosząc kolejne półmiski i talerze, nalewając wodę, szepcząc do siebie nawzajem, poprawiają czepki i kołnierzyki niezliczonej rzeszy dzieci. Jedno z nich, sześć- albo siedmioletni chłopczyk o śmiesznych uszach, gapi się na mnie z otwartymi ustami. Odwracam się więc do niego, unoszę grubo obandażowaną dłoń i mówię:

- Cześć.

Chichocze jak szalony, odwraca się i ucieka między rodzeństwo i kuzynów.

W końcu, gdy już każdy siedzi przy stole, nagle – a przynajmniej ja nie zauważam żadnego sygnału bądź znaku, który by to nakazywał – wszyscy milkną i zapada grobowa cisza. Amisze przymykają oczy i pochylają głowy.

Modlimy się, to znaczy powinniśmy się modlić. Ja nie przymykam powiek, rozglądam się ciekawie po jadalni. Z miejsca, na którym siedzę, mogę zajrzeć także do kuchni, zauważam tam maselnicę, drewnianą i dość prymitywną. Jej drewniany ubijak leży obok zbiornika, widać, że był dopiero co używany. Na blacie kuchennym stoi drewniana misa pełna jaj. Czuję się, jakbym znalazł drogę ucieczki, przejście prowadzące w przeszłość, do wioski z czasów kolonialnych, tak że od dnia zagłady ludzkości dzielą mnie jeszcze cztery stulecia.

Widzę, że jedna z dziewcząt robi to samo co ja: nastolatka o różowionych policzkach i jasnych włosach przymyka tylko jedno oko, gdy wszyscy zaczynają się modlić. Zauważa, że ją obserwuję, płoni się i wbija wzrok we własny talerz. Uśmiecham się. Ludzie nigdy nie traktowali amiszów jak równych sobie, dla przeciętnego człowieka byli dziwakami nie z tego świata, podobnymi do siebie jak nie przymierzając, pingwiny. A tu proszę, mam wokół siebie konkretne osoby, którym można przypisać charakter i twarze.

Starzec odchrząkuje w końcu, otwiera oczy i mówi:

- Amen.

Sekundę później jadalnia ponownie ożywa. Słyszę szmery radosnych pogawędek, pobrzękiwanie sztućców, szelest serwetek. Pochłaniam to, co przede mną położono, choć wszystko mnie boli i mam problemy nawet z przełykaniem. To jest tak smaczne, ciepłe i pożywne. Chwilę później starzec odkłada nóż i widelec, po czym spogląda na mnie z niepokojącą szczerością.

- Dziękujemy Panu za twoje przybycie, przyjacielu. Cieszymy się, że tu jesteś.

- I ja dziękuję - odpowiadam półgłosem, pochylając uprzejmie głowę.

Facet zostawił mnie, bym skonał z głodu w stodole. Założył mi na głowę worek, związał ręce i nogi, a teraz spogląda na mnie obojętnie, nawet wyzywająco, jakby chciał powiedzieć: jak myślisz, któremu z nas uwierzą?

- Od wielu miesięcy nikt nie korzystał z południowej stodoły. To znaczy od czasu, gdy zaczęły się kłopoty - rzuca ktoś siedzący na drugim krańcu jadalni, ciemnowłosa kobieta w średnim wieku, o wyglądzie matrony, jedna z córek albo synowych. - Ojciec zamknął ją na trzy spusty.

Czarnowłosy starzec przytakuje jej wypowiedzi. Południowa stodoła, myślę sobie. Kłopoty... Mają na myśli tę urojoną zarazę, mówią o problemach różniących się od tych, z którymi stykali się wcześniej. Ojciec to bardziej tytuł niż faktyczna pozycja w rodzinie, tak przynajmniej mi się wydaje. Facet, który strzelał do mnie na ścieżce, jest widocznie tutejszym szanowanym patriarchą, kimś w rodzaju mędrca jednej albo nawet kilku rodzin. Pozostali pochylają lekko głowy, gdy przemawia, co znaczy, że bardzo go szanują.

- Przyjacielu - odzywa się ponownie, spoglądając na mnie i wolno cedząc słowa. - Wielu z nas jest ciekawych, czy dostałeś się do środka południowej stodoły przez okno, a potem zaproszyłeś ogień, chcąc zapalić papierosa, czy też chciałeś sobie przyświecić i tak doszło do pożaru. Powiedz, jak było.

To samo wyzywające spojrzenie, chłodne i czyste.

Upijam wodę z kubka. Oczyszczam krtań.

- Tak, proszę pana - odpowiadam, przystając na warunki rozejmu. - Tak właśnie było. Zapaliłem zapałkę, by móc się rozeznąć w ciemności, i niechcący ją upuściłem.

Ojciec potakuje. Wokół stołów słychać pomruki, mężczyźni szepczą do siebie, kiwają głowami. Dzieci usadzone przy osobnych stołach tracą zainteresowanie naszą rozmową. Wolą zajmować się własnymi sprawami. Jedyłą ozdobą ścian tego

pomieszczenia jest kalendarz otwarty na stronie września. Zdobio go rysunek dębu pozbawionego większości liści.

- Jeśli wolno zapytać, uciekałeś pan przed pandemią? - Te słowa wypowiada jeden z młodszych mężczyzn, postawny, z twarzy i sylwetki przypominający ojca.

- Tak - odpowiadam niepewnie. - Zgadza się. Opuściłem dom, by przed nią uciec.

- Dopust Boży - mamrocze tamten, a reszta powtarza za nim te słowa, wbijając wzrok we własne talerze. - Dopust Boży.

Ojciec wstaje, prostuje się dumnie, kładąc dłoń na ramieniu jednego ze swoich synów.

- Z woli Pana naszego Ruth dostrzegła ogień z okna swojej sypialni i pobudziła pozostałych.

Wszyscy spoglądają na dziewczynkę, która jak zauważyłem, oszukiwała podczas modlitwy. Jej policzki z różowych stają się czerwone. Kilkoro mniejszych dzieci chichocze na ten widok.

- Dzięki ci, młoda damo - mówię do niej jak najbardziej szczerze, dziewczyna jednak nie odpowiada, nie odrywa wzroku od talerza wyładowanego duszonymi warzywami.

- Odpowiedz naszemu gościowi, Ruthie - prosi uprzejmym tonem babcia. - Nasz gość chce ci podziękować.

- Bogu należą się dzięki - odpowiada dziewczyna, a pozostali chwalą jej roztropność pomrukami aprobaty.

- Bogu niech będą dzięki - mówią unisono kobiety, mężczyźni, a nawet najmłodsze dzieci.

Jest ich tutaj trzydzieścioro pięcioro: sześciu dorosłych mężczyzn, siedem kobiet i dwadzieścioro dwoje dzieci, od niemowląt po nastolatków. Żadne z nich nie ma pojęcia, co się dzieje. Spoglądam na starca, potem przenoszę wzrok na jego milczącą, lecz szczęśliwą rodzinę, teraz widzę wyraźnie, że ci ludzie są niczego nieświadomi. Nie słyszeli o asteroidzie.

Nie powinieneś być wypowiadać tych słów, tak powiedział, gdy poinformowałem go, że muszę znaleźć siostrę, zanim nastąpi koniec świata. Nie powinieneś być wypowiadać tych słów.

Nie wiedzą o niczym, co widać po ich spokojnych twarzach, na których maluje się nigdzie indziej nie spotykana radość. Ludzie przestali się tu pojawiać z powodu strasznej zarazy, jakiś przerażający wirus zdziesiątkował ludzkość, więc zamknęli się w domach na tym odludziu, by przetrwać najgorsze w gronie rodziny i bliskich. Przetrwać, ponieważ kiedyś nadejdzie koniec tej grozy. Pandemia przeminie i znów zacznie się normalne życie. Ludzie zgromadzeni w tej jadalni nie mają bladego pojęcia o tym, że świat już się nie podniesie, widzę to po ich oczach i minach, gdy kończą posiłek i zmawiając kolejne modlitwy, wstają rozradowani od stołu. Wyczuwam w ich postawie coś, czego nie zauważałem, dopóki nie zniknęło z naszego życia. Tę bezwonną i bezbarwną obecność nadziei na przyszłość.

- Chcę porozmawiać z naszym gościem na osobności - oświadcza nagle starzec. - Pokażę mu naszą farmę.

- Atlee - gani go żona, najstarsza z kobiet. - Nasz gość jest zmęczony i poraniony. Pozwól mu zjeść i wrócić do łóżka.

- Dziękuję pani za troskę, ale czuję się świetnie. - To nieprawda. Jestem tak obolały, jakby potrafiła mnie rozpędzona śmieciarka. W boku kłuje mnie za każdym razem, gdy przełykam albo nabieram tchu, a dłonie pod bandażami od jakichś dziesięciu, piętnastu minut ponownie palą żywym ogniem. Chcę jednak zdobyć informacje, po które tu przyszedłem, a jedynym sposobem na ich uzyskanie jest rozmowa na osobności z człowiekiem imieniem Atlee. - Dziękuję jednak za ten przepyszny posiłek i za wszystko inne, pani Joy.

Oczy staruszki robią się okrągłe ze zdziwienia, a przez jadalnię przebiega kolejna fala radosnych śmiechów.

- Nie, młody człowieku - odpowiada. - Nazywamy się Miller. Joy to... - Pochyliła się do siedzącej obok córki, przez chwilę szepczą sobie coś na ucho. - Joy to akronim - wyjaśnia. - Nasz sposób życia. Musisz otworzyć swój umysł najpierw na Jezusa, potem na innych, a na sam koniec na siebie.

- Aha - mamrocze.

Atlee ujmuje mnie pod łokieć.

- Chodźmy - rzuca pogodnym tonem. - Oprowadzę cię po naszej farmie.

4.

Koniec drzewca wideł Atlee'ego Millera uderza rytmicznie o żwirową ścieżkę, gdy oddalamy się od domu. Amisz milczy przez ponad minutę, a może i dwie. Słyszę więc jedynie chrzęst, gdy stawiamy kolejne kroki, i rytmiczny stukot opadającego drzewca.

Właśnie otwieram usta, by zagaic jakoś rozmowę, ale on mnie uprzedza.

- Dojdziemy razem do miejsca, w którym ścieżka się rozwidła - mówi. - Jeśli skreścisz w lewo, można stamtąd dojść do drogi, przy której stoi nasz stary stragan, to mniej więcej ćwierć mili marszu. Ja pójdę w prawo, okrążę naszą farmę, a ty idź, gdzie ci pasuje.

Podobnych słów używał, gdy prowadził mnie w deszczu. Idź dalej, mówił takim samym grobowym niewzruszonym tonem. Nie spogląda na mnie ani razu, gdy padają te słowa, tylko maszeruje przed siebie, wspierając się na trzonku wideł, całkiem szybko jak na swój wiek. Ja robię, co mogę, by dotrzymać mu kroku, krzywię się co rusz z bólu, ale nadążam - przy okazji, pomimo odczuwanego dyskomfortu i beznadziejności sytuacji, zauważam, że skąpiana w deszczu farma amiszów to najpiękniejszy widok, jaki mogę sobie przypomnieć: zielone pola, białe ogrodzenia, żółta kukurydza. Stada zdrowo wyglądających owiec wypasających się w pobliżu zabudowań.

- Twój pies - rzuca szorstko Atlee, wskazując przyczajonego za szopą Houdiniego.

Biedne skołowane chore psisko. Dostrzega mnie, unosi łeppek, by przyjrzeć mi się dokładniej wodnistymi ślepkami. Rusza do przodu, ale zaraz zawraca i znów kryje się w cieniu szopy. Wiem, jak się czuje. Ja też nie jestem jeszcze gotowy na odejście.

- Panie Miller, czy mogę zadać panu kilka prostych pytań? - Nie odpowiada, za to przyspiesza kroku. Mało brakuje, bym upuścił

niebieski zeszyt, który właśnie wyciągam z kieszeni. – Czy może pan potwierdzić, że wykonał pan na zlecenie pewnych ludzi roboty budowlane w garażu posterunku policji w Rotary? – Spogląda prosto przed siebie, ale i tak zauważam zaskoczenie na jego twarzy, potwierdza tym moje podejrzenia, więc naciskam dalej: – Na czym polegała pańska praca, panie Miller? Robiliście jakiś betonowy odlew?

Zerka w bok i to by było na tyle. Tutaj kończy się droga. Tutaj kończy się mój czas.

– Panie Miller?

– Powiem krewnym, że zdecydowałeś się na powrót – rzuca. – Żal ci się zrobiło zostawionych bliskich, więc uznałeś, że wolisz zaryzykować powrót do zarażonego świata.

Krzywię się, ale kuśtykam za nim. Nie, myślę, na pewno nie. Cokolwiek się tutaj dzieje, nie przebyłem tak dalekiej drogi, by dać się spławić, wrócić do porzuconego roweru i zaczynać wszystko od nowa.

– Powiem im o wszystkim – grożę. – Zakradnę się tutaj z powrotem i powiem im prawdę.

Tym razem odpowiada, i to natychmiast:

– Nie zrobisz tego. Nie możesz.

– Mogę.

– Uniemożliwię ci to.

– Jak?

Nie odpowiada, potrząsa tylko głową, ale to akurat dobry znak. Tego właśnie nam trzeba – rozmowy. Tak wyciąga się informacje od podejrzanego albo od świadka – należy nawiązać rozmowę, a potem skierować ją umiejętnie na odpowiednie tory.

– Panie Miller? Jak panu się to udało? – Zwyczajna rozmowa. Tak wygląda policyjna robota, a przynajmniej jej spora część. Nie wychodzi, zmieniasz podejście, zaczynasz od nowa. – Jak to się zaczęło?

Docieramy do linii ogrodzenia. Zatrzymuję się, opieram o słupek, jakbym chciał złapać oddech. On także przystaje.

- Nie będę już wypytywał o beton - dodaję, unosząc ręce w udawanym geście poddania. - Obiecuję.

- To była niedziela - rzuca, a ja aż drżę z radości. Rozmowa. Mamy drugą połowę, on zaczyna mówić, a ja słucham. - Modlimy się zazwyczaj u Zachary'ego Weaversa. Paru z nas zawsze idzie do niego wcześniej, by pomóc w przygotowaniach do nabożeństwa. Pozostali przybywają później. Tego dnia pojawiłem się pierwszy, ale u Weaversów panował ogromny zamęt. Ktoś słuchał radia. Reszta lamentowała. Panowała tam czarna rozpacz.

- Kręci głową ze wzrokiem wbitym w ziemię, po czym rusza dalej, ciągnąc: - Wtedy zrozumiałem. Wtedy dotarło do mnie, co powinienem zrobić. W oczach tamtych ludzi dostrzegłem przemianę, która prowadziła ich do zguby. I tak się stało, o czym doskonale wiesz. - Nie musi czekać na potwierdzenie, nie mam zamiaru mu przerywać. - Zawróciłem, a gdy zobaczyłem, że moja rodzina idzie w kierunku domu wielebnego, podjąłem decyzję w ułamku sekundy. Zatrzymałem ich, unosząc rękę, o tak... - Przystaje, wykonuje znajomy gest, po czym odwraca się do mnie. - Musiałem im coś powiedzieć, więc wymyśliłem tę historię, którą usłyszałeś.

- O chorobie - mówię. - O pandemii.

- Tak.

Wypowiada to jedno jedyne słowo bardzo cicho, pod nosem, a ja po raz pierwszy od naszego spotkania zauważam na jego obliczu coś innego niż niezachwianą pewność siebie - widzę smutek i samooskarżenie.

- O zarazie. O chorobie, która zapanowała w całym kraju. - Twarz pochmurnieje mu jeszcze bardziej. Ten człowiek nienawidzi kłamstwa. Ono go wyniszcza, widzę to wyraźnie. - Zebrałem swoich krewnych i powiedziałem, że sytuacja jest niezwykle poważna, musimy pozostać w odosobnieniu, izolując się nawet od najbliższych przyjaciół i od kościoła. Powiedziałem im, że idą ciężkie czasy, ale przetrwamy, ponieważ mamy Boga i dzięki Jego łasce przeżyjemy.

Mówi dalej powoli, spokojnie, wypływając nieprzerwany ciąg słów i sylab. Teraz, gdy zdecydował się wyjawić mi fragment tej opowieści, czuje przymus dokończenia, jakby jakaś część jego umysłu czekała od miesięcy, by podzielić się tą historią z kimkolwiek, by zrzucić z barków ciężące na nich brzemię. Znalazł się na bezludnej wyspie dręczony wyrzutami sumienia, zmagając się nieustannie ze skutkami niefortunnej, ale koniecznej jego zdaniem decyzji. Przez długi czas tkwił na wygnaniu we własnym domu, a jedyni obcy, z którymi się porozumiewał, nie mówili po angielsku.

Zebrał wszystkich krewnych u siebie, przy tych samych stołach, przy których jedliśmy, i wymusił na nich przysięgę, od najstarszych po dzieci, że pozostaną w obrębie farmy dla własnego i innych bezpieczeństwa, że nie opuszczą schronienia, dopóki zaraza się nie skończy. Wyjaśnił im, jak Bóg przekazał mu swoją wolę pod postacią wygłodzonych uchodźców z dalekiej Azji, którzy zdołali jakimś cudem dopłynąć do wybrzeży Nowej Fundlandii, a potem dotarli aż do tego zakątka Środkowego Zachodu. Rozumieli się na tyle dobrze, że zawarli umowę. Atlee udzielił im schronienia w namiotach, na polach po przeciwnej stronie stanowej czwórki, a oni w zamian pracowali dla niego, lojalnie i dyskretnie. On był szefem, ale dzielili się uczciwie, poza tym pilnowali jego farmy nocami, pozostając niewidzialnymi strażnikami.

To był bardzo ryzykowny układ, o czym doskonale wiedział. Zdawał sobie sprawę, że za jakiś czas któreś z dzieci albo wnuków złamie dane mu słowo, wyjdzie poza teren farmy i pozna prawdę. Albo że pojawi się ktoś z zewnątrz, włamywacz, szaleniec lub uchodźca, który pokona ogrodzenie ich prywatnego rajku.

- To nie mogło trwać w nieskończoność - przyznaje Atlee - ale też nie musiało. Wystarczyłoby jeszcze tylko kilka dni.

Jesteśmy już blisko wspomnianego rozwidlenia. Słońce stoi w połowie drogi pomiędzy południowym szczytem a miejscem, w którym zajdzie. Kolejny dzień przejdzie niedługo do przeszłości.

- Mamy naprawdę ciężkie czasy, proszę pana - przyznaję. - Wszyscy musieliśmy podejmować trudne decyzje. Bóg panu wybaczy.

Spogląda przez chwilę w ziemię, a gdy podnosi wzrok, spodziewam się ujrzeć gniew - jakim prawem śmiem przemawiać w imieniu Boga? - tymczasem widzę w jego oczach łzy, pobrużdżona starcza twarz wykrzywia się w smutnym grymasie.

- Tak myślisz? - pyta łamiącym się głosem, po czym podchodzi i chwyta mnie wielką dłonią za koszulkę. - Naprawdę tak uważasz?

- Tak - potwierdzam stanowczo. - Tak będzie.

Facet obejmuje mnie rękami i łka mi w ramię. Nie mam pojęcia, jak sobie z tym poradzić, naprawdę tego nie wiem.

- Wiesz, przyjacielu, ja naprawdę uważałem, że Bóg chciał, abym to zrobił. Czy nie dlatego posłał owego dnia do Weaversów mnie, a nie jedno z dzieci uczęszczających do szkoły? Przecież to któryś z maluchów mógł przynieść z miasta te przerażające wieści. Ale trafiło na mnie, ponieważ byłem jedynym, który mógł uchronić ich przed tą straszną prawdą. - Odsuwa się, spogląda mi stanowczo w oczy. - Rozumiesz, że nie używamy automobili, ponieważ to zbliżałoby nas do życia w grzechu. Żadnych samochodów, komputerów, telefonów. One odwracają uwagę od wiary! Ale to coś, co spada z nieba... to by nas złamało, o tak. - Pstryka palcami. - Popadlibyśmy w rozpacz, a od rozpacz do grzechu już tylko krok. Dla nas i dla wszystkich innych. - Wskazuje widłami własny dom, rodzinę, podwładnych. - Tu nie chodzi o zagładę tego świata, rozumiesz? Rozumiesz? Świat jest tymczasowy, zawsze taki był. - Podnieca się tym, co mówi, prawością swoich przekonań, lecz wyczuwam w jego głosie ogromny ból. - Bóg wybrał mnie, abym ich chronił. Abym tylko ja był tym, który zgrzeszy. Nie rozumiesz, że taki był Jego zamiar? Nie sądzisz, że o to właśnie Mu chodziło? - naciska coraz natarczywiej.

To nie są pytania retoryczne, on oczekuje na nie odpowiedzi, więc hamuję pierwszy odruch, jakim jest stwierdzenie, że nie mam bladego pojęcia, o co chodzi Bogu, podobnie jak on nie może

tego wiedzieć, nie wytykam mu także narcyzmu, który maskuje, nieudolnie zresztą, udając pokornego sługę wypełniającego wolę Pana: zrobiłem, co musiałem, ponieważ taka była decyzja niewidzialnej mocy.

Nie mówię niczego takiego. Nie miałyby to najmniejszego sensu, zwłaszcza z perspektywy mojego dochodzenia. Po co wkurzać człowieka, wykpiwając system jego wierzeń, skoro chce się wyciągnąć z niego cenne informacje? Podchodzę więc o krok, poklepuję go przyjaźnie po ramieniu, choć sprawia mi to ból, a on i tak pewnie nic nie czuje przez ten gruby płaszcz. Czekam, aż mój rozgorączkowany umysł znajdzie najwłaściwszą odpowiedź. Dotarliśmy już do miejsca, o którym wspomniał, więc jeśli wykonam jego wolę i odejdę, nigdy już nie zobaczę Nico i nie zdołam się z nią pożegnać.

- Wybacz, przyjacielu - mówi. - Tak mi przykro. - Jego nastawienie znów ulega zmianie. Wziął się w garść, uspokoił, pochylił teraz głowę, wbijając wzrok w ziemię. - Nie odszedłbyś, nie zostawiłbyś nas, a ja czułem, że nie mam wyboru.

- Już dobrze - chwytam go za rękę, trzymam ją pomiędzy własnymi dłońmi. - Cały czas byłem bezpieczny. Nic mi nie groziło.

Miller ociera oczy wielkimi kłykciami, znów prostuje plecy.

- O czym ty mówisz?

Pod pokładami bólu i wyczerpania czuję rozpalający się żar radości. Dopadłem go. Muszę naciskać, nie odpuszczać.

- Wyjście z tej stodoły było moim przeznaczeniem. Bóg chciał, abyś pomógł mi w odnalezieniu siostry. Przeszedłem taki szmat drogi tylko dlatego, że mnie chronił. Nigdy nic mi nie groziło.

Spuszcza na moment wzrok, znów słyszę mamrotanie. Kolejna modlitwa, jeszcze jedna. W końcu spogląda mi w oczy.

- Masz może jej zdjęcie?

* * *

Była tam. Na posterunku w Rotary. Cztery dni temu, w środę, dwudziestego szóstego września, dzień przed tym, nim dotarliśmy

na miejsce z Cortezem. Czuję ucisk na dnie żołądka. Chcę mieć pewność, że pan Miller nie myli się co do daty, więc potwierdza ją raz jeszcze. Bardzo dokładnie śledzi upływ czasu – wie, kiedy wykonywał poszczególne zlecenia i jak długo to trwało, zapamiętuje każdą datę. Może więc powiedzieć, co dokładnie robił na posterunku, i natychmiast rozpoznaje twarz Nico.

Proszę, by zwolnił. Proszę, by zaczął raz jeszcze, od początku. Wyciągam zeszyt i mówię, że chciałbym, aby opisał mi cały ten dzień, opowiedział o wszystkim, co się wtedy wydarzyło, wolno i spokojnie.

Atlee wyszedł tego ranka jak zawsze, zakazawszy krewnym opuszczać teren farmy. W Pike, miejscowości leżącej pomiędzy tym miejscem a Rotary, spotkał młodzieńca o pociągłej twarzy i rozbieganym wzroku, który przedstawił się jako „Kleszcz”. Człowiek ten obiecał mu skrzynkę zapakowanej żywności za wykonanie pewnych prac budowlanych na posterunku policji.

- Co to znaczy: zapakowanej żywności?

- Wojskowe racje żywnościowe – wyjaśnia Atlee. – Jakoś dziwnie je nazywał.

- MRE? – dopytuję.

Potakuje.

- Tak powiedział. MRE.

Zapisuję wszystko. Wojskowe racje żywnościowe... Wojsko?... Facet o pociągłej twarzy... Kleszcz?

Macham ręką, prosząc, by kontynuował.

Atlee przyjął zlecenie i razem z Kleszczem udał się na posterunek w Rotary, gdzie dotarli około czternastej trzydzieści. Poszedł tam sam, ponieważ robota zlecona przez Kleszcza wydawała się prosta, chodziło o zabezpieczenie zejścia do piwnicy specjalnie wykonaną betonową płytą.

W Rotary Kleszcz kazał amiszowi poczekać, twierdził, że to potrwa nie dłużej niż piętnaście, dwadzieścia minut, więc Miller się zgodził, choć bezczynne sterczenie w mieście nie było mu w smak. Miał inne obowiązki, był człowiekiem, który nigdy nie próżnuje, ale czekał, stał z rękami złożonymi na piersiach przed

wejściem na posterunek, próbując trzymać się jak najdalej od deszczu i grupki młodych ludzi przenoszących metalowe skrzynie do piwnicy pod garażem.

Atlee komunikował się z jedną tylko osobą prócz rzeczzonego Kleszcza. Z mężczyzną, który wydawał się przywódcą tej grupy: przysadzistym krępyim facetem o bujnych włosach i ciemnych piwnych oczach ukrytych za grubymi okularami.

- Wie pan, jak się nazywał?

- Astronauta.

- Nazywał się Astronauta?

- Pewnie nie, ale tak się do niego zwracali.

Zapisuję to. Astronauta. Zakreśliam słowo podwójną linią i dodaję znak zapytania.

Astronauta nie mówił za wiele, lecz nie ulegało wątpliwości, że to on dowodzi, twierdzi Atlee. Wydawał polecenia pracującym, przydzielał im zrolowane śpiwory, wypchane torby, skrzynie jedzenia i butle wody, które znosili kolejno do piwnicy. Były tam też znacznie większe kontenery, wyglądały na bardzo ciężkie, znosili je po schodach parami, bardzo ostrożnie i wolno.

Co w nich się kryło, tego Atleee nie wie. Ja snuję wiele rozmaitych domysłów - broń, amunicja, paliwo, sprzęt komputerowy, materiały budowlane...

Docieram na przedostatnią stronę swojego cienkiego zeszyciku w niebieskiej okładce. Staram się zapanować nad drżeniem rąk. Opisuję tych ludzi: nerwowy dziwnie wyglądający Kleszcz, włochaty Astronauta w grubych okularach. Młodzi ludzie, studenci, wszyscy mniej więcej w wieku Nico, kręcący się po metalowych schodach jak mrówki, znoszący pod ziemię żywność, wodę i co tam jeszcze mieli w tych pojemnikach.

Atlee sądzi, że było ich czternaścioro: osiem kobiet i sześciu mężczyzn. Gdy pytam, jak wyglądali, wzrusza ramionami i rzuca: „Jak normalni ludzie”. W tym momencie dociera do mnie, że dla amiszów musimy wyglądać tak jak oni dla nas: wszyscy jesteśmy do siebie podobni pomimo barwnych ubrań, bezbożnych urządzeń i dziwacznych fryzur. Naciskam mimo to, by wyciągnąć jak

najwięcej detali. Miller mówi mi o chłopaku w niebieskich adidasach, zapamiętał też innego, wysokiego, dobrze zbudowanego. I jedną kobietę, Afroamerykankę, która była wyjątkowo chuda. Opisuję mu śpiącą Lily, ale nie przypomina sobie, by wśród tamtych była jakaś Azjatka. Opisuję Jordana, kumpla Nico z uniwersytetu. Na samo wspomnienie tego drania ogarnia mnie gniew. Widzę go oczami wyobraźni: człowieka o stu obliczach kryjącego się za okularami przeciwsłonecznymi i kpiącym uśmiechem.

Amisz nie pamięta jednak nikogo takiego, żaden z tych ludzi nie był niski, nikt też nie nosił okularów przeciwsłonecznych.

Jedną osobę zapamiętał wszakże lepiej od pozostałych. Nadal nie schowałem jej zdjęcia – przybrudzony T-shirt, zadziorna mina, obciachowe okulary – proszę go, by przyjrzał się jej raz jeszcze. Robi to i ponownie przytakuje.

- Tak.

- Jest pan całkowicie pewien?

- Tak.

- Ta kobieta była z nimi?

- Widziałem ją – potwierdza Atlee. – Słyszałem, jak mówi.

Po odczekaniu niemal godziny, aż grupa znieśli wszystkie manele do podziemi, amisz zaczął się niecierpliwić. Chciał jak najszybciej zrobić swoje i zniknąć z tego miejsca. Po drodze zauważył przy ulicy stodołę stojącą pomiędzy posterunkiem a miastem, postanowił więc zajrzeć tam w drodze powrotnej do domu, by poszukać czegoś użytecznego, żarcia dla zwierząt, jakichś narzędzi albo propanu. Dochodziła jednak szesnasta, a jego ślamazarni klienci wciąż znosili pakunki do piwnicy, więc był pewien, że nie skończy roboty za dnia.

Poszedł zatem do Astronauty, by zapytać, jak długo to jeszcze potrwa. Zastał go w korytarzu za garażem, rozmawiał z dziewczyną.

- To była ona – mówi, wskazując zdjęcie. – Twoja siostra.

Nico i jej szef rozmawiali zniżonymi głosami, stojąc na końcu długiego korytarza przecinającego cały budynek posterunku.

Oboje palili papierosy, wyglądało na to, że się sprzeczną.

- Zaraz - przerywam mu. - O co się sprzecznali?

- Nie wiem.

- Zatem skąd przypuszczenie, że to była sprzecznka?

Atlee uśmiecha się pod nosem.

- Jesteśmy spokojnymi uprzejmymi ludźmi, ale uwierz mi, wiem, jak brzmią odgłosy kłótni.

- O co się sprzecznali? - Serce wali mi tak głośno, że z trudem słyszę własne słowa. Krew przepływa mi przez głowę jak podziemna rzeka przez jaskinię. Czuję, jakbym tam był: podchodzę korytarzem do postaci stojących w narożniku wąskiego korytarza, skulonych, żywo gestykulujących. Czy już wtedy biegł tam podwójny krwawy trop prowadzący do kuchni i w przeciwnym kierunku?

- Nie wiem, o czym rozmawiali w tamtym momencie, ale mogę ci powiedzieć, że dziewczyna wyglądała na bardziej zdenerwowaną. Kręciła głowę. Dźgała go palcem w pierś, o tak, jednym palcem, a on powtarzał, że jest, jak jest, i już. Ona się jednak z nim nie zgadzała, mówiła: nieprawda!

Śmieję się w głos. Atlee spogląda na mnie zaskoczony. To oczywiste, że się nie zgadzała. Taka właśnie jest moja siostra, to cała Nico. Walisz jej najszczerzą prawdę w oczy: jest, jak jest, i już, a ona na to: nieprawda. Cała Nico, nic dodać, nic ująć. Niemalże ją słyszę. Jestem już blisko, tak blisko.

- Dobrze, co jeszcze mówili?

- Nic - odpowiada amisz, kręcąc głowę. - Odchrząknąłem, żeby zwrócili na mnie uwagę. Powiedzieli, że to potrwa najwyżej pół godziny, a czekałem już trzykrotnie dłużej. Astronauta przeprosił mnie. Zachowywał się bardzo uprzejmie. Zapytał, czy mógłbym wrócić o wpół do szóstej. Zapewniał mnie, że do tej pory przeniosą wszystko na dół, a betonowa płyta będzie czekała na położenie.

- I tak się stało?

- Tak. Poszedłem przeszukać stodołę i wróciłem o ustalonej porze.

- O wpół do szóstej.
- Tak.
- Tamtych już nie było, a betonowa płyta czekała na opuszczenie?
- Tak. A obok leżało obiecane jedzenie. Te, jak je tam nazwałeś...
- MRE - powtarzam w zamyśleniu, przygryzając dolną wargę. - Nie pan wykonał tę płytę?

- Nie. Była gotowa, zanim się tam pojawiłem.
Tego już nie zapisuję, ponieważ skończyło mi się miejsce na papierze, ale sądzę, że zapamiętam każde jego słowo. Godziny, detale. Muszę je zapamiętać.

- I o wpół do szóstej nie było już po nich śladu?
- Tak.
- Zeszli pod ziemię?
- Tego nie wiem. Ale nie było ich na powierzchni.

I tak kończy się ta opowieść o dwudziestym szóstym września. Atlee i ja stoimy w nabożnej ciszy, oparci o płot otaczający farmy Joy.

Chwilę później amisz odrywa się od ogrodzenia i oddaje mi jedyny przedmiot, którego brakowało w moich kieszeniach, czyli służbowy pistolet. Nie może udzielić mi więcej informacji, ale chcę od niego czegoś jeszcze. Mówię mu o tym, a on chętnie przystaje, mówi mi, gdzie mam pójść i z kim porozmawiać. Wyjmuje mi z ręki zeszyt i zapisuje coś na jego tylnej okładce. Kłaniam mu się z wdzięcznością, żal mi tego sędziwego mężczyzny, brzemienia, jakie dźwiga, i herkulesowej pracy, jaką jest wmawianie pozostałym, że świat jest wciąż taki jak kiedyś.

Gdy sam odrywam się od płotu i zaczynam dziękować, Atlee Miller ucisza mnie, kładąc widły na ramieniu.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, powiedziałeś, że ta dziewczyna jest twoją siostrą.
- Tak.

Spogląda na mnie, jakby próbował podjąć trudną decyzję.
- Ten tam, Astronauta, był bardzo miły i uprzejmy, jak już wspominałem, ale za pasem, takim szerokim, roboczym, miał

spory pistolet, wielgachny nóż i młotek. – Amisz spogląda na mnie tak hardo, że czuję, jak po plecach przebiega mi dreszcz. – Nie widziałem, by ściągał ten pas, nigdy też nie sięgnął po żaden z tych przedmiotów, ale miał je przy sobie. Był przywódcą tej grupy, to pewne, ale wiesz, co zauważyłem? – dodaje. – Choć wydawał się niezwykle spokojny, nawet na moment nie odsuwał ręki od broni.

* * *

Odchodząc, dostrzegam Houdiniego, wciąż kuli się za szopą koło tej kałuży, przy której go wcześniej zauważyłem. Leży nieruchomo, bezwładnie, jakby zasnął. Obok stoi kilkoro dzieci amiszów, bawią się, rzucając kamyki na splachetku ubitej ziemi.

Spodoba mu się to, co robią, gdy się zbudzi, na pewno polubi też ich radosne śmiechy. Jest tak, jak powiedział Atlee, podejmuję tę decyzję w ułamku sekundy, nie przywołuję Houdiniego, nie podchodzę też bliżej, by go nie zbudzić. Przemykam chyłkiem, ze spuszczoną głową, spoglądając na niego tylko raz, zanim odejdę.

Nie przychodzi mi to łatwo, ponieważ jest dobrym pieskiem i wiele nas łączy. Kocham go szczerze, ale wolę, by został tutaj, w tym miejscu pachnącym świeżą trawą i innymi zwierzętami, pośród ludzi, którzy zajmą się nim tak, jak na to zasługuje.

* * *

– Zaczekaj, proszę.

Dziewczęcy głos tak cichy, że ledwie go słyszę. Zatrzymuję się, odwracam i dostrzegam Ruthie, dziewczynę, która udawała, że się modli z innymi. Tę o niebieskich oczach i jasnych włosach. Jedną z najstarszych rozchichotanych nastolatek, ale teraz poważną jak ja. Dyszy mocno, policzki płoną jej po długim biegu, dół czarnej sukienki jest ubłocony.

Dogoniła mnie przy rozstajach, tam gdzie ścieżka zamienia się w drogę. Gapi się na mnie, wyciąga drżącą rękę, jakby chciała złapać mnie za rękaw.

- Proszę. Muszę pana o coś zapytać. - Zerka nerwowo przez ramię w kierunku domu.

Mało brakuje, bym zapytał: „O co?“, ale to by była wyłącznie strata czasu. Wiem, o co jej chodzi, od chwili gdy otworzyła usta.

Radio tam, na poddaszu stodoły. Niewinne dziecko kryjące się w mroku, by słuchać zakazanej muzyki i cieszyć się rzadkimi chwilami wolności, zapomnieć na moment o chóralnym chwaleniu Pana i obowiązkach nakładanych przez rodziców. To tam wsłuchiwała się w zapierające dech wiadomości, to tam przeżyła pierwsze zwątpienia, aż w końcu dotarło do niej, co to wszystko znaczy.

Od tamtej pory udawała. Usiłowała żyć jak pozostali. Biedna Ruthie wie o Mai, podobnie jak jej dziadek, ale nie ważyła się o tym powiedzieć. Woli, by nie miał świadomości, że ona też wie. I że wie także o tym, iż on wie. Bawi się z nim w kotka i myszkę tuż przed końcem świata.

Ale stoi tutaj teraz przede mną i czeka. Trzyma mnie kurczowo za rękaw.

- Ile nam zostało?

- Tak mi przykro, Ruth - odpowiadam.

Zaciska dłoń jeszcze bardziej.

- Ile nam zostało?

Mógłbym dać jej nadzieję: jest plan, ktoś nad tym pracuje. Departament Obrony, Dowództwo Obrony Kosmicznej, oni coś wykombinują. Pchnięcie korygujące, eksplozja nuklearna w określonej odległości od powierzchni asteroidy wyzwalająca dość energii i promieniowania, by wyparowała spora część powierzchni... Wszystko będzie dobrze.

Nie mogę tego jednak zrobić, więc mamrocze tylko pod nosem, najszybciej jak umiem:

- Trzy dni.

Zatyka ją na moment, potem jednak kiwa dzielnie głową i wtula się we mnie. Chwytam jej drobne ciało, odwzajemniam ten uścisk, całuję ją w czubek głowy.

W uszach rozbrzmiewają mi słowa Corteza: „Tobie wszystko kojarzy się z siostrą”.

- Tak mi przykro - powtarzam. - Naprawdę mi przykro.
Ale to tylko słowa. Kilka składowych dźwięków, nic więcej.

CZĘŚĆ CZWARTA

Wstawaj i bierz się do roboty

Poniedziałek, 1 października

Rektascensja 16 49 50,3

Deklinacja -75 08 48

Elongacja 81,1

Delta 0,142 j.a.

Wszystko wygląda dokładnie tak jak przedtem.

Posterunek policji w Rotary przypomina szary okręt zacumowany przy mrocznym nabrzeżu. Jego wysypany żwirem podjazd ma kształt podkowy. Pośrodku sterczą dwa maszty, z których smętnie zwisają przemoczone flagi. Zbliżam się do nich w ciszy poranka, ciężkie buty chrzęszczą przy każdym kontakcie ze żwirem, czuję się jak pasterz wracający po miesiącach samotności na łono cywilizacji, tyle że już jej nie zastaję. Jest tylko ten budynek sterczący z niekoszonego trawnika jak jakieś ruiny. Znów pada. Lało z małymi przerwami przez całą noc. Spałem może z pięć godzin przy szosie na parkingu, pod tą samą tablicą z napisem „Jesteś tutaj”. Złożona dokładnie kurtka posłużyła mi za poduszkę, służbowy pistolet trzymałem pod pachą.

Teraz jest już wczesny poranek i gdy schodzę z ulicy na trawę, niemalże ich wyczuwam, mam wrażenie, że słyszę ich tam, w dole, pod stopami; hałasują, kręcąc się po podziemnej kryjówce, po tej piwnicy, którą wzmocnili i przejęli w posiadanie, po okupowanym przez siebie labiryncie. W moich myślach przeistaczają się w mityczne stworzenia, ich nazwiska otacza złowroga aura. Kleszcz, dziwak o pociągłej twarzy. Bardzo chuda czarnoskóra dziewczyna, posępna i okrutna. Kudłaty czarnowłose Astronauta z całym arsenałem broni za pasem. Wszystkich spisałem czarnym tuszem w swoim niebieskim zeszycie. Jako podejrzanych albo świadków, tego nie jestem jeszcze stuprocentowo pewien. Siedzą tam, na dole, przyczajeni jak pająki i przetrzymują moją siostrę.

Mamy już poniedziałek. Jest dziewięta siedemnaście, jeśli mogę wierzyć swojemu casio. Dwa dni do końca. Docieram już do drzwi, gdy nagle gdzieś nad moją głową rozlega się trzask. Ktoś jest na dachu. Odskakuję od drzwi, wyciągam pistolet i wołam:

- Policja, stać!

Stary nawyk. Niewiele mi pomoże. Serce wali jak młot. Cisza - dziesięć sekund, dwadzieścia - cofam się bardzo wolno, krok po

kroku, do miejsca, z którego będę mógł zobaczyć, kto kryje się w górze.

Odgłos się powtarza, najpierw słyszę drapanie, potem szelest i znów zapada cisza.

- Jeśli ktoś jest na dachu, ma się natychmiast odezwać i pokazać - rzucam głośniejsze.

Co jeszcze mógłbym dodać? Że mam pistolet? Dzisiaj wszyscy są uzbrojeni.

- Policja! - powtarzam po raz kolejny i wtedy na twarz leci mi grad żwiru i innego śmiecia. Małeńkie kamyczki odbijają się od mojego czoła, pył sypie mi się do oczu.

Wypluwam drobinki, które wpadły mi do ust, po czym spoglądam w górę.

- O nie! Toż to pan policjant! - Cortez. Widzę tylko jego nalaną twarz, wielką, paskudną i roześmianą, jedynie ona wystaje zza krawędzi dachu. - Nie zauważyłem, jak podchodziłeś!

Rechocze, gdy opuszczam pistolet. Muszę odchrząknąć, by oczyścić przełyk, spluwam na trawnik gęstą śliną zmieszaną z pyłem. Paskudny numer, dziecinada niegodna dorosłego mężczyzny. Widzę jedynie tors Corteza, który leży na dachu posterunku, za rynnę zwisają tylko jego masywne ręce. Prawą ma rozwartą, to z niej posypały się przed chwilą te wszystkie śmieci. Druga wciąż jest zaciśnięta w pięść. Niebo za nim pokrywają ciemne posępne chmury.

- Co ty tam robisz na górze?

Cortez wzrusza ramionami.

- Zabijam czas. Rozglądam się. Kombinuję. Znalazłem na dachu kilka paneli słonecznych. Podłączyłem do nich nasze ładowarki. Cokolwiek ma tam, na dole, twoja siostra i jej kumple, jest w pełni naładowane.

Potakuję, wyczesując palcami brud z wąsów. Przypominam sobie opis ciężkich skrzyń, które na oczach Millera znoszono na dół. Ciekawe, co w nich było. To pytanie rodzi kolejne, na które nie znam odpowiedzi, co bardzo mnie irytuje: skąd oni wytrzasnęli ten helikopter?

Skupiam się, odsuwam od siebie te myśli. Muszę być skoncentrowany na zadaniu.

- Zleziesz stamtąd czy nie? Mamy robotę. – Zostaje na miejscu, podpira głowę jedną ręką, jakby leżał na trawniku. – Oni tam są. Rozmawiałem z człowiekiem, który zamknął to wejście. Wszystko wskazuje na to, że to ich plan B. W pewnym momencie zdali sobie sprawę, że to całe gadanie o naukowcach i pchnięciu korekcyjnym jest zwykłym bajdurzeniem, i zeszli pod ziemię.

- Fascynujące – odpowiada, po czym otwiera drugą dłoń i wysypuje mi na twarz kolejny deszcz kamyczków i śmieci. Jeden wpada mi do kącika oka.

- Hej!...

Tylko tyle udaje mi się krzyknąć, bo on w jednej chwili przerzuca ciało przez krawędź dachu i spada na mnie z wyciągniętymi rękami jak jakiś wielki nietoperz. Chwyta mnie przy tym za włosy i obraca, tak że ląduję twarzą w zabłoconej trawie. Ma mocny chwyt, zawsze był silniejszy, niż wyglądał. Próbuję się wyrwać, udaje mi się podnieść głowę na tyle, by wysapać:

- Przestań!

Znów mnie przyciska do ziemi, tym razem czuję jego kolano na karku. Nie wiem, co on znowu wyprawia, czy to kolejne dziecinne wygłupy czy naprawdę próbuje mnie skrzywdzić.

- Miałem tam też wiadro – syczy Cortez. – To, do którego szczałem. Zamierzałem wylać jego zawartość na twój durny gliniarski łeb, ale uznałem, że to będzie lepsze. – Wykręca mi szyję, wciska twarz głębiej w błoto. – Bardziej osobiste.

Leżę pod nim unieruchomiony, zastanawiając się, w którym roku kariery zawodowej osiągnąłbym sprawność pozwalającą zaskakiwać innych ludzi, zamiast dać im się rozbrajać. W Do Zobaczyska załatwiła mnie Abigail obwieszona bronią jak świąteczna choinka. Atlee przegonił mnie po polach. Nieznany mi mieszkaniec Rotary, ukryty za betonowym ogrodzeniem, ostrzelał mnie bez ostrzeżenia z karabinu maszynowego. Czuję się jak bohater jakiegoś kawału. Albo jak postać z kreskówki. Wszyscy objają detektywa Henry'ego Palace'a.

- Sądziłem, że jesteście przyjaciółmi - syczy Cortez. - Tak czy nie?

- Tak.

Udaje mi się jakimś cudem przetoczyć na plecy i spojrzeć na niego, ale natychmiast łapie mnie obiema rękami za twarz, twarde paluchy zakrywają mi usta jak maska hokejowa. Czuję w przełyku pył i błoto.

- Cortez... - dyszę przez jego palce, lecz tylko zacieśnia chwyt.

- Wydawało mi się, że jesteście partnerami.

Nagle dociera do mnie, o czym mówi.

- Przepraszam - mamroczę. Dziewczyna, cela, klucz. To było tak dawno temu: decyzja podjęta pod wpływem impulsu, zamknięcie jej i wyrzucenie klucza. Potem tak wiele się wydarzyło. - Naprawdę przepraszam - mówię. Jego oczy są wąskimi szczelinami. - Przepraszam.

- Zrobiłeś to, co uważałeś za słuszne, tak? - Potakuję na tyle, na ile pozwalają mi palce oplatające moją twarz jak macki. Zaciska je jeszcze mocniej. - Zawsze robisz to, co uważasz za słuszne. Tak radzisz sobie sam ze sobą, mam rację?

- Tak. - Mój głos jest zduszony i zniekształcony. - Zgadza się.

- Ech. Pan policjant.

Wymawia ostatnie słowa jak przekleństwo, jak zniewagę - pan policjant - ale moment później puszcza mnie i wstaje, rechocząc głośno niczym oprych, który cieszy się z dokopania ofierze. Odwraca się do mnie plecami, ponieważ uważa, że rozmowa dobiegła końca, ale tak nie jest, podnoszę się, staję na czworaka, po czym rzucam mu się na plecy jak zapaśnik i powalam go, pada jak ścięte drzewo, a ja go dosiadam i walę na odlew w twarz.

- Au! - krzyczy. - Kurwa!

- Skąd wiedziałeś? - pytam, ciągnąc go za przód brudnej koszulki. Dłoń boli mnie od uderzenia, obie ręce pieką pod opatrunkami, gdy próbuję je zwiąć w pięści.

- Skąd co wiedziałem? - pyta, zlizując kropelkę krwi z rozciętych, ale też rozciągniętych w uśmiechu ust.

Wie, o co mi chodzi.

- Skąd wiedziałeś, że zamknąłem drzwi celi? - Rzy dalej, więc pochyłam się mocniej. - Skąd?

Szczerzy się jeszcze bardziej, pokazując wszystkie krzywe zęby, które jednak szybko znikają. Przybiera poważną minę, jakby chciał coś wyznać. Pozostaję na jego piersi, przyszpilając go do ziemi.

- Poczułem się samotny - mówi. - Taki samotny. A czas uciekał, wiesz? - zniża głos do ledwie uchwytnego szeptu. Jego oczy stają się zamarznętymi bajorami. - Pomyślałem, że pójdę tam i zabawię się. Wiesz, z nią. - Oblizuje wargi. - Na moim miejscu postąpiłbyś tak samo.

- Nie.

- Tak, Henryczku. Samotny chłopczyku. Wejrzyj w swoje serce.

- Nie - powtarzam, odsuwam się od niego, ale podnosi się, by wyszeptać mi prosto w ucho:

- Hej, dupku, ona się obudziła.

Puszczam go natychmiast, zrywam się i biegnę do drzwi. O Boże, nie. Cortez się zarykuje, nie wstając z ziemi, a gdy dopadam do wejścia, krzyczy za mną: - Obudziła się tej nocy. Darła się strasznie, ale mnie nie wpuściła. - Wyczuwam w jego głosie rozbawienie, gdy szarpnięciem otwieram drzwi. - Jest wkurzona, mój drogi Henry. Cholernie wkurzona. - Rozkoszuje się moim zdenerwowaniem, wrzeszczy za mną: - Nie mogę uwierzyć, że mnie uderzyłeś!

* * *

Drżąca Lily stoi pod tylną ścianą celi, obejmuje się rękami, jakby próbowała powstrzymać dreszcze. Wyrwany przewód kroplówki dynda jej z przedramienia. Zdarła też opatrunek z krtani, więc jej rana lśni teraz szkarłatem jak jakiś groteskowy obcy naszyjnik.

- Kim jesteś? - pyta hardo.

- Mam na imię Henry - odpowiadam. - Jestem policjantem.

- Co mi zrobiłeś? - skowyczy. - Co mi zrobiłeś?

- Nic ci nie zrobiłem - zapewniam.

Gapi się na mnie ze strachem, ale zarazem wyzywająco, jak chore zwierzę, które mam uśpić. Wskazuje drżącym palcem na wiszącą za kratami kroplówkę.

- Co to jest?

- Sól fizjologiczna, nic więcej. Dziewięćdziesiąt procent chlorku sodu - wyjaśniam, a gdy dostrzegam w jej spojrzeniu jeszcze większe przerażenie, dodaję: - Woda. Lily, to tylko słona woda. Byłaś odwodniona. Tylko tak mogłem cię odratować.

- Lily?

- No tak... wiesz...

Dlaczego tak ją nazwałem? Skąd wytrzasnąłem to imię? Nie pamiętam.

To nie ma jednak teraz znaczenia. Gapi się na mnie. Zaskoczona, zdziwiona. Moje palce bieleją, tak mocno ściskam kraty.

- Zsikałam się - wyznaje nagle.

- To wspaniała wiadomość - zapewniam ją. - Naprawdę - zachowuję się, jakbym mówił do dziecka. - To znaczy, że twój stan się polepsza. - Próbuję uspokoić ją i siebie przy okazji. - To ja cię tutaj zamknąłem, rozumiesz? Byłaś nieprzytomna. Ale jesteś bezpieczna. Nic ci już nie grozi. Wszystko będzie dobrze.

To nieprawda - i ona doskonale o tym wie - nic nie będzie dobrze, to po prostu niemożliwe. Jest blada jak trup, jej ciałem wstrząsają gwałtowne dreszcze, na twarzy widzę mieszaninę strachu i zdziwienia.

- Co się stało?

- Nie jestem pewien - odpowiadam. - Właśnie próbuję to ustalić.

- Gdzie ja jestem? - Oblizuje spierzchnięte wargi, rozglądając się wokół.

Nie mam pojęcia, od czego zacząć. Jesteś na posterunku policji. Jesteś w rozlewisku rzeki Muskingum. Jesteś na Ziemi. Nie mam pojęcia, ile ona wie. Zastanawiam się, jak wyglądam. Szkoda, że się nie ogoliłem. Szkoda, że nie jestem niższy. Cuchnę brudem i spalenizną.

- Jesteś na powierzchni - mówię w końcu.

- A gdzie pozostali?

Czuję mrowienie w krzyżu. Pozostali. Kleszcz, Astronauta, czarnoskóra chudzina i chłopak w niebieskich adidasach.

- Nie wiem, gdzie się podziali.
- Kim jesteś?
- Nazywam się Henry Palace.
- Henry - szepcze, a potem dodaje: - Palace... - Nagle przypatruje mi się uważniej, jej oczy błędzą po mojej twarzy. - Henry, Henry... - powtarza, po czym spogląda mi prosto w oczy. - Masz siostrę?

* * *

Jest tak samo jak poprzednio. Ja gonię za psem, a Cortez za mną, wszyscy pędzimy w kierunku ciała dziewczyny leżącej na niewielkiej polanie, tyle że tym razem ścigam Lily, chociaż to nie jest jej prawdziwe imię, pędzę za nią, łamiąc gałęzie, deptając krzewy, moje stopy łomoczą o ziemię, ciernie spowalniają mnie, haczą o nogawki spodni jak mściwe duchy, które pragną mojej porażki. Jest tak samo jak poprzednio - pokonujemy tę samą trasę w dół zachodniego zbocza, oddalając się od posterunku, biegniemy wzdłuż koryta strumienia, lecz Lily po chwili odbija w lewo, a ja podążam za nią, nawet gdy przechodzi przez wiszący most.

Zabawa w berka. Gonitwa po lesie. Pada deszcz. Serce wali mi tak mocno, że zaraz wyrwie się z piersi.

Nie szkodzi, myślę sobie, to tylko z powodu długiego biegu. Przejdzie mi, zanim dotrzemy tam, dokąd zmierzamy. Puls ryczy w uszach z siłą przyboju oceanu. Przesłonięte deszczowymi chmurami słońce przypomina jasną kolistą plamę. Biegnijmy tak bez końca, niech tak się dzieje, ponieważ czuję, oj, jak ja czuję to, co się zbliża.

Lily zatrzymuje się raptownie na skraju niskich zarośli, tam zamiera na moment, po chwili spogląda w lewo, potem w dół, wzdryga się zauważalnie, gdy coś dostrzega. Wiem już, co to jest. Czuję taki ból w klatce piersiowej, jakby ktoś obwiązał ją pasem i ścisnął. Płuca palą żywym ogniem po biegu. Ale już wiem.

Poruszam się jak w zwolnionym tempie. Mijam znieruchomiłą Lily, wychodzę z zarośli na niewielką łączkę, polankę pośród drzew.

Na jej środku spoczywa ciało. Potykam się o korzeń, potem o własną stopę. Przewracam się, wstaję i wciąż zdyszany podpełzam na czworaka do zwłok.

To ona. Wiem, że to ona. Spoczywa twarzą do ziemi, ale wiem, że to ona.

Łkająca Lily stoi za moimi plecami na skraju polany. Obracam ciało i widzę, że to ona. Nawet na moment nie tracę pewności, nie nachodzi mnie zwątpienie: to jest twarz Nico. Dżinsy, koszulka z długim rękawem, brązowe sandały, takie same jak te, które nosi Lily. Ona także walczyła, zanim została zabita: zauważam opuchliznę pod okiem, otarcia na policzkach i czole, strużkę zaschniętej krwi pod nosem. Obrażenia jak po zwykłej bójce, w sumie nic poważnego, poza tym jednym znajdującym się nieco niżej, na jej gardle – to szerokie rozcięcie, paskudne, ohydne, różowo-czerwono-czarne, lecz ignoruję je, robiąc, co do mnie należy, zapominam o tej ranie i badam puls. To nedorzeczny gest, jest zimna, twarda jak odlana z wosku, ale i tak przytykam dwa rozprostowane palce do zagłębienia pod jej dolną szczęką, tuż nad krawędzią brutalnego cięcia. Trzymam je tam przez całą minutę, nie odrywając wzroku od wskazówek casio, ale nie wyczuwam pulsu, ponieważ ona nie żyje.

Jej twarz opada bezwładnie na bok, oczy są zamknięte, jakby spała. Wygląda spokojnie, tak powiedzieliby ludzie, gdyby ją zobaczyli, zawsze mówią coś takiego, to jednak nie byłaby prawda – myśli wirują mi w głowie, żal zaciska krtań – nie jest spokojna, ona nie żyje. Była spokojna, gdy śmiała się z dobrego żartu, była spokojna, gdy zaciągała się papierosem, gdy słuchała Sonic Youth. Uwielbiała puszczane w szkolnej rozgłośni kawałki z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych: Hüsker Dü, Pixies. Tę zabawną piosenkę „Replacements” o stewardesach.

Ma brud na policzku. Ścieram go opuszką kciuka. Kilka włosów przylgnęło do czoła, wyglądają na skórze jak cieniutkie rysy. Nico

zawsze była piękna, ale udawała, że tak nie jest. Taka piękna i taka tym wkurzona.

Spoglądam w górę, na przesłonięte chmurami słońce i za nie, wyobrażając sobie, że widzę 2011GV1 w jej obecnym położeniu. Jest już blisko, kilka milionów mil od Ziemi, najbliższe ciało niebieskie prócz Księżyca. Mówiono, że przez ostatnie kilka nocy będzie można zobaczyć ją gołym okiem, nową gwiazdę, złotą przypinkę na atramentowym firmamencie. Powiadano, że tuż przed zderzeniem niebo potwornie pojaśnieje, jakby eksplodowało samo Słońce, a potem poczujemy to nawet na najdalszych krańcach Ziemi, ponieważ planeta zadrży w posadach. Mówiono, że do atmosfery trafi tyle śmieci, że w ciągu paru godzin wypełnią ją całkowicie.

Wstaję, cofam się chwiejnie o kilka kroków, potem chwytam obiema rękami za czoło i wolno przesuwam palce w dół twarzy. Muskam oczodoły, pocieram policzki, przeczesuję te idiotyczne policyjne wąsy, dociskam wargę, drapię zarost pokrywający brodę. Dwa ptaszki śpiewają do siebie na pobliskim drzewie. Lily, dziewczyna, której imienia nie znam, nadal stoi na skraju polany, łkając i zawodząc upiornie.

Rusz się, detektywie, ponagla mnie Culverson spokojnym, lecz zdecydowanym tonem. Bierz się do roboty.

Odwracam się więc, zbliżam do ofiary, zmuszam się do ponownego przyjrzenia jej ciału jak każdemu innemu. To takie samo miejsce zbrodni jak każde inne.

Poderżnięto jej gardło, identycznie jak w przypadku Lily. Jej twarz jest posiniaczona i brudna, identycznie jak w przypadku Lily. I te włosy: brakuje kosmyka z tyłu głowy, tuż nad karkiem. Nigdy nie miała zbyt udanych fryzur, a już zwłaszcza ostatnimi laty – obcinała się na punka, jeża albo strzępiście – trudno więc powiedzieć, czy to jest kolejne obrażenie. Sądzę jednak, że te kosmyki zostały odcięte. Potrząsam głową, przeczesuję palcami własne krótkie włosy. Sumuję w myślach wszystkie odkrycia, po czym słyszę głos doktor Alice Fenton, głównej patolożki stanu New Hampshire, kolejnej dawnej znajomej: „Mamy tu kobietę

rasy białej, dwudziestojednoletnią. Ślady stoczonych walki na palcach, dłoniach i przedramionach. Przyczyna śmierci: silny krwotok po poderżnięciu gardła nożem bądź innym ostrym narzędziem użytym przez zdeterminowanego napastnika”.

Przygryzam wargę. Spoglądam na jej twarz, na zamknięte oczy. Co jeszcze?

Polanka jest mniejsza od tej, na której znalazłem pierwszą ofiarę, tę, która przeżyła. Tamta była niemal idealnie okrągła, otoczona piniami. To miejsce jest bardziej nieregularne, wokół widzę nie drzewa, tylko krzewy, paskudne, gęste, kolczaste.

Ślady wyglądają podobnie, ziemia też jest błotnista, przesiąknięta deszczówką. Darmo szukać na niej odcisków stóp.

Wstaję. W głowie mam mętlik. Obchodzę polankę. Co jeszcze?

Wyluzuj, Palace, radzi detektyw Culverson. Wyluzuj, popiera go funkcjonariuszka McConnell, a ja każę im się zamknąć, proszę, by byli cicho choć przez minutę, ponieważ nie mogę teraz wyluzować, nie mogę i nie chcę, nie mam na to czasu.

Roztrzęsiona Lily wciąż stoi na skraju polany, łkając i zawodząc.

- Hej! - wołam do niej, potem podchodzę szybkim krokiem. - Hej. Wszystko w porządku?

Potrząsa głową, przeciera oczy rękawem koszuli.

- Nie - szepcze, ledwie poruszając ustami, podchodzę więc jeszcze bliżej, by ją lepiej słyszeć. - Nie wiem, co się stało.

- Jak możesz nie wiedzieć?

- Pamiętam, że biegłam przez las.

- Skąd biegłaś?

- To wszystko, co pamiętam. Uciekałam.

- Przed kim?

Chce mówić, ale nie może, z otwartych ust nie wydobywa się żadne słowo, broda jej zwisa, zaczyna drżeć.

- Przed kim, Lily?

- Nie pamiętam. - Unosi rękę do ust. - Musiałam. Nie miałam wyboru. Musiałam. Po prostu... biegłam. - Słowa wydobywają się zza bariery dłoni jedno po drugim, jakby każda sylaba była odrębnym bytem. - Biegłam... biegłam... biegłam...

Ponawiam pytanie: przed kim, przed czym, dlaczego musiała uciekać, ale nie jest w stanie dodać nic więcej, zamiera, zatrzymuje się jak nienakrecony zegar. Ręce jej opadają, odsłaniając zamarłe w pół ruchu usta, twarz ma bez wyrazu, gapi się gdzieś w przestrzeń. Zaglądam jej pod półprzymknięte powieki, jakbym miał nadzieję, że jeśli skupię się wystarczająco mocno, to wejrzę poprzez nie w mroczny teatr umysłu Lily i zobaczę przez jego pryzmat to, co przydarzyło się mojej siostrze.

Ona nie ma na imię Lily. Nadal nie znam jej imienia. Muszę się tego dowiedzieć.

Muszę się dowiedzieć także wszystkiego innego.

Napastnik zastał w kuchni dwie dziewczyny.

Dopadł je i poderznął gardło pierwszej. Zakładając, że ofiara nie żyje, pobiegł do lasu za drugą. W tym momencie nie mogę się powstrzymać od wspomnienia Billy'ego stojącego w kuchni kampera w zakrwawionym fartuchu, z bezgłowym kurczakiem w ręce.

Tymczasem ofiara numer jeden okazuje się mocno ranna, lecz żyje. Wychodzi z kuchni, pokonuje hol, zostawiając za sobą krwawy trop.

Zabójca w drugim przypadku ma więcej szczęścia. Dopada ofiarę tu, na tej polance, podrzyna jej gardło, ale szerzej i głębiej, więc ta umiera naprawdę. Tymczasem ofiara numer jeden brnie przez zarośla, dopóki nie padnie na innej polanie tego krwawego lasu.

Zabójca wraca zdyszany, nóż ocieka wciąż krwią, przebywa hol, dociera do kuchni, a potem... znika.

Piwnica. Muszę dostać się do piwnicy.

Odwracam się, by wrócić do Corteza, do pracy, zamieram jednak w miejscu.

Wejścia i wyjścia, mamrocze Culverson. Człowieku, dokończ oględziny miejsca zbrodni.

Ma rację, choć w tym momencie dociera do mnie, że to nie on, tylko ja mam rację. To ja przypominam sobie, że tylko złotodziób opuszcza miejsce zbrodni bez zbadania wszystkich wejść i wyjść. Słyszę jego głos, ale to tak jak mój głos - mój głos, ilekroć słyszę

w głowie kogoś, czy to detektywa Culversona, mamę albo tatę, czy to doktor Fenton, czy Trish McConnell.

W pewnym momencie musisz zdać sobie sprawę, że jesteś tu sam.

Obchodzę skraj polany bardzo wolno, ociekając deszczem. Szukam złamanych gałązek, miejsc, przez które przedzierała się ofiara albo zabójca, sprawdzam, czy nie był w to zamieszany ktoś jeszcze, ale jedyne, co znajduję w gęstwinie, to porzucony plecak z logo Batmana.

Przyglądam mu się z zaciekawieniem przez kilka długich sekund, potem strącam butem grudę błota i podnoszę go. Wydaje mi się taki znajomy, przez moment czuję nawet ukojenie, gdy zawisa na moim ręku. To mój plecak z czasów dzieciństwa. Z czwartej, może z piątej klasy. Nico pożyczyła go kiedyś i już nigdy nie oddała. Nosiła go ze sobą wszędzie, ale ku mojemu niepomiernemu żalowi i zdziwieniu ten przedmiot zupełnie tutaj nie pasuje, chyba że został zapakowany do maszyny czasu, gdy miałem dziewięć lat, i wyrzucony w tym lesie teraz, gdy znajduję zwłoki mojej siostry.

Przysuwam go pospiesznie pod nos, jakby wciąż mógł pachnieć gumkami, kanapkami i całą resztą znajomych woni.

Nie pachnie. Czuję wyłącznie błoto i las. Jest wypełniony, nierównomiernie wypchany, choć zarazem lekki. Rozpinam go i wysypuję na trawę cały stos paczek czipsów Lay's, Cheetos i wafelków Kit Kat.

- Wiedziałem - mówię do Nico. Zerkam na ciało, jej ciało, kręcąc głową. - Wiedziałem, że to twoja robota.

Zwinęła całą zawartość automatu z przekąskami, zabrała nawet to, czego nikt nie chciał kupować, wafelki Necco, miętówki i cieniutkie paczki gumy Wrigleys. Wyobrażam sobie, jak raz po raz wsuwa chudą rączkę do wnętrza maszyny, pomagając sobie wieszakiem, by mieć pewność, że sięgnie do najdalszych podajników. Stara sztuczka. „Nie ma za co, tłuściochy!”

Pod stosem słodczy znajduję resztę rzeczy Nico. Szorty i koszulki. Parę pistoletów, pudełko naboji zabezpieczone

kawałkiem taśmy klejącej. Krótkofalówki – nie jedną, ale dwie. Majtki i biustonosze. „Folwark zwierzęcy”. Mocno zwinięty sztormiak opięty gumową taśmą. Czerwoną plastikową latarkę, którą włączam i zaraz gaszę. Dno starego plecaka Batmana zostało oblepione kilkoma warstwami taśmy izolacyjnej, która ma zapobiec wysypaniu się tych wszystkich skarbów.

Ocieram łzy wierzchem dłoni.

Zamierzała odejść.

Reszta jej bandy porzuciła w końcu tę szaloną ideę, na tydzień przed zderzeniem tamci zrozumieli wreszcie, że ów zbuntowany naukowiec albo nie żyje, albo nadal siedzi w pierdlu, więc z ratowania świata nici. Godot się nie pojawił.

Nico to jednak inna sprawa. Moja pokręcona siostra nie umiała zaakceptować oczywistych prawd.

Jest, jak jest, stwierdził Astronauta, a ona na to: Nieprawda!

Gdy wszyscy byli gotowi do zrealizowania planu B i zejścia pod ziemię, by czekać na nieuniknione, moja buntownicza młodsza siostra z żarciem zapakowanym do plecaka wymknęła się, by dotrzeć do oddalonej o setki mil placówki wojskowej, namierzyć niesławnego Hansa-Michaela Parry’ego jak jakiegoś Sasquatcha, przyszpilić go i sprowadzić tutaj.

Zamierzała ocalić świat w pojedynkę, to właśnie usiłowała zrobić.

Śmieję się, cichutko i tylko przez moment – jej plan nie wypalił, ponieważ ktoś nie chciał jej na to pozwolić. Ktoś poszedł za nią, za nią i za Lily, poderznął im gardła, a potem je zostawił, aby się wykrwawiły.

Gdy zarzucam plecak Batmana na ramię, znajduję ostatni dowód. Wystaje z błota tuż obok ciała. Kawałek czarnego plastiku zakrzywiony na jednym końcu i ostry na drugim, jakby został ułamany.

To zauszniak okularów przeciwsłonecznych. Wyciągam go z błota, ważę przez chwilę w dłoni, a potem pakuję ostrożnie do kieszeni. Deszcz ścieka mi po twarzy.

Nie wiem jeszcze nic, muszę dowiedzieć się niemal wszystkiego o okolicznościach śmierci Nico, ale ten kawałek plastiku nie ma przede mną żadnych tajemnic.

* * *

„Akceptacja straty nie jest celem, tylko podróżą”.

Tak wyjaśnił mi to przydzielony opiekun, psycholog tłumaczący, jak poradzić sobie z niespodziewaną stratą kogoś bliskiego. „To nie jest konkretny moment, który możemy dokładnie umiejscowić, tylko żmudny proces, który trwa czasami całe życie”.

W dzieciństwie przedefilowały przede mną całe parady podobnych opiekunów i doradców reprezentujących najrozmaitsze dziedziny nauk medycznych: eksperci od utraty bliskich, terapeuci, psychologowie dziecięcy...

Dziadek prowadził mnie do nich, zawsze okazując niecierpliwość, gdy zasiadaliśmy w poczekalni. Rozwiązywał krzyżówki, trzymając za uchem przygotowanego do zapalenia american spirita. Jego sceptycyzm stanowił istotną przeszkodę w procesie mojego powrotu do normalności.

„Trzeba czasu, by zaleczyć rany - powtarzali wszyscy eksperci. Moi rodzice nie żyli: zginęli oboje. Razem z nimi odeszła także część mnie. - Dojdiesz do siebie. Z czasem”.

Teraz nie będę miał czasu, co jest chyba oczywiste. Nie dojdę do siebie. Nie ma szans.

Biorę Nico na rękę, przytulam ją, by przenieść przez las na posterunek.

- Już dobrze - odzywam się najłagodniej jak umiem do Lily czy jak tam ma na imię. - Chodźmy.

Środa, 22 sierpnia

Rektascensja 18 26 55,9

Deklinacja -70 52 35

Elongacja 112,7

Delta 0,618 j.a.

- Zatem to taka melina.

- Tak. Nie. To znaczy melina kojarzy się z miejscem, gdzie znajdują schronienie przestępcy albo narkomani - wyjaśniam. - A tam są sami policjanci.

Abigail pozostaje sceptyczna. Trawi tę informację jeszcze przez minutę, strzelając oczami znad maski antyalergicznego. Nadal nie wygląda na do końca przekonaną, ale widzę, że nie upiera się już przy pomyśle, bym wpakował jej kulkę w łeb. To chyba przesądza sprawę.

- A jeśli oni mnie znienawidzą?

- Nikt cię nie znienawidzi.

Tego akurat nie jestem pewien, nawet gdy to mówię. Część naszych na pewno jej nie polubi. Funkcjonariuszka Castairs znienawidzi ją, ponieważ nie jest policjantką. Funkcjonariusz Melvyn będzie negatywnie nastawiony, ponieważ ją przysłał ja, człowiek, który sprzeczał się z nim o zostawianie zapalonych latarni na ganku. Powinna natomiast spodobać się funkcjonariuszowi Katzowi choćby dlatego, że jest młoda i ładna. Większość nie będzie miała do niej nic, ale też jej nie polubi, ponieważ będzie dla nich obca i co tu ukrywać, wyda im się lekko stuknięta - ale czy my wszyscy nie jesteśmy teraz mniej lub bardziej zbzikowani?

- Dasz sobie radę - zapewniam ją. - Znajdzie się tam dla ciebie miejsce, ponieważ ja odchodzę. Sowa zajmie się resztą.

- Sowa?

- Wspaniała kobieta. Sama zobaczysz.

W końcu Abigail wstaje od stołu i zaczyna wrzucać do wielkiego worka na śmieci wszystko to, co zamierza ze sobą zabrać: ubrania, broń, książki, szczotki do włosów, śpiwór. Zdejmuje z siebie większość noszonego oręza, pozostawiając tylko pistolet w cholewie. Cała reszta sprzętu trafia do walizki na kółkach.

Gdy się pakuje, ja przerzucam czterdziesto- czy nawet pięćdziesięciostronicowy dokument, który podała mi wcześniej razem z mapą okolic miasta Rotary w Ohio. Wyjęła go z podwójnego dna walizki, jest ozdobiony czerwoną pieczęcią „Ścisłe tajne”, zupełnie jak na filmach. Wodzę wzrokiem po gęsto

zapisanych akapitach, pomijając niezrozumiałe szczegóły i pełne greckich liter wzory, optymalna odległość orbitalna, relacja prędkości zderzenia (km/s) do ilości uwolnionej energii kinetycznej (GJ), relacja ilości energii (kt) do masy i zwartości początkowej.

Przedostatnia strona: KONKLUZJE. Ostatnia: PROTOKÓŁ. Nic z tego nie rozumiem.

Na tylnej stronie ściśle tajnego dokumentu wypisuję harmonogram, który wydusiłem wcześniej od Abigail. W połowie lipca Jordan powiedział jej, że Hans-Michael Parry, zwany też Rozwiązaniem, siedzi w Gary w stanie Indiana. Twierdził także, że różne grupy zbiorą się w Ohio na posterunku policji w mieście Rotary. Potem jednak – jakiś czas po dwudziestym pierwszym lipca, gdy Jordan zapakował Nico i inną dziewczynę do helikoptera i razem odlecieli z Butler Field na uniwerku – przekazał Abigail nowe instrukcje. Mieli zostać w Concord jako „zespół rezerwowy”.

Trzynastego sierpnia zniknął jednak bez słowa. Nie zostawił żadnego liściku ani nowych instrukcji. Po prostu wyszedł i nie wrócił. Abigail nie miała pojęcia, czy udał się do Rotary czy też otrzymał jakieś inne zadanie.

Tak czy inaczej zniknął, a ona siedziała od tamtej pory sama, gapiąc się beczynnym w przestrzeń, wyczuwając wewnętrznym uchem wirowanie Ziemi i krztusząc się kosmicznym pyłem.

Teraz wydawała się przytomniejsza, spokojniejsza, jakby sam fakt znalezienia celu, do którego może dotrzeć, ustabilizował jej rozchwiane życie. Podeszła do drzwi sklepu, nie oglądając się ani razu za siebie.

Gdy szedłem za nią, dostrzegłem na najwyższej półce toaletki rozłożone ray-bany. Widziałem jej już wcześniej, to te same paskudne okulary przeciwsłoneczne, które Jordan miał na nosie podczas naszego pierwszego spotkania w kampusie.

Podniosłem je, obróciłem w zamyśleniu między palcami.

- Jordan zapomniał okularów - rzuciłem.

- Zapomniał? - parsknęła. - Jaja sobie robisz? On ma z milion tych pieprzonych bryli.

CZĘŚĆ PIĄTA

Izyda

Poniedziałek, 1 października

Rektascensja 16 49 50,3

Deklinacja -75 08 48

Elongacja 81,1

Delta 0,142 j.a.

1.

- Zaparzyłem kawę. Chcesz się napić?

- Nie.

- Jesteś pewna? To pośledni gatunek ziarna, ale zawsze kawa. Lepsze to niż nic.

- Nie, dziękuję. - Dziewczyna podnosi głowę, zerka na mnie, jest jak wylękniony ptak. Zaraz znów spuszcza wzrok. - Nie masz herbaty?

- Przykro mi, nie mam - odpowiadam. - Została nam tylko kawa.

Lily nie mówi nic więcej. Siedzi na skraju cienkiego materaca w swojej celi, gapiąc się na własne dłonie, które złożyła na kolanach. Uprzejmość i cierpliwość, jakie jej okazuję, są pozorne, podobnie jak opanowanie. To tylko strategia, sposób na osiągnięcie celu. Tak naprawdę czuję się, jakby wewnątrz mnie doszło do eksplozji - jakby to wszystko, co definiowało mnie od lat, wszystkie nawyki, wspomnienia i dziwactwa, wszystko, czym obrosło moje wewnętrzne ja, okazało się fasadą, tynkiem, który odpadł przy pierwszym silniejszym wstrząsie. Właśnie patrzę, jak rozbity w pył szybuje wokół mnie i opada z wolna na ziemię. Pozostaje więc tylko kwestia, czy ten wstrząs oszczędził coś czy też jestem tylko wydmuszką, wydrażoną głową smoka noszoną podczas chińskich parad, z wierzchu zdobną, w środku pustą. Sądzę, że coś jednak pozostało, coś na kształt rozgrzanego kamyka, jednego z tych, jakie można znaleźć po pożarze. Nie jestem jednak pewien. Nie wiem tego.

Opieram się o ścianę aresztu, oczywiście po stronie tych dobrych, z przesadnym spokojem pociągając kawę prosto z termosu. Od strony garażu co chwila dobiega kolejna seria łomotów. To Cortez dobiera się do płyty, wykorzystując napędzany agregatem diesla młot pneumatyczny. Ciało mojej siostry spoczywa w sali odpraw zawinięte w niebieską plandekę.

- Może zaczniemy od sprostowania sprawy twojego imienia - rzucam. - Wiem, że nie jesteś Lily. - Próbuję się zaśmiać, ale nie bardzo mi to wychodzi, więc milknę.

Dziewczyna wciąż wpatruje się we własne dłonie. Młot pneumatyczny znów się odzywa, warcząc w głębi korytarza. Jak na razie przesłuchanie nie za bardzo mi wychodzi.

- Chciałbym dać ci spokój - dodaję. - Mówię poważnie. - Wypowiadam słowa powoli, jakbym zmuszał się do prowadzenia tej rozmowy. - Ty też wiele przeszłaś.

- Przeszłam? - Spogląda na mnie, pyta szczerze, po czym przesuwa palcami po opatrunku na gardle, który pozwoliła sobie ponownie założyć. - Chyba tak...

Wspomnienia pojawiają się w stroboskopowym świetle: dwie dziewczyny oszalałe ze strachu. Brązowe sandały ślizgające się po liściach. Odgłosy ciężkich kroków dobiegające zza pleców. Nico leżąca twarzą do ziemi, krew wypływająca z rany na jej szyi. Otrząsam się, odchrząkuję, by oczyścić krtań. Mówię wolno, cedząc słowa:

- Twój umysł musi poradzić sobie teraz z traumą. To nie będzie łatwe, ponieważ potrzebujesz na to czasu. Krótko mówiąc, rozmowa może ci tylko pomóc.

Potakuje po raz kolejny, jej mała głowa opada i podnosi się jednostajnym rytmem, złożone na kolanach dłonie drżą.

- Wiesz... - zaczyna ostrożnie. - Możemy... Wspomniałeś o czasie... - Patrzy na mnie, potem znów spuszcza wzrok. - Ile nam zostało?

- No tak - mówię. - Jasne. - Nie ma pojęcia, jak długo była nieprzytomna. Nie może tego wiedzieć. - Jest poniedziałek rano. Pierwszy października - informuję ją. - Zostały nam dwa dni.

- Rozumiem - potakuje. - Okej. - Oblizuje nerwowo spierzchnięte wargi, przesuwa za małe ucho kosmyk niesfornych czarnych włosów, ten gest zdradza, kim tak naprawdę jest: nastolatką, nie wiem, czy skończyła już dwadzieścia lat, to dziecko zagubione w strasznym dziwnym świecie.

- Wiesz, ja naprawdę... - Uśmiecham się po raz kolejny, próbując nadać swojej twarzy bardziej ludzki wygląd. - Naprawdę chcę dojsć do tego, co tu się wydarzyło.

- Ale ja tego nie wiem - zapewnia mnie. - Nie pamiętam. Niczego nie pamiętam. - Patrzy na mnie przerażona, znów dotyka grubej gazy na szyi. - Jest tylko czern.

- Nie wszystko jest jednak czernią, prawda? - Potrząsa głową w ledwie zauważalnym geście. - Nie całe twoje życie.

- Nie... - mamrocze, znów podnosząc głowę. - Nie całe moje życie.

- Zaczniemy więc od tego co pamiętasz, okej?

- Okej - szepcze.

To nie jest okej. Naprawdę nie jest. W gruncie rzeczy chciałbym ją chwycić za ramiona i potrząsać nią tak długo, aż posypią się z niej wszystkie fakty jak monety z dziurawej kieszeni. Tak jednak wygląda ten proces. Zawsze trzeba działać powoli. W tym momencie nie sposób określić, jaka część tej czerni jest skutkiem prawdziwej amnezji, a ile rzeczy dziewczyna zwyczajnie wypiera z atawistycznego strachu przed ponownym przeżyciem tych okropnych chwil. Dlatego najrozsądniejszą taktyką wydaje mi się wykazywanie cierpliwości, powolne błędzenie we mgle, zmierzanie ku prawdzie. Trzeba zbudować więź, zaufanie. Poruszać się w obrębie tego, co oboje wiemy. Tylko o tym możemy rozmawiać. Ale to może potrwać wiele godzin, a może nawet dni.

Przechodzę na jej stronę krat, stawiam ostrożnie termos na betonowej posadzce i przyklękam, jakbym miał zamiar się oświadczyć.

- W kieszeni miałaś tę bransoletkę z wisiorkami - mówię. - Z liliami. Dlatego nazwaliśmy cię Lily.

Wyjmuje mi ją z ręki niepewnym ruchem, potem zaciska w dłoni.

- Rodzice mi ją dali.

- Aha.

- Gdy byłam dzieckiem.

- Rozumiem. To miły gest, ale... jak mam się do ciebie zwracać?

Mówi coś, lecz tak cicho, że nie jestem w stanie zrozumieć.

- Słucham?

- Arras.

- Arras?

Przytakuje. Pociąga nosem, ociera łzę z kącika oka, a ja dostrzegam jakiś blady płomyk rozjaśniający dzielącą nas ciemność. To pierwsza z żaróweczek w łańcuchu świątecznych lampek.

- Rozumiem, że to twój przydomek - mówię. - Pseudonim?

- Tak. - Podnosi głowę i obdarza mnie bladym uśmiechem. - Jedno i drugie. Wszyscy je mieliśmy.

- Aha.

Wszyscy je mieli. Arras, Kleszcz, Astronauta. Ciekawe, czy Jordan także otrzymał jakiś pseudonim. Albo Abigail? Podbite oko Arras zaczyna się już goić, śliwkowa barwa jaśnieje, bliżej jej do żółci. Dziewczyna ma dziewiętnaście, może dwadzieścia lat. Jest jak koliber. Nie wiem, dlaczego przypomina mi kolibra.

- Czy to Astronauta przypisał wam te ksywki? On był... - Zamierzam zapytać, czy był przywódcą ich grupy, ale zanim zdążę dotrzeć do tego momentu, dziewczyna robi gwałtowny wdech i powieki jej opadają jak kurtyny teatru. - Hej! - mówię, wstając, robię pół kroku w jej kierunku. - Halo?

Siedzi nieruchomo, milczy. Widzę, a raczej wyobrażam sobie, że widzę, jak jej oczy poruszają się pod powiekami, są jak tancerze za zasłoną. Powoli, detektywie, jeszcze wolniej. Buduj zaufanie. Podtrzymuj rozmowę. Tak jak napisano w podręczniku. W standardach wytycznych przesłuchiwania świadków przez agentów FBI, w „Dochodzeniu kryminalnym” Farleya i Leonarda. Widzę oczami wyobraźni te książki stojące równiutko obok siebie na regale w moim domu. W tym domu w Concord, który spłonął. Niespodziewanie z głębi korytarza dobiega niemal trzydziestosekundowy jazgot młota pneumatycznego: brrrrrrrr, brrrrr, brrrrr, po którym rozlega się inny, jeszcze głośniejszy huk i wrzask Corteza:

- Ja pierdołę! No nie w poprzek! Kurwa!

Zaskoczona dziewczyna podrywa głowę, potem wybucha śmiechem, więc podchwytyję okazję, także rechoczę, pochylam się, kręcę głową z rozbawieniem.

- Hej, tak przy okazji, mam na imię Henry - rzucam, odetchnąwszy. - Przedstawiłem ci się wcześniej?

- Owszem, tak. Jesteś Henry Palace. Ja mam na imię Jean - odpowiada. - Sądzę... - Spogląda na mnie, pociera przekrwione oczy. - Chciałabym prosić o trochę wody, jeśli to nie problem.

- Jasne, Jean - rzucam. - To żaden problem.

* * *

Młot pneumatyczny należy do Atlee'ego Millera. Jak się okazało, został ukryty na stoisku z owocami i warzywami, tym stojącym przy szosie biegnącej pomiędzy farmami. Stał tam obok całej gamy innego specjalistycznego sprzętu, którego ktoś taki jak on nie powinien posiadać. Miałyby się z pyszna, gdyby ktoś z jego rodziny odkrył tę kryjówkę. Sprzętu pilnował poważny młodzieniec imieniem Bishal, z którym wymieniłem kilka ostrych zdań, zanim zdążyłem powiedzieć hasło podane mi przez amisa i pokazać okładkę zeszytu z jego osobistym podpisem.

Młot pneumatyczny to trudny zawodnik, jak określił obrazowo sam Atleee, po czym dodał zaraz, że czasem trzeba go zachęcić do działania. Nie wspomniał jednak, że najlepszym sposobem na poradzenie sobie z nagłym wypadnięciem z rytmu będzie rzucanie wiachami, ale ufam, że Cortez wie, co robi. W tej chwili prowadzimy równoległe dwa wątki naszego dochodzenia, niedawną różnicę zdań mamy już za sobą. Obaj wiercimy - on w twardym betonie, a ja w rozpadającym się umyśle tej biednej dziewczyny.

Jean zaczyna mówić i nie milknie przez dłuższą chwilę, czasem są to długie wypowiedzi, ale częściej słyszę urywane zdania, zacina się co rusz i po chwili ciszy zaczyna od nowa. Milknie też w połowie zdania, jakby się bała, że wyjawi za dużo albo powie coś nie tak. Otrzymuję strzępki informacji. Zachowaniem i wyglądem nie przypomina w niczym Nico, jest nieśmiała

i skromna tam, gdzie moja siostra była ostra i bezpośrednia, chwilami jednak bardzo mi ją przypomina, ponieważ podobnie jak ona jest młodą dziewczyną, którą wciągnięto w to szaleństwo z próbą odwrócenia końca świata. I przez to podobieństwo aż muszę zamilknąć na moment i zebrać się w sobie, by nie paść jak kawka.

- Studiowałam na Michigan - informuje mnie Jean, ściskając w dłoniach papierowy kubek z gorącą wodą. - Znaczy na uniwerku. Stamtąd tu przyjechałam. Z Michigan. Moi rodzice pochodzą z Tajwanu. Nazywam się Wong. Gdy to wszystko... się zaczęło, chcieli, żebym wróciła do domu. Do tego w Michigan, nie na Tajwanie. Kazali mi rzucić naukę, wrócić i modlić się z nimi. Jesteśmy katolikami. Urodziłam się w Lansing.

Nie zapisuję tych informacji. Mój notes został wypełniony do końca, poza tym wolę nie robić notatek, ponieważ nie chcę, by zauważyła, że to coś więcej niż tylko zwykła wymiana zdań. Słucham tego wszystkiego, bo muszę, aby okazać empatię, choć tak naprawdę nie interesuje mnie, skąd pochodzi, jaką wiarę wyznaje i z kim jest spokrewniona. Jestem jak pytajnik czekający na pojawienie się odpowiedniej kwestii.

- Nie chciałam wracać do domu tylko po to, by się modlić. Chciałam... - Wzrusza ramionami, przygryza wargę. - Sama już nie wiem, czego chciałam.

W połowie stycznia uniwersytet zakończył oficjalnie działalność, zebrano wszystkich studentów na głównym dziedzińcu, odśpiewano buńczuczną pieśń i wzniesiono toast po łacinie. Jean Wong pozostała jednak na kampusie przez sporą część wiosny, robiąc, co się da, by przetrwać. Równie niechętnie patrzyła na próby wykorzystania jej przez dawnych kolegów z roku jak na opcję powrotu do domu i nieustannego ślęczenia z rodzicami w kościele. Nie brała więc udziału w grupowych seksperymentach, nie pojechała także z na poły tylko zorganizowaną karawaną nad Zatokę Meksykańską, na którą ludzie zabierali poszewki wypchane prochami i płatkami

ukradzionymi z uniwersyteckiej jadłodajni. Była głównie wkurzona i pogubiona.

- Sama nie wiem, czego chciałam.

- Chciałaś coś z tym wszystkim zrobić - podpowiadam usłużnie.

- Tak. - Spogląda na mnie, potem powtarza moje słowa kpiącym tonem: - Chciałam coś z tym wszystkim zrobić. Idiotyzm. To znaczy teraz to widzę, z perspektywy czasu.

Przez jakiś czas kręciła się po Ann Arbor. Zapisała się na krótko na misję w Arktyce, dała się uwieść pewnemu energicznemu młodemu przedsiębiorcy, który twierdził, że można odwrócić pole magnetyczne Ziemi dzięki odpowiedniej kombinacji potężnych magnesów. Gdy i ta inicjatywa legła w gruzach, dołączyła do grupki obcych ludzi, którzy stworzyli spółdzielnię zajmującą się produkcją konserwowanej żywności na czasy po zagładzie. Żadne z tych zajęć nie wydawało jej się jednak sensowne ani przydatne. W końcu trafiła na imprezę, która była jednocześnie politycznym wiecem w piwnicach pewnego domu w Pattengill. Ludzie wychlali tam całą wannę wina, nabierając je do plastikowych kubków i słuchając stojącego na stoliczku do kawy faceta, który wyjaśniał, że to wszystko ściema i wroga robota, ponieważ rząd mógłby powstrzymać katastrofę, gdyby tylko chciał.

Jean pstryknęła palcami jak facet stojący na stoliku, a ja ujrzałem oczami wyobraźni, jak robi to Nico opowiadająca tę samą historię. Doświadczyłem przykrego nawrotu melancholii, doznałem wrażenia, że jest tutaj z nami, że bierze udział w tej rozmowie, choć doskonale wiedziałem, że jej ciało spoczywa w innej części budynku zawinięte w najzwyklejszą plandekę.

Facet ze stolika na imprezie w Pattengill był młody, miał „szalenie zmierzwione włosy” i niesamowicie niebieskie adidas. Narzucił na siebie pelerynę pokrytą lśniącymi żółtymi gwiazdami. Mówiono na niego Zachwycony - tak właśnie go nazywano, wyjaśnia Jean, jednym słowem. Jak Madonnę albo Bono.

- Rozmawialiśmy z nim po zakończeniu imprezy, to znaczy ja i Alice, którą poznałam, robiąc inne rzeczy. To puszkowane żarcie. Skończyło się na tym, że... wprowadziłyśmy się do niego.

Ja, ona i kilka innych osób. – Przygryza wargę, a ja nie pytam, czy wśród tej grupki był także Astronauta, niezwykle spokojny człowiek z pasem pełnym narzędzi do zabijania, nie pytam, ponieważ nie chcę, by znowu zamknęła się za barierą zaciśniętych powiek.

Zamiast tego nakierowuję ją na opisywanie tego, czym się później zajmowali, dzięki czemu dowiaduję się o organizowaniu kolejnych imprez, o następnych przemówieniach, drukowaniu ulotek, by przekonać więcej ludzi, że rząd okłamuje ich w sprawie zagrożenia ze strony asteroidy. Tyle mi mówi, ale dociera do mnie, że część organizacji ze Środkowego Zachodu posuwała się także do działań, które nie były obce Nico i jej kumplom w kolejnej fazie rozpadu: do rozrób na ulicach, do gromadzenia broni palnej i prób wtargnięcia na tereny baz wojskowych, jak choćby ta, podczas której wpadł Derek, mąż mojej siostry, przyskrzyniony przez Gwardię Narodową w New Hampshire.

Niepokoi mnie jedynie geograficzny zasięg tej organizacji. Gdy Nico wspomniała mi o oddziale ze Środkowego Zachodu, uznałem, że to tylko czcze gadanie, zwykłe przechwałki, Jean potwierdza jednak, że została zwerbowana podczas imprezy w podziemiach budynku Uniwersytetu Michigan wiele miesięcy i mil od miejsca, w którym wciągnięto w tę działalność moją siostrę. To zupełnie inna skala przedsięwzięcia niż zabawa w rewolucję bandy lunatyków okupujących opuszczony butik w Concord.

Nie wiem, co począć z tą informacją. Nie wiem, gdzie ją umieścić.

- Wiesz co? – przerywam jej. – Pomińmy tę część historii.
- Dlaczego?
- Ponieważ po jakimś czasie pojawił się plan uwolnienia Hansa-Michaela Parry'ego, naukowca pracującego wcześniej dla Dowództwa Kosmicznego Stanów Zjednoczonych, który twierdził, że jest w posiadaniu planów pozwalających zmienić toru lotu asteroidy. Zgadza się?
- Tak – odpowiada zaskoczona, więc naciskam dalej:

- Wasza grupa bądź jakaś inna otrzymała zadanie odnalezienia i uwolnienia Parry'ego, by następnie go przerzucić do Anglii, skąd mógłby koordynować operację pchnięcia korygującego. Zgadza się?

Robi wielkie oczy, jest naprawdę zaskoczona, ale po chwili potakuje. Moment później wsuwa palec do ust i zaczyna nerwowo obgryzać paznokiec, jakby była małym dzieckiem.

- Udaje wam się go znaleźć. W Gary, to gdzieś w Indianie. Wtedy wszystkie grupy otrzymują polecenie dotarcia do Rotary, gdzie macie czekać na jego przybycie.

- To było naprawdę głupie. - Powtarza to już po raz drugi, ale teraz widzę w jej oczach błysk gniewu. - Siedzieliśmy tutaj. Czekaliśmy, czekaliśmy i czekali.

Przerywa w tym momencie, widzę, że jej ręka unosi się mechanicznie do szyi, do rany, palce przesuwają się wzdłuż krawędzi opatrunku. Jakby wyczuwała, że zbliżamy się do sedna tej rozmowy, do wypadków ze środy dwudziestego szóstego września - do błota, noży i krwawych wydarzeń w lesie za posterunkiem - a bliskość tej chwili przyciąga ją i odrzuca jak czarna dziura.

Zmuszam się ponownie do zwolnienia tempa, muszę to zrobić, by osiągnąć cel. Wypytyuję ją więc o ludzi, z którymi podówczas była, a ona odpowiada, podając mi coraz głępsze pseudonimy. Jest już nie tylko Zachwycony, ale także Alice przeistoczona w Żeglarke, jakiś przezabawny chłopak zwany Zimorodkiem. Dziewczyna, na którą mówią Niespodzianka, i facet zwany Ludzikiem, który „prawdę powiedziawszy, był wielki”, więc uznano to za dobry żart. Ha, ha. Wszyscy zjechali się tutaj okrężną drogą z Michigan, ich van zbaczał z trasy, by zebrać ludzi z Kalamazoo, potem zrobił kolejny objazd po skrzynie z jakiegoś magazynu w Wauseon leżącego na zachód od Toledo.

Pochyliłam się ku niej.

- Co było w tych skrzyniach?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Nie zaglądałam do nich. Zabronił nam tego.

- Kto?

Nie odpowiada. Naprawdę nie chce wyjawic jego nazwiska. Stara się nawet o nim nie myśleć. Zauważam to po jej minie, przez jej twarz znów przemyka cień przerażenia. Strachu przed ich liderem.

- Nieważne - rzucam. - Kontynuuj - proszę, a ona to robi.

Pod koniec lipca połączyli się z jakąś inną grupą, w której była Nico. Ludzie pojawiali się i znikali. Twarz jej jaśnieje, gdy opisuje atmosferę panującą w namiotach rozbitych na trawniku przed posterunkiem podczas tych kilku miesięcy oczekiwania na tajemniczego nieuchwytnego naukowca. Jej ciało także się rozluźnia, jakby wspominała jakąś domową imprezę, jakby to był konwent miłośników teorii spiskowych dotyczących Mai, ludzie bawili się, odpoczywali, palili, robili hot-dogi, flirtowali.

Jej zdaniem był tu facet, który „totalnie zakochał się” w Nico.

- Aha - mrużę, nagle żałując, że nie mam notesu, zeszytu, czegokolwiek, w czym mógłbym zapisywać te informacje. - Jaki facet?

- Kleszcz - odpowiada.

- Kleszcz. - Dziwny wygląd, nerwowe zachowanie. - Odwzajemniała to uczucie?

- Raczej nie. - Jean się krzywi, jej śmiech brzmi nieco smutno. - Nie interesował jej. Szczerze mówiąc, wyglądał jak... koń. Poza tym kręcił też z inną dziewczyną, z Valentine. Ale bez przerwy rzucał te żartobliwe komentarze do Nico.

- Z Valentine?

- Taki miała pseudonim. Chyba. Była naprawdę ładna. Czarnoskóra, wysoka.

Atlee widział ją. Wiem już o niej, więc dopasowuję imię do wyglądu. Dziwnie się czuję, mając wrażenie, że znam tych ludzi i ich świat, w którym zamieszkała moja siostra tuż przed śmiercią.

- Jakiego rodzaju komentarze rzucał Kleszcz?

- O Boże. Wiesz, takie w stylu: zostaniemy Adamem i Ewą, jak coś pójdzie nie tak i będziemy musieli zejść pod ziemię. Rozumiesz, on i Nico zostaną nowymi Adamem i Ewą. Ohyda.

- Ohyda - powtarzam. Zaciskam powieki, by zapamiętać te informacje bez zapisywania. - Czeka, mam jedno pytanie. Czy Nico też miała jakiś pseudonim?

- Och!... - Jean wybucha śmiechem. - Nie używała go zbyt często. Uważała, że ta cała konspiracja to głupota. Ale pseudonim miała Izyda.

- Izyda? - Robię wielkie oczy. - Jak ta z piosenki Boba Dylana?

- Skąd mam wiedzieć? To naprawdę imię z piosenki?

- Tak - odpowiadam. - Jestem pewien.

Pozwalam sobie na chwilę radości z powodu ustalenia tego faktu, ale ruszam dalej, by dotrzeć do sedna. Zaraz zrobi się mniej przyjemnie, lecz tak być musi. Czas ucieka. Ta rozmowa może zmierzać tylko w jednym kierunku.

- Posłuchaj, Jean - zaczynam. - Zatem ten Hans-Michael Parry się nie pojawił, więc podjęliście decyzję. - Spoglądam jej prosto w oczy. - Astronauta podjął decyzję.

- Jestem zmęczona - odpowiada. Odstawia kubek tak szybko, że go przewraca i rozlewa wodę. - Powinniśmy na tym skończyć.

- Nie - rzucam ostro, aż się wzdryga. - Teraz ty mnie posłuchasz. Parry się nie pojawił, a gdy dotarło do was, że nic z tego nie będzie, Astronauta podjął decyzję, że schodzicie pod ziemię. Że przenosicie wszystko pod ziemię. Jean?

Otwiera usta jak do odpowiedzi, lecz akurat w głębi korytarza ponownie odzywa się młot pneumatyczny. Twarz znów jej szarzeje ze strachu, Jean zamyka usta w tej samej chwili, gdy urządzenie milknie.

- Jean? Czy taki był plan?

- Jego plan - odpowiada, potem się wzdryga, mocno, ale wolno, jakby odgrywała tę scenę, najpierw drga jej twarz, potem kark, plecy, a dopiero na końcu reszta tułowia. Fala odrazy przetacza się przez jej ciało. - Jego plan.

- Lily?

- To nie jest moje imię - poprawia mnie.

- O Boże, Jean, tak mi przykro.

- Nie chciałam, by odchodziła. Mówiłam jej, by tego nie robiła.

- Kto?

- Nico. Schodziliśmy na dół, znosiliśmy wszystko, a ona w kółko powtarzała: „Odchodzę”.

- Żeby znaleźć Parry’ego na własną rękę?

- Tak - przyznaje.

- Kiedy to się stało?

Spogląda na mnie zdezorientowana.

- Kiedy co się stało?

Wiem, że to musiało mieć miejsce po tym, jak Nico pokłóciła się z Astronautą, ale zanim Atlee zamknął wejście, co miało miejsce o wpół do szóstej.

- Mniej więcej około piątej?

- Nie wiem.

- Załóżmy, że była piąta. Powiedziała ci, że odchodzi, a co ty zrobiłaś?

- Odparłam, że to szaleństwo. - Potrząsa głową, a ja przez ułamek sekundy widzę w jej oczach tę samą irytację, którą przeżywałem sam, gdy próbowałem powiedzieć Nico coś, czego nie chciała słyszeć. - Że to nie ma już sensu. Dlaczego chcesz odejść, zapytałam, skoro to nic nie da, a zostaniesz sama, kiedy my wszyscy będziemy nadal razem? Chociaż to nam zostało. Zostanie razem.

- Ale ona i tak odeszła?

- Tak. Znieśliśmy wszystko na dół. Pomyślałam nawet, że ona tylko tak gada, ale wtedy zniknęła nam z oczu. Odeszła.

- A ty poszłaś za nią?

- Ja... - Milknie, marszczy brwi, w jej oczach widzę zakłopotanie.

- Tak, poszłam.

Wstaję.

- Jean? Poszłaś za moją siostrą?

- Tak. Musiałam to zrobić, rozumiesz. Była moją przyjaciółką.

Wciągam ją tak daleko w głąb wspomnień, jak daleko mi pozwala. Trzymając ją za rękę, prowadzę Jean po kamienistej mieliźnie w kierunku zdradliwych fal.

- Chciałaś ją powstrzymać przed odejściem, ale wtedy pojawił się ktoś jeszcze. Ktoś, kto poszedł za tobą.

- Nie pamiętam.

- Owszem, pamiętasz, Jean. Pamiętasz.

Otwiera usta, robi wielkie oczy i potrząsa głową raz i drugi, gapiąc się gdzieś w przestrzeń.

- Nie pamiętam.

Pamięta. Widzi coś, kogoś, mogę to poznać po wyrazie jej oczu. Pochyliam się, chwytam ją, lecz wyrywa mi się, odsuwa.

- Mów dalej, Jean. Zostań ze mną. Chciałaś ją powstrzymać, ale ktoś za wami poszedł.

Nie ma jej, odeszła. Pada na pryczę, zasłaniając twarz obiema rękami, a ja powtarzam:

- Jean! Jean! Ktoś zaskoczył cię poza posterunkiem. Miał nóż.

Z jej ust wyrywa się krzyk, krótki, niezbyt głośny, zaraz jednak tłumi go dłonią. Chwytam ją ponownie za ramiona, próbuję podnieść. Moja udawana obojętność, moje fałszywe policyjne opanowanie znikają, wypalają się w szale. Muszę to wiedzieć!

- Ktoś cię gonił i zaatakował nożem, a potem zabił moją siostrę.

Potrząsa gwałtownie głową, nie odrywa dłoni od ust, jakby krył się w nich demon, coś, co chce się uwolnić, by zniszczyć świat.

- Czy to był Astronauta?

Zaciska mocno powieki, całe jej ciało drży.

- A może to ktoś obcy? Niski mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych i czapce bejsbolowej?

Odwraca się ode mnie. Szkoda, że nie mam zdjęcia, które mógłbym jej pokazać, położyć na pościeli. Zdjęcie Jordana uśmiechającego się kpiąco w tych swoich krzykliwych raybanach. Chciałbym widzieć jej minę, gdyby go zobaczyła. Jest już jednak za późno, Jean znika, odchodzi, ucieka umysłem przed tym, czego nie chce sobie przypominać. Zaciska dłoń na ustach, przewala się na bok i zamiera na materacu nieruchoma, przerażona, bezużyteczna.

- Daj spokój - syczę. Kopię w pryczę, a ona podskakuje razem z nią. - Dajże spokój, dziewczyno.

2.

„Izyda” to oczywiście drugie nagranie z wydanego w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku albumu zatytułowanego „Desire”, kawałek, który był moim ulubionym songiem Dylana, gdy miałem piętnaście albo szesnaście lat. Mniej więcej w tym samym czasie Nico odkryła mój dzienniczek, w którym zapisywałem aktualny Top 20 Boba, przy każdym tytule notując także datę powstania utworu i nazwiska osób uczestniczących w nagraniu. Moja siostra uznała pedanterię tych notatek za wyjątkowo głupią, więc biegała po całym domu, zaśmiewając się do rozpuku i potrząsając notesem jak jakiś szympans.

Dziwnie się czuję, wracając wspomnieniami do tamtych czasów, do tego, kim wtedy byłem, do faktu, że „Izyda” to mój ulubiony kawałek Dylana z młodzieńczych lat. Dzisiaj nie znalazłby się nawet w czołówce nagrań zawartych na „Desire”. Tego jednak Nico nie mogła wiedzieć, a ja podejrzewam, i nawet uważam za wielce prawdopodobne, że przybrała ten pseudonim, ponieważ miała przeczucie, że dowiem się o tym w ten czy inny sposób. Zostawiła ten okruszek na swoim szlaku, ale nie jako wskazówkę podobną do wygiętego widelca czy niedopałka american spirita, tylko jako specyficzny rodzaj podarunku. A może zrobiła to, ponieważ wciąż bawiło ją tamto wspomnienie, podobnie jak wiele innych moich dziwactw, lecz jakkolwiek na to patrzeć, otrzymałem od niej swoisty dar.

Przemierzam korytarz łączący cele aresztu z ciasnym biurem detektyw Irmy Russel, otwieram jej dziennik i wyrywam z niego szesnaście kartek, które składam na pół, tworząc coś na kształt zeszytu. Kolejne dwa kwadransy zajmuje mi dokładne spisanie tego wszystkiego, co zdołałem wyciągnąć z Jean, zanim się wyłączyła, zgasła, odpłynęła. Notuję, jak przystała do tej grupy;

wymieniam imiona, przybliżony wiek i wygląd jej towarzyszy z konspiracji, opisuję, jak gniewnie reagowała na wspomnienie Astronauty. Jest tu także notka o tym, jak odkryła, że Nico zamierza uciec, jak podążyła za nią...

Kończę spisywać jej opowieść, stawiam finalną kropkę, po czym przechodzę hołem do sali odpraw i siadam obok ciała mojej siostry. Wyśmiałyby moje ostatnie posunięcia. Kazałyby mi rzucić to wszystko w diabły, wrócić do wieśniaków i chlać z nimi piwo, zażerając się kurczakami.

Naciskam klawisz zasilania na konsoli radiostacji. Pomieszczenie wypełniają odgłosy modlitwy: gospelowy chór śpiewa harmonijnie o Ziemi Obiecanej, zanosząc te słowa do samego Boga na paśmie sześciuset megaherców. Widzę oczami wyobraźni kościół: zabarykadowane drzwi, zabite dechami okna, głodni, ale przeszczęśliwi wierni śpiewający aż po kres czasu. Aż do nadejścia Ziemi Obiecanej. Naciskam klawisz skanowania i trafiam na kogoś, kto twierdzi, że jest aktualnym prezydentem Stanów Zjednoczonych, facet ogłasza właśnie, że cała afera z Mają była tylko testem na jedność naszego narodu, który – uwaga – zdaliśmy celująco. Wszystko w porządku, ludzie, możecie wracać do dawnego życia.

Zmieniam stacje raz po raz. Wypowiedzi toną w szumie statiku i znów ożywają. „NIE PIJCIE WODY Z ROZLEWISKA RZEKI MUSKINGUM”, potem głos rozemocjonowanego nastolatka:

- Nie wiem, gdzie teraz siedzicie, skurwysyny, ale my, pojebańcy, wbiliśmy się właśnie do sklepu Verizon w centrum handlowym Crestview Hills w pierdolonym Kentucky! Każdy, kto chce się jeszcze zabawić, niech zasuwa na I-75...

Słuchanie tych obcych ludzi to głupota, powinienem oszczędzać energię, powinienem oszczędzać czas. Naciskam więc po raz ostatni klawisz skanowania i znajduję spokojny, ale zarazem natarczywy głos, pochylam się w stronę głośnika, aby lepiej go słyszeć:

- Powtarzam: jadę swoim wozem na południe autostradą numer czterdzieści, jeśli to odbierasz i nadal mnie kochasz, będę

w Norman jutro o piątej... Powtarzam: jadę swoim wozem autostradą. Kocham cię. Ja...

Głos milknie, słychać tylko szum wiatru. Czekam jeszcze chwilę, wstrzymując oddech, lecz wyłączam radiostację, gdy młot w rękach Corteza ożywa po raz kolejny. Udało mu się go naprawić. Znowu pracuje.

Trudno uwierzyć, trudno zrozumieć, w co zamienił się nasz świat. Ze wszystkich rzeczywistości i linii czasowych, w których mogłem się urodzić i zostać policjantem, trafiłem właśnie tu i teraz.

- Zostaliśmy oszukani, Nico. - Wracam do siostry, spoglądam na jej twarz i paskudną ranę na szyi. - Wykiwali nas, dranie.

Sięgam po plandekę, by nakryć jej głowę, zamieram jednak w pół ruchu, trzymam nad nią brezent niczym koc.

Ta rana na szyi.

Może nie przyjrzałem się jej wystarczająco uważnie tam, w lesie, może byłem zbyt zdenerwowany, a może chodzi o to, że jestem teraz bogatszy o doświadczenie półtoragodzinnego gapienia się na Jean, wsłuchiwanie się w jej słowa, patrzenia na jej gardło. Tam, w lesie, było dla mnie jasne, że obie te rany wyglądają identycznie: oto dwie dziewczyny zarżnięte w taki sam sposób, ofiara numer jeden i numer dwa, rana numer jeden i numer dwa.

To jednak nie do końca prawda. Rana Nico jest gorsza – o wiele poważniejsza, co ma oczywiście sens choćby dlatego, że moja siostra nie żyje, a Jean zdołała ocaleć. Pochyliam się i teraz widzę, że mam do czynienia nie z jednym cięciem, tylko z wieloma nakładającymi się pociągnięciami, które tworzą pod szczęką kształt litery V. Na ranie Jean wciąż była krew, odsłonięte mięśnie miały różową barwę, lecz w tym przypadku cięcia są o wiele głębsze, pomiędzy tkankami dostrzegam bladą kość, widzę przepołowioną tchawicę. Głębokość tej rany i jej nierówność sugerują, że Nico walczyła, poruszała się do samego końca. Próbowwała się bronić, ująć przeznaczeniu.

Przypominam sobie ranę Jean, tę, od której nie umiałem oderwać wzroku, gdy słuchałem opowieści. Tamta jest czystsza –

to pojedyncze cięcie sugerujące, że nie szarpała się za bardzo albo wcale, co stoi w sprzeczności z pozostałymi obrażeniami na jej twarzy.

Zatem... Wstaję, zaczynam krążyć po sali odpraw. Zatem Jean się broniła, ale została pokonana, schwytana i unieruchomiona. Założmy, że napastnik dysponował jakimiś tabletkami, że zdołał wepchnąć je do ust ofiary, potem zatkał jej nos i tak zmusił ją do przełknięcia.

Nie... Stop... Zatrzymuję się, uderzam otwartą dłońią w ścianę. Myśl szybciej, Palace, myśl logiczniej. Mamy do czynienia z bardzo dynamiczną sytuacją, ofiara numer dwa - Nico - właśnie uciekła do lasu. Jestem zabójcą, muszę ją ścigać, nie mogę pozwolić jej uciec. Uderzam Jean czymś, powalam ją. Pada na ziemię - nieprzytomna? - więc podrzynam jej gardło jednym szybkim cięciem i rzucam się w pogoń za ofiarą numer dwa, za Nico Palace gnającą co sił w nogach przez zarośla.

Przebadałem jednak ciało Jean, gdy była nieprzytomna, gdy nazywaliśmy ją Lily. Sprawdziłem uważnie jej czaszkę w poszukiwaniu podobnych urazów, tego jestem całkowicie pewien.

Mimo to była bezwładna, gdy podrzynano jej gardło, odwrotnie niż w przypadku Nico. Zatem tabletki, zastrzyk albo cios młotkiem w skroń to jedyne dostępne możliwości.

Nagle zdaję sobie sprawę, że krążę po sali odpraw, dysząc ciężko, spocony jak mysz. Ona tam jest, gdzieś na niebie ponad przesłaniającymi je chmurami, i zbliża się niesamowicie szybko.

Skupże się, Palace, nie możesz, ale musisz. Trzeba iść dalej.

Zabójca dopada Nico na drugiej polance, rzuca się na nią, powala ją, ale ona jest przytomna, przerażona, wyrывa się, więc bandzior chwytą ją za włosy od tyłu i tnie po szyi, dopóki całkiem jej nie rozpląta.

Drzę, jakbym był naocznym świadkiem, jakbym to ja trzymał ten nóż albo był nim raniony.

Jest jednak coś jeszcze. Odwracam wzrok od okna, spoglądam znowu na siostrę, ocierając łzy, czując, jak prawa dłoń mi się

zaciska i otwiera rytmicznie. Jest coś jeszcze.

Z tą potworną raną coś jest nie tak – przyklękam więc, pochylam się, sięgam po miarkę. Wybąkując kolejne przeprosiny, kolejne „cholewcia” i „a niech mnie”, odchyłam poszczególne kawałki skóry milimetr po milimetrze, odkrywając miniaturowe nacięcia wewnątrz tych większych, niektóre są tak cienkie i małe jak ślady odnóży owadów. Przesuwam szkłem powiększającym nad szyją i zyskuję pewność, że te miniaturowe otwory znajdują się na całej długości rany, regularnie rozłożone co ćwierć cala.

Równoległe nacięcia na górnej i dolnej krawędzi rany. Doktor Fenton stwierdziłaby prawdopodobnie, że to tylko poszlaka, że pewność mają wyłącznie dzieci i magicy, ale moim zdaniem te ślady na skórze świadczą jednoznacznie, że ostrze, którego użyto, było ząbkowane.

Wypadam z sali odpraw i gnam przez hol z szeroko rozłożonymi rękami jak zrywający się do lotu ptak, szybuję korytarzem do kuchni, aby przyrzeć się ponownie nożom wiszącym nad zlewozmywakiem. Rzeźnicki, tasaczek i obierak. Dobrze zapamiętałem – żaden nie ma ząbkowanego ostrza.

Wracam do sali odpraw, podbiegam do Nico, wyjaśniam jej, o co chodzi z raną i tymi równoległymi wgłębieniami. Przypominam jej, że jedynym ząbkowanym ostrzem, jakie pojawia się w jej historii, jest wspomniany przez amisa nóż wiszący przy pasie Astronauty.

- Panie policjant.

- Tak?

- Dobrze się czujesz?

Cortez ma niepewną minę, mruży też mocno oczy. Spogląda na mnie, jakby coś było ze mną nie tak.

- Nic mi nie jest - mówię, odchrząknąwszy. - Przebiłeś się już?

- Nie wyglądasz na kogoś, komu nic nie dolega.

- Ale tak jest. Przebiłeś się przez tę płytę?

Nie odpowiada, przygląda się plandece.

- Czy to ona, Palace? - pyta.

- Tak, to ona - odpowiadam.

Streszczam mu sytuację najszybciej, jak umiem.

- Nieprzytomna dziewczyna nazywa się Jean Wong, pochodzi z Lansing w stanie Michigan. Twierdzi, że niewiele pamięta z momentu ataku, w sumie to prawie nic, ale zaprowadziła mnie prosto na polanę, na której znalazłem ciało. Moją siostrę zamordowano, podrzynając jej gardło ząbkowanym ostrzem. Tyle na razie ustaliłem.

Milknę nagle. Wiem doskonale, do czego zmierzam, mówiąc w ten sposób, szybko, urywanie, konkretnie, policyjnym żargonem. Używam słów, by otoczyć nimi zżerający mnie smutek, są dla mnie jak ta żółta taśma z napisem: „Policja: zakaz wstępu”.

Cortez przytakuje, poprawia kucyk. Czekam, aż zapyta ponownie, czy ze mną wszystko w porządku, abym mógł mu odpowiedzieć, że nic mi nie jest i że powinniśmy działać dalej. Zamiast tego słyszę:

- Śmierć jest, kurwa, najgorsza.
- Przebiłeś się?
- Tak.
- Dobrze. Wspaniale.

Nie odwraca się i nie wychodzi z sali odpraw, tylko się wycofuje, a gdy to robi, ja zauważam, że z jakiegoś powodu zabrałem ze sobą jeden z noży. Ściskam w dłoni ten wielki zakrwawiony rzeźnicki nóż. Przyglądam mu się przez chwilę, a potem wsuwam go za pas na biodrze, jak myśliwy.

3.

Zatem grupa schodzi pod ziemię, ale Nico daje dyla, a Jean idzie jej śladem, więc Astronauta dopada je po kolei i zarzyna nożem.

Dzieje się to w minioną środę około szesnastej trzydzieści, a raczej tuż przed siedemnastą. Ja, pies i mój oprych docieramy na miejsce w czwartek mniej więcej o trzeciej nad ranem. Godziny... Spóźniliśmy się dosłownie o parę godzin. Nie mogę o tym zapomnieć, po prostu nie mogę.

Zabija Astronauta albo Jordan, korzystając z noża tego pierwszego.

A może to Kleszcz albo Valentine. Albo nikt z wymienionych.

W dziewięciu przypadkach na dziesięć ofiara ponosi śmierć nie z rąk obcego jej człowieka, tylko przyjaciela lub członka rodziny, nawet męża czy żony. Od tej reguły są oczywiście wyjątki - moja mama jest jednym z nich - ale nie mamy dzisiaj do czynienia z normalnymi warunkami. Żyjemy obecnie w świecie wilków, miast niebieskich i czerwonych, ludzi przemierzających kraj w poszukiwaniu schronienia, miłości bądź mocnych wrażeń. Nico i Jean mogły opuścić swoich towarzyszy, nie ponosząc z tego tytułu żadnych konsekwencji, za to padły ofiarą jakichś bestii, które pojawiły się przejazdem w tej okolicy. Gości, którzy marzyli od dawna o poderżnięciu gardel dwóm dziewczynom i zrobili to, po czym zniknęli w lesie, zaśmiewając się do rozpuku. Wielu ludzi nosi okulary przeciwsłoneczne. Wielu nosi także ząbkowane noże.

- Jesteś pan gotowy, panie policjant?

- Tak - zapewniam Corteza. - Jestem.

Stoimy obok siebie z rękami opartymi o biodra, gapiąc się na metalowe stopnie, które znikają pod ziemię pośrodku policyjnego garażu, jak to nam wcześniej opisano. Nieszłowna betonowa płyta zabezpieczająca wejście została zamieniona w kupę gruzu, który Cortez ułożył obok wydrążonego otworu na płachcie brezentu,

tworząc nieforemną piramidę. Spociał się przy tym niemożliwie, T-shirt całkiem mu przemókł, a kucyk zwisa smętnie, lśniąc od przetłuszczenia. Facet oblizuje wargi, gapiąc się w panującą na dole ciemność.

- Okej - rzuca. - Okej, okej, okej. Po zejściu na dół pierwszym wyzwaniem stanie się pokonanie pancernych drzwi.

- Pancernych drzwi?

- Ludzie, którzy budują bunkry, wyposażają je przede wszystkim w trzy rzeczy: w kibel, generator i pancerne drzwi. - Poprawia lampę na czole, dociągając paski. - Poza tym napieprzałem tym młotem pneumatycznym z godzinę jak nie lepiej.

- Ale nikt nie wyszedł.

- Może dlatego, że niczego nie słyszeli.

- Bo wszystkie dźwięki stłumiły pancerne drzwi.

- Dobrze pan kombinujesz, panie policjant.

Podaje mi drugą lampę, a ja zakładam jej paski za uszy, krzywiąc się, gdy jeden ociera się o wciąż świeże rozcięcie na czole.

- Nie wysadzisz takich drzwi, chyba że dysponujesz walizkową bombą atomową, ale zawsze można spróbować otworzyć zamki. - Snop światła z jego lampy miga. - Ja mogę.

Cortez mówi pospiesznie, szczerząc się jak diabeł, oczy lśnią mu z ekscytacji, jest gotowy do działania. Wstąpiły w niego nowe siły, tak bardzo go kręci, że rozwalił tę płytę i może teraz zejść pod ziemię, jakby to było jego dochodzenie, nie moje. Nie może się doczekać tego, co spotka nas na dole, co się zaraz wydarzy. Ja czuję się podobnie, chcę wiedzieć, co tu się działo, muszę poznać prawdę, więc gdy spoglądam w dół niknących w mroku schodów, widzę w halo licznych odbić twarz Nico, jej zamknięte oczy i krwawą jatkę zamiast skóry na szyi.

Cortez schodzi pierwszy, jego ciężkie podkute buty łomoczą o stalowe stopnie, ja trzymam się krok za nim. Wąskie metalowe belki drżą pod naszym ciężarem.

- Hej.

Zza naszych pleców dobiega nieśmiały głos. W drzwiach prowadzących do holu stoi Jean. Cortez i ja zatrzymujemy się

w tym samym momencie i odwracamy głowy. Snopy światła z naszych lamp krzyżują się na zaniepokojonej twarzy dziewczyny jak więzienne reflektory na uciekinierze.

- Schodzicie na dół?

- Tak - odpowiadam.

- Ty musisz być Jean - dodaje mój towarzysz. - Miło cię w końcu spotkać.

Dziewczyna przestępuje w progę z nogi na nogę, drży na całym ciele, obejmując się mocno rękami. Ma na sobie czarne majtki i czerwony T-shirt, które znalazłem w porzuconym plecaku Nico. Na ramiona zarzuciła jedną z moich zapasowych kurtek, która wisi na niej jak mnisi habit. Sterczy tam w progę niezdecydowana, jakby chciała się wycofać, ale nie mogła. Jest jak duch, który został przykuty do tego kąta garażu rzuconą na niego klątwą.

- Mogę iść z wami? - pyta.

- Dlaczego?

- Dlatego... że chcę.

Cofam się, wychodzę z otworu.

- Przypomniałaś sobie coś, Jean? Coś, o czym powinniśmy wiedzieć?

- Nie - zapewnia mnie, potrząsając głową. - Nic a nic. - Krzyżuje ręce na piersi, wciąga zapyłone powietrze do płuc. - Po prostu chcę tam zejść.

- Dobra... - zaczynam, ale w tym samym momencie Cortez rzuca zdecydowanie:

- Nie. - Spoglądam na niego, lecz kręci głową. - Nie ma mowy. - Zanim zdążę mu się przeciwstawić, choć tak naprawdę tego nie chcę, dodaje szybko znużonym głosem, wyjaśniając, co mu nie pasuje: - Po pierwsze: ta dziewczyna waży maksimum sto funtów, po drugie: jest nieuzbrojona, i po trzecie: to nie jest bezpieczne miejsce. Krótko mówiąc, nie potrzebujemy jej na dole.

- Już tam była. Może nam wskazać drogę.

- To tylko piwnica - odpowiada Cortez. - Idę o zakład, że nie będziemy mieli problemu ze znalezieniem drogi.

Zerkam na Jean, widzę, że i ona patrzy na mnie błagalnie, choć chwieje się na nogach. Nie chce być sama, ot i cała tajemnica. Jest tak blada, że w tym przydymionym świetle wydaje mi się niemal przezroczysta. Mam wrażenie, że jeśli odwrócę teraz wzrok, choćby na chwilę, może rozpląnąć się w powietrzu i przestanie istnieć.

- Słuchaj pan, panie policjant - dodaje Cortez, nie trując się już szeptaniem, nie spuszcza także wzroku z prowadzących w dół stopni. - Nie schodzimy tam, by zagrać w ping-ponga w kąciaku rekreacyjnym. Nie zaplanowałem też przyjęcia niespodzianki na twoją cześć.

Ma rację. Wiem, że ma rację.

- Jean... - zaczynam ostrożnie.

- Skoro tak... - rzuca dziewczyna, odwracając się do mnie plecami. - Dobra. Rozumiem.

- Niedługo wrócimy - zapewniam ją, choć to chyba nie jest prawda, dodaję też: - Nic ci się nie stanie. - W to także nie wierzę.

- Nie uda ci się uratować wszystkich, chłopaku - stwierdza Cortez.

Obserwuję, jak Jean opuszcza garaż, by jeśli się nie mylę, wrócić do celi, która stała się teraz jej domem, choć równie dobrze może znowu pognać w las, aby szukać szczęścia na własną rękę, zanim to wszystko nie pójdzie w diabły. A może ma już wszystkiego dość i znajdziemy ją po powrocie wiszącą na prześcieradle z wytrzeszczonymi oczami i posiniałymi policzkami, zupełnie jak u Petera Zella.

Schodzimy, leziemy na dół.

Cortez kroczy przede mną, a ja zstępuję za nim w mrok. Słyszę, jak mruczy pod nosem melodyjne: „Hej ho, hej ho”, ja podążam za tymi dźwiękami i za stukotem podkutych obcasów, dopóki nie dotrzemy do podnóża schodów, gdzie Cortez przystaje, rzucając głośno: - Ha!

Nie ma tu żadnych pancernych drzwi. Stajemy na cementowej podłodze, otaczają nas betonowe ściany, to jakiś piwniczny

korytarz. Jest tu zauważalnie zimniej, co najmniej dziesięć stopni mniej niż na górze. Chłód i mrok, a do tego grobowa cisza. Czuję zapach starego kamienia, pleśni i zastalej wody, ale wszystko to przytłumia świeższy odór, jakby gdzieś w pobliżu coś się paliło. Gdy rozglądamy się po pustym pomieszczeniu, nasze lampy są jedynym źródłem światła.

Nie ma tu nic, kompletnie nic. Potrzebuję dłuższej chwili, by zidentyfikować uczucie, które wkrada się w moje ciało, gdy tam sterczę, gapiąc się w głąb pustego cichego korytarza. To uczucie zawodu, paskudnego zimnego zawodu, ponieważ tak wiele się spodziewałem po zejściu tutaj. Pozwoliłem sobie mieć nadzieję, choć nie było ku temu wielu podstaw. Pozwoliłem sobie nie tylko z powodu tego cholernego helikoptera, ale także ze względu na rozmiary i zasięg organizacji, która nim dysponowała, organizacji sięgającej swoimi mackami od Nowej Anglii po Środkowy Wschód, mającej dostęp do Internetu pozwalający na nonszalanckie włamanie się przez modem do bazy danych FBI w czasach, gdy cała reszta świata cofa się w zastraszającym tempie do epoki kamienia łupanego. Nie wspominając już o owych tajemniczych skrzyniach, które widział Atlee Miller, gdy znoszono je pod ziemię w owo środowe popołudnie.

Głupsza część mojej świadomości spodziewała się, że wejdziemy do rojnego podziemia, w którym zbuntowani naukowcy w białych fartuchach wywarkują polecenia. Że trafimy na ostatnie minuty przygotowań do startu. Że zobaczymy pikające konsole komputerów, wielkie ekrany z mapami, tętniący życiem gotowy do działania świat pod światem. Coś na wzór tajnej bazy z Jamesa Bonda albo z „Gwiezdných wojen”. Cokolwiek!

Tutaj jednak nie ma nic. Chłód, mrok, smród, pajęczyny i wszechobecny kurz. Pod schodami są zwykłe drewniane drzwi, oczywiście otwarte, a za nimi widzę niewielkie pomieszczenie z bezpiecznikami i mopami. Jest tam także żeliwny piecyk, zimny, mocno pordzewiały.

Gdzie podziiali się ci wszyscy ludzie? Gdzie są kumple mojej siostry: Żeglarz, Kleszcz, Zachwycony? Gdzie ci wspaniali

rewolucjoniści, awangarda przyszłości? Pajaki wciągnęły ich za obraz czy co?

Cortez nie wygląda jednak na zaskoczonego. Odwraca się do mnie, świeci mi lampą w oczy, ale i tak widzę, że nadal ma na ustach ten rozgorączkowany uśmiech. Jego twarz wygląda, jakby ktoś rozciął ją na pół, a potem ponownie złożył w całość.

- Kto wie, może wyskoczyli na moment po mleko? - rzuca, jakby czytał mi w myślach.

Wzrok przyzwyczajają mi się powoli do mroku. Spoglądam w głąb korytarza.

- Dobra - mówię. - Jak chcesz to zrobić?

- Rozdzielimy się.

- Co?

Odwracam się do niego raptownie, światła naszych lamp się krzyżują, więc widzę dokładnie jego rozwarte szeroko błyszczące oczy. Ten facet coś kombinuje, zauważyłem to już tam, na szczycie schodów, nagle nabrał ochoty do życia, jakby mu ktoś podładował akumulatory.

- Ja pójdę w tę stronę - rzuca jak szeryf z westernu, wskazując kciukiem za plecy i natychmiast się odwraca, by zrealizować zapowiedź.

- Nie - mówię. - Czeka. W co ty pogrywasz?

- Tak tylko jaja sobie robię. Zabawimy się w Marca Polo. Wyluzuj.

Mam wyluzować?

- Cortez.

To jakieś szaleństwo. Idę za nim, ale porusza się bardzo szybko i znika zaraz w otaczającym nas mroku. Ma plan, podąża za jakąś gwiazdą, której ja niestety nie dostrzegam. Czuję falę paniki rodzącą się w głębi trzewi, rosnący strach, znajomy i niemal tak stary jak ja. Nie chcę zostać sam tu, na dole.

- Cortez?

4.

Stawiam ostrożnie nogi na szarej podłodze, plecami szoruję po szorstkiej betonowej ścianie, oświetlając przestrzeń przed sobą jak nie przymierzając, żabnica. Ściskam pistolet w prawej dłoni. Strzelam oczami na prawo i lewo, próbując przebić mrok. Wędruję przez krainę cieni, przez negatyw, w którym jestem jedynym źródłem światła. Z sufitu, pomiędzy płataniny pordzewiałych rur zwisa kilka bezużytecznych żarówek. Prymitywna cementowa wylewka na podłodze jest nierówna, mocno spękana. Wszędzie pełno pajęczyn i pajaków.

Rozkład pomieszczeń w piwnicy posterunku odpowiada mniej więcej rozkładowi parteru. Mam przed sobą prosty korytarz z drzwiami po obu stronach. Tyle że tu, na dole, jest ich nieco mniej. Znajdują się także dalej od siebie. Można odnieść wrażenie, że świat podziemi jest szkieletową wersją tego, co znajduje się powyżej gruntu, oraz lustrem ukazującym powolny rozkład naszego świata. Jakby ten budynek zmarł i został tutaj pochowany.

Gdzieś w głębi korytarza słyszę skrzypienie otwieranych drzwi, potem rozlegają się odgłosy kroków. Podkute obcasy uderzają o beton. Kolejny krok i rozlega się cichy rechot.

- Cortez? - szepczę nerwowo.

Nie odpowiada. Czy to on? Znów słyszę skrzypienie nienaoliwionych zawiasów, tych samych albo innych. Odwracam się bardzo wolno wokół własnej osi. Omiatam światłem latarki mroczną przestrzeń, ale nigdzie nie dostrzegam mojego partnera. Z czego się śmiał? Co go rozbawiło? Nie wiem nawet, czy jest nadal na tym korytarzu, gdzieś na jego końcu, czy też wszedł do któregoś z przyległych pomieszczeń.

Słyszę ciche skrobanie nad głową, jest tam coś małego, pazurki stworzenia uderzają o wewnętrzną stronę którejś z rur. Stoję

jeszcze przez dłuższą chwilę na baczność, wsłuchując się w dźwięki wydawane przez mysz, kreta czy cokolwiek to jest. Każde uderzenie serca jest jak poruszenie kowalskiego miecha, policzki palą mnie, jakbym dostał gorączki. Może to efekty tak wielkiej utraty wagi – albo krańcowego zmęczenia – ale naprawdę odnoszę wrażenie, że czuję każde uderzenie serca, każdą mijającą sekundę.

Mam w polu widzenia tylko troje drzwi zgrupowanych na samym końcu korytarza. Dwoje po lewej, jedno po prawej. Potrząsam głową, przytykam palce do powiek. Troje drzwi, trzy pomieszczenia. Drzwi i pomieszczenia. Muszę zrobić tu, na dole, to samo co przedtem na górze: wejść do każdego i przeszukać je kolejno.

Tyle dobrego, że zostały opisane. Na tych znajdujących się naprzeciw mnie widzę zrobiony czerwonym sprayem równy napis: MAGAZYN GŁÓWNY. Bliższe drzwi na przeciwległej ścianie oznaczono jednym słowem: PANIE. Tą samą farbą, tym samym kolorem. Domyślam się, że na sąsiednim znajdę napis: PANOWIE, ale zamiast tego widzę prymitywny rysunek przedstawiający obwisłego członka, dla odmiany wymalowanego niebieskim sprayem. Niedojrzały, prostacki, wulgarny. Domyślam się, że to jego widok rozbawił Corteza, ale raczej nie tutaj wszedł – jego celem były z pewnością lekko uchylone drzwi magazynu. Zaglądam przez nie, wołając półgłosem: „Marco”, lecz nie odpowiada, więc przez moment widzę go oczami wyobraźni: zaskoczonego, zabitego szybkim pociągnięciem ostrza przez gardło, krwawiącego jak zarzynana świnia, wijącego się na podłodze w kałuży własnej juchy.

- Polo - odpowiada w końcu gdzieś z głębi, ledwie go słyszę, ale oddycham z ulgą.

Kręcę głową po raz kolejny. Gdzie podzieli się ci ludzie? Może któreś z tych drzwi prowadzi do następnego korytarza i tylnego wyjścia, a może znajdę tam schody na niższy poziom. Może tam właśnie zeszli, po czym zniknęli, rozplywając się w mroku.

Drzwi oznaczone napisem PANIE są zamknięte. Przekręcam gałkę kilkakrotnie. Czyżby sypialnia? To tutaj znajdują się łóżka dla kobiet? Naciskam na skrzydło obiema dłońmi, to zwykle drewniane drzwi, może nawet zrobione z płyty wiórowej. Tak nietrwałe, że same proszą się o wykopanie. Nabieram tchu, odchylam się, unosząc nogę, i gdy tak zastygam pomiędzy zamiarem a jego wykonaniem, nachodzi mnie kolejne wspomnienie: mojej mamy, która na kilka lat przed zamordowaniem mówiła przepięknymi słowami o tym, że życie to dom zbudowany dla mnie przez Boga, On wie, co mieści się w każdym z pokoi, a ja nie, więc za każdymi drzwiami kryje się kolejne odkrycie. Niektóre pokoje są wypełnione skarbami, inne zwykłym śmieciem, ale każdy z nich zaprojektował sam Bóg – i teraz, wiele lat później, zaczynam się poważnie zastanawiać, czy życie nie jest przypadkiem ciągiem zapadni, w które człowiek wpada kolejno, lecąc coraz niżej i głębiej.

Unoszę pistolet na wysokość klatki piersiowej, jak nakazuje policyjny regulamin, i jednym kopnięciem otwieram drzwi opatrzone napisem PANIE.

Skrzydło odbija się od ściany i uderza mnie rykoszetem w ramię, po czym znów wali w beton, a ja nawet nie drgnę, ponieważ w snopie światła latarki widzę pomieszczenie wypełnione zwłokami.

* * *

Potrzebuję czasu. Dłuższej chwili, by ogarnąć szerszą perspektywę. Badając pogrążone w mroku pomieszczenie w świetle latarki, otrzymujesz coś na kształt układanki. Jakbyś wyciągał z pudełka kolejne puzzle. Odwracasz głowę i nagle przed twoimi oczami pojawia się męska twarz, rzadki zarost, zapadnięte policzki, wzrok wbity gdzieś w przestrzeń. Kolejny obrót, światło wędruje z tobą i wyłuskuje z ciemności ramię wystające z podwiniętego rękawa koszuli. Palce dłoni są zaciśnięte, kilka cali dalej leży kubek z logo Flintstonów, który jakiś czas temu wytoczył się spomiędzy nich.

Snop światła przeczesuje pomieszczenie, ukazując jeden szczegół za każdym razem.

Na samym środku stoi stolik, na nim zauważam więcej kubków i talerzyków. Wokół siedzą martwi ludzie, jakby wcześniej popijali herbatkę. Facet o końskiej twarzy i rozczochranych włosach ma głowę przekrzywioną na bok, jak gdyby zasnął w autobusie międzymiastowym. Prawa ręka zwisa mu bezwładnie, druga leży na stole, jej palce są splecione z dłonią dziewczyny, która zajmuje sąsiednie miejsce. Mam przed sobą Kleszcza, a ta, którą trzyma, to Valentine, Afroamerykanka o bardzo ciemnej skórze i smukłych rękach. Ona padła do przodu, lądując policzkiem na blacie, kącik jej ust pokrywa jakaś gęsta ciecz przypominająca z daleka pajęczynę.

Przy stoliku są jeszcze dwie osoby. Każda z nich ma w dłoni filiżankę. Czwórka do herbatki.

Naprzeciw Kleszcza widzę Zachwyconego, przystojnego młodzieńca, krótko ostrzyżonego – ten z kolei odchylił się mocno w tył. Ma na sobie pelerynę, o której wspomniała Jean. Zaglądam pod stół i znajduję drugi z jego znaków charakterystycznych – niebieskie adidas. Obok niego siedzi dziewczyna o owalnej twarzy, ma pulchne policzki, kręcone włosy. To zapewne Żeglarka, czyli dawna Alice. Odsunęła się nieco od Zachwyconego, wygląda, jakby była na niego obrażona albo zniesmaczona tym, co właśnie powiedział.

Świecę latarką w jej kubek. Ten napar wygląda jak najprawdziwsza herbata. Obwąchuję ją, ale nie wyczuwam żadnego aromatu. Nie dotykam niczego, to przecież miejsce zbrodni.

Ze środka pomieszczenia docieram dalej, tam także znajduję ciała – wiele ciał. Mimo to trzymam się dobrze. Świecę latarką w oczy każdemu denatowi, jak okulista badam każdą parę martwych źrenic.

Ujmuję nadgarstki, badam puls, przytykam ucho do kolejnych klatek piersiowych. W nikim nie znajduję jednak iskierki życia. Czuję się jak gość wizytujący gabinet figur woskowych.

Blżej drzwi siedzi mężczyzna, jego porośnięta broda szczęka spoczywa na wydatnej klatce piersiowej. To Panicz. Pamiętasz? To taki zabawny pseudonim, ponieważ był wielki. Ha, ha, ha. Kolejne ciało, mężczyzna, o którym nic wcześniej nie słyszałem. Nie ma na sobie koszuli, jest dobrze umięśniony, zauważam na jego policzku bliznę niknącą pod rozczochranymi blond włosami typowymi dla surferów. Obok niego spod stołu wystają bosa kobiece stopy. Skromnie skrzyżowane, smukła kostka spoczywa na smukłej kostce. Coś mi mówi, że chyba to jest Żeglarka, a nie dziewczyna siedząca przy stoliku, choć równie dobrze mogę mieć do czynienia z kimś zupełnie innym, jedną z czterech pozostałych, których pseudonimów nie poznałem - czterech, ponieważ jeśli Atlee się nie mylił, było ich tutaj wcześniej osiem oraz sześciu facetów. Kimkolwiek była, wypiała truciznę z termosu, który wciąż spoczywa na jej brzuchu, oczywiście bez korka, więc gdy oświetlam go promieniem latarki, w środku dostrzegam refleksy odbijające się od kilku ostatnich kropel ciemnego płynu.

Wracam do stołu. Dziewczyna obok Zachwyconego, ta... która wygląda, jakby się od niego dystansowała. Rozpoznaję jej twarz. Widziałem ją już wcześniej. To koleżanka Nico, ona pilotowała helikopter.

Robię kolejną rundę, trucizna lśni w niemal każdym naczyniu: w kubku, szklance, termosie, co utwierdza mnie w przekonaniu, że wszyscy wypili to samo, cokolwiek to było. Pewnie nigdy tego nie zdołam ustalić. To już niemożliwe. „Wyślijcie to do laboratorium, chłopcy!” Jedno jest pewne: umarł każdy, kto się tego świństwa napił.

Znajduję też list, a raczej notatkę. Zdobi ścianę, ma kształt czarno-zielonego graffiti głoszącego: DOŚĆ TEGO GÓWNA.

I kolejne ciała. Dziewczyna zwinięta w kłębek jak śpiący kot. Blondynka z dreadami obok niej, wszystkie kończyny ma powykrzywiane pod najróżniejszymi kątami. Kobieta w średnim wieku, skrzyżowane ręce i nogi, siedzi pod ścianą, jakby ćwiczyła jogę. Co ciekawe, wciąż spodziewam się trafić w tej sali

samobójców na Nico, choć wiem, że już ją znalazłem, tam, w lesie, martwą jak wszyscy pozostali.

Ostatnie ciało leży na podłodze w najodleglejszym kącie twarzą do dołu. To mężczyzna o pokolenie starszy od pozostałych. Ma ciemne gęste włosy, piwne oczy ukryte za okularami. Jedna z soczewek pękła, gdy uderzył głową o beton, po tym jak spadł ze składanego krzesła. Zatrzymuję się i świecę latarką prosto w jego oczy: to Astronauta. Ma otwarte usta, język wystaje na zewnątrz, otwarte oczy skierowane są na drzwi.

Pochyliam się bardziej, by obejrzeć osławiony pas, ale nie ma go już na sobie, więc padam na czworaka i przez kolejną minutę próbuję znaleźć pistolet, młotek i nóż. W końcu trafiam ręką na lodowatą dłoń denata. Zrywam się z podłogi i gnam do drzwi. Na litość boską, to przecież miejsce zbrodni. Potykam się o stopę Żeglarki czy kogo tam, ale udaje mi się wypaść na korytarz w porę, by tam zwymiotować. Nie mam w żołądku nic prócz kawy, więc na betonie ląduje gęsta, zabarwiona na czarno żółć. Widzę w świetle latarki, jak opryskuje mi buty.

Prostuję się, ocieram usta rękawem koszuli, próbując poskładać to sobie do kupy. W tym pomieszczeniu znajdują się zwłoki sześciu kobiet: Valentine, Żeglarki i czterech innych, oraz pięciu mężczyzn: Kleszcza, Astronauty, Panicza, Zachwyconego i gościa o wyglądzie surfera.

To przed tym Nico chciała uciec. To był plan B, którego tak bardzo bała się Jean.

Grupowe samobójstwo jestem w stanie zrozumieć, tego typu zdarzenia przeszły do normalności od chwili pojawienia się 2011GV1. Duchowi pielgrzymi, desperaci. Wcześniej to były tylko pogłoski: pięćdziesiąt tysięcy martwych ludzi znaleziono w Citi Field. Całe plemię peruwiańskich Indian zakopało się po szyję w piasku pustyni. Ich poświęcenie miało być próbą przebłagania nowego okrutnego boga, który pojawił się na niebie. Historie, które nie mogły być prawdziwe, w które nie chciało się wierzyć. A jednak grupa ludzi utopiła się w zbiorniku wodnym opodal Dallas, ich ciała wypływały na powierzchnię całymi tygodniami,

co przyspieszyło i tak nieuniknione zamknięcie wodociągów w północno-wschodnim Teksasie. Podobno w Nowym Orleanie kursowały tak zwane łodzie „ostatniego dzwonka”, które operowały całą dobę, siedem dni w tygodniu, wypływając na jezioro Pontchartrain, oferując szampana, kawior i tyle dynamitu, by zatopić łajbę, gdy wszyscy schlają się już w trupa i będą gotowi na odejście.

To, co zobaczyłem w piwnicy posterunku w Rotary, było więc niczym w porównaniu do tych wszystkich przykładów. Zamiar ratowania świata legł w gruzach, toteż wdrożono plan B, jeden rodzaj szaleństwa zastąpiono innym. Nikt nie zszedł na dół, by próbować przetrwać – napis na ścianie głoszący DOŚĆ TEGO GÓWNA jest najlepszym dowodem, o co im chodziło. Wszyscy mieli spocząć pod ziemią, w tym samym grobie. Wszyscy poza Nico Palace – stoję w kompletnych ciemnościach, wciąż czekając, aż mój żołądek się uspokoi, i spoglądam na zarys drzwi po drugiej stronie, rozmyślając o siostrze. Nico Palace powiedziała: nie, dziękuję. Nico stwierdziła: nie zgadzam się. Sytuacja nie była, jaka jest. Nico, która w wieku lat czternastu, upita whisky, poinformowała mnie, że ojciec był tchórzem, skoro powiesił się z żalu po utracie mamy, pieprzonym tchórzem, odmówiła wzniesienia toastu trucizną. Odrzuciła plan B i wyruszyła z plecakiem wyładowanym przekąskami, by w pojedynkę ratować świat.

A Jean podążyła za nią – może chciała ją zatrzymać albo przekonać, aby przyjęła łatwiejsze, szybsze rozwiązanie. „Dlaczego chcesz odejść – zapytała – skoro to nic nie da, przecież zostaniesz sama, kiedy my wszyscy będziemy nadal razem?”

Mówiła to wszystko, gdy ktoś jeszcze wyszedł z bunkra. Wynurzył się z niego jak ta ręka, która wyłania się z ziemi na końcu horroru. Ktoś poszedł za nimi, by je dopaść. Ktoś, kto zakładał, że obie chcą się wymknąć i uniknąć realizacji planu B.

Ktoś. To mógłby być Astronauta, gdyby miał na to czas. Rozmawiał z Nico w korytarzu o wpół do piątej, kiedy finał przeprowadzki do piwnicy był wciąż daleki. Zakładając, że

wszystko poszło zgodnie z planem, robota powinna była się zakończyć piętnaście minut później. To by z kolei znaczyło, że Astronauta musiałby wrócić na powierzchnię, dopaść Nico i Jean, polując na nie kolejno, a potem zdążyć zejść ponownie pod ziemię, zanim wybije siedemnasta trzydzieści.

Zerkam przez ramię na pomieszczenie pełne zwłok. Zamierzam tam wrócić. Tak, chcę tego. Jeśli scenariusz z Astronautą jest mało prawdopodobny z powodu braku czasu, może oznaczać to tylko jedno: każda z osób znajdujących się w tym pomieszczeniu musi być wykluczona. Na dół zeszło osiem kobiet i sześciu mężczyzn, a osiem minus dwa - czyli Jean i Nico - daje sześć, tyle też znalazłem damskich zwłok, ale z sześciu mężczyzn znajduję tylko pięciu martwych. Kogo więc brakuje?

Czy odpowiedzią na to pytanie może być Jordan? On nie zginął od trucizny. Gdzie go znajdę?

Ale jest istotniejsze pytanie, być może najważniejsze ze wszystkich, pytanie, które przyćmiewa tamte jak wisząca chmura gradowa - dlaczego to zrobił? Co miał z tego zabójca, kimkolwiek jest? Czemu służy zabijanie ludzi na kilka dni przed datą ich ostatecznej zagłady, dlaczego morduje ich w tak okrutny sposób, pozostawiając w lesie, by się wykrwawiali? Po diabła ścigać dziewczyny, które wymykają się z klubu samobójców, i zabijać je z zimną krwią? Słowo „dlaczego” rozbrzmiewa w mojej głowie jak uderzenia dzwonu, gdy stoję plecami do drzwi, próbując zmusić się do powrotu i zebrania większej liczby dowodów.

Mogę pobrać odciski palców nieżyjących za pomocą prochu strzelniczego i taśmy klejącej. Jeśli uda mi się odnaleźć nóż, zdejmę odciski również z jego trzonka, co pozwoli mi potwierdzić teorię, że sprawcą był Astronauta, albo wykluczyć go z grona podejrzanych.

Jestem już bliski rozwiązania, mam je w zasięgu ręki, fakty otaczają mnie chmurami, trzeba je tylko posortować, posegregować, przemyśleć gruntownie, poskładać do kupy. Są jak gwiazdy z odległych konstelacji, niby widoczne gołym okiem, lecz nieuchwytnie.

- Henry!

To głos Corteza, ostry, podniecony. Trafił na kolejne ciała. Musi być w sąsiednim pomieszczeniu, tym oznaczonym męskimi genitaliami. Znalazł coś.

- Nie dotykaj niczego! - odkrzykuję, sunąc wzdłuż ściany w kierunku drzwi. - To miejsce zbrodni.

- Miejsce zbrodni? Jezu, pospiesz się, Henry.

Jego głos dobiega z trzeciego pomieszczenia, opisanego jako MAGAZYN GŁÓWNY. Gdy przyświecam w tamtym kierunku, dostrzegam głowę wystającą zza uchylonych drzwi.

- Chodź tu, panie policjant - woła. - Oj, musisz to zobaczyć.

5.

Cortez stoi na samym środku pomieszczenia otoczony sięgającymi sufitu stosami skrzyń.

- Dobra nasza - mamrocze, zacierając ręce. - Dobra nasza, człowieku.

- Cortez?

- Tak, tak, tak.

Przyświecam sobie latarką i dostrzegam takie same szare ściany i spękane cementowe podłogi jak w reszcie podziemi. Wokół skrzyń leżą stosy rozmaitego śmiecia: pogięte kartony, niebieskie beczki z tworzywa sztucznego pełne lamp kempingowych i zapalek. Nieco dalej stoją wieszaki wypełnione ubraniami, widzę puchowe kurtki, futrzane czapki i kalesony. Obok dwie stalowe szafki na akta, ustawione jedna na drugiej, przypominają wycofanego z użytku robota.

A pośrodku tego wszystkiego stoi Cortez z nogą na jednej ze skrzyń. Wygląda zupełnie jak konkwistador, na jego twarzy dostrzegam wyraźną radość, w oczach także widzę zadowolenie.

Kieruję światło na niego, a on jakby lśni w jego blasku, całe przejęcie, które wcześniej jakimś cudem hamował, teraz wypływa z niego falami.

- I jak? - pyta.

Jestem zniecierpliwiony, skołowany. Chciałbym wrócić do ciała, zabrać się ponownie do roboty.

- Z czym?

- Jak to: z czym? Co o tym wszystkim sądzisz?

- O czym?

- No o wszystkim.

- O jakim wszystkim?

Wybuchają śmiechem.

- O wszystkim wszystkim.

Nagle zaczynamy gadać pośrodku tych ciemności jak nie przymierzając, Abbott i Costello. Ja błędzę myślami zupełnie gdzie indziej. Co się stało z bronią? Z tym niesławnym ząbkowanym nożem myśliwskim? Nagle dociera do mnie, że nie mogłem go znaleźć na podłodze przy ciałach, ponieważ zabójca zabrał go ze sobą i porzucił gdzieś w lesie. Ale – ponieważ zawsze musi być jakieś ale – dlaczego zabójca wyrzuca broń, skoro za moment ma zamiar odebrać sobie życie, dlaczego ukrywa ją w lesie, który lada dzień spłonie na popiół? Rozważam w myślach fakty i domysły, lecz Cortez chwyta mnie za rękę i przyciąga do jednej ze skrzyń. Odwraca się, przykuca, zrzuca wieko, a gdy spada na posadzkę z głośnym klekotem, odsuwa się na bok dramatycznym ruchem.

Kieruję latarkę na wnętrze skrzyni. Jest pełna paczek makaronu z serem. Są tam całe tuziny pudełek. Żadna tam firmowa robota, zwykle kartoniki z pieczętkami głoszącymi: MAKARON Z SEREM.

Cortez czeka za moimi plecami, dysząc ciężko, przeczesując dłońmi przepoczone włosy. Wyciągam kilka pudełek, rzucam je na bok, zastanawiając się, co można ukryć pod warstwą żarcia – sztaby złota, broń, bryły wzbogaconego uranu, coś, co byłoby w stanie mnie teraz zadziwić. Ale nie, skrzynia jest wypełniona od dna po brzegi opakowaniami makaronu z serem. Jak głęboko sięgam, wszędzie widzę pomarańczowe pudełka ze znajomymi pieczętkami.

- Cortez... – zaczynam, lecz ucisza mnie uniesieniem dłoni jak prezenter na komercyjnym kanale telewizji.

- Zaczekaj, to jeszcze nie wszystko – mówi.

Ściąga pokrywę innych skrzyń, otwiera je jak trumny i pokazuje mi to samo, więcej nieistotnych rzeczy – makaron z serem, sos do spaghetti, czterdzieści wielkich słoików pełnych sosu marinara. Ravioli, przecier jabłkowy, paczki ciastek... pełno tu skrzyń wypakowanych niczym, a raczej parodią niczego. Ten magazyn wygląda jak żart zrobiony komuś, kto przygotowuje się na koniec świata.

- Wszystko, czego ci trzeba... - rzucam Cortezowi w twarz. -
Czyli makaron!

Corteza to jednak nie śmieszy. Przygląda się skrzyniom śmieciowego żarcia, jakby czekał, że padnę na kolana i zawołam: „Alleluja”.

- Znaleźliśmy je - rzuca w końcu szeroko uśmiechnięty, pożerając wzrokiem zawartość skrzyń.

- Co znaleźliśmy?

- Kryjówkę. Skarb. Znaleźliśmy towar, panie policjant. Jest tu też broń. Tasery, hełmy i krótkofalówki. Towar, człowieku. A ta - dodaje, odwracając się, by kopnąć inną skrzynię - jest pełna telefonów satelitarnych. Wszystkie baterie są naładowane. Wiedziałem, że ci dranie ukryli tu boski towar.

Przyglądam mu się w osłupieniu. To jego mania. Niezdiagnozowana wersja psychozy asteroidalnej. Tasery? Hełmy? Jakbyśmy mogli założyć je i przeczekać zagładę ludzkości jak jakąś burzę. Z kim niby mamy gadać przez te telefony satelitarne? Ale jemu to nie przeszkadza, właśnie zrywa pokrywę z pojemnika zawierającego butelkowaną wodę, krzycząc: „Tadam!”, jakby odkrył skarbiec Tutenchamona.

- Pięciogalonowe butle - mamrocze, podnosząc jedną za cienki uchwyt. - Dwadzieścia cztery na skrzynię, a znalazłem ich do tej pory pięć. Człowiek potrzebuje trzech galonów dziennie, ale tak naprawdę wystarczy półtora, by przeżyć. - Oczy błyszczą mu w świetle mojej latarki, gdy tak przelicza to sobie jak na kalkulatorze. - Powiedzmy dwa galony.

- Cortez.

Nie słucha mnie. Już po nim - zanurzył się w świecie własnych marzeń.

- Gdybyśmy byli tymi pajacami, a jak powiedziałaś jest ich czternaścioro... tak powiedziałaś, prawda?

- Tak. Tylu ich było, ale wszyscy nie żyją - odpowiadam.

- Wiem - rzuca obojętnym tonem, po czym wraca do obliczeń. - Czternaścioro ludzi to powinno wystarczyć na jakiś miesiąc, ale dla nas dwóch, tylko dla nas dwóch...

- Skąd wiesz, że nie żyją?

- Zaraz, czekaj - mamrocze, odciągając od ściany jakiś karton, i zaczyna w nim grzebać, jest tak tym przejęty, że niemal wchodzi do środka. - Spójrz, to tabletki do oczyszczania wody. Co najmniej sto pięćdziesiąt sztuk, jeśli więc skończy nam się woda w butlach, będziemy mogli iść do strumienia, pamiętasz, że koło posterunku przepływa strumień?

Pamiętam, musiałem go przekroczyć, kiedy biegłem za Jean, by dotrzeć do miejsca, które chciała mi pokazać, biegłem, nie wiedząc, choć przeczuwając, że znajdę tam Nico. Spoglądam na Corteza, moja niecierpliwość przeistacza się w gniew, ponieważ nie dbam o to, ile butli wody mamy tutaj, pod ziemią, mam gdzieś także wszystko inne, te stosy skrzyń i leżące wokół nich wypchane torby.

- Wiem, o czym myślisz - rzuca nagle, przestając grzebać w skrzyniach, po czym jednym susem staje przede mną, świecąc mi latarką w oczy. - Znam cię. Nie dostrzegasz tego jeszcze, bo nie umiesz patrzeć, ale ja, rozglądając się po tym pomieszczeniu, widzę mnóstwo dni, które możemy przeżyć. Nie wiem, jak będzie wyglądał świat na zewnątrz po zderzeniu, ale jeśli zainwestujemy mądrze w te dni, zmienią się w miesiące, a miesiące w lata.

- Czekaj, Cortez. - Próbuję się skupić, blokuję dłonią oślepiające mnie światło. - Skąd wiedziałeś, że oni wszyscy nie żyją?

- Kto?

- No oni, Cortez. Oni...

- A, tak. Znalazłem jednego w tym pomieszczeniu z fiutem wymalowanym na drzwiach. Siedział w fotelu, trzymając w dłoni kubek pełen jakiegoś gówna. Wyglądał mniej więcej tak. - Naśladuje zmarłego, wytrzeszczając oczy i wywalając jęzor.

- Czekaj...

- A gdy usłyszałem, jak rzygasz, domyśliłem się, że znalazłeś resztę.

- Czekaj, Cortez, ten facet, którego znalazłeś...

- Otwieracze do puszek! - wrzeszczy, zanurzając dłoń w jednej z toreb i wyciągając z niej jakiś przedmiot. Wydiera się coraz

głośniej, podskakując jak szalenciec. - Jackpot! Coś, czego naprawdę potrzebujemy, panie policjant, w tych trudnych czasach, to porządny otwieracz do puszek. - Rzuca kawał metalu w moim kierunku, a ja chwytam go bez namysłu. - Po to przyleźliśmy tutaj.

- Nie. - Szukam jego oczu w mroku, pragnąc, by się uspokoił i wysłuchał tego, co mam do powiedzenia. - Przyszliśmy tutaj, żeby znaleźć moją siostrę.

- Ale ona nie żyje, jeśli dobrze kojarzę?

- Tak, tylko że... Jeszcze tu nie skończyliśmy. Chodzi mi o to, że przyszliśmy tutaj, aby jej pomóc.

- Ty przyszedłeś.

Upuszczam otwieracz do puszek.

- Co?

- Och, panie policjant - rzuca. - Jesteś jak dziecko. - Cortez, mój bandzior, zapala w mroku papierosa. - Nie zamierzałem spędzić reszty życia z bandą gliniarzy w dziczy północnego Massachusetts. O nie, szanowny panie, to nie było środowisko odpowiednie dla kogoś takiego jak ja. Wiedziałem jednak, że na końcu twojej tęczy znajdę coś takiego. Gdy tylko wspomniałeś, że siostra uratowała cię dzięki helikopterowi, dotarło do mnie, że mamy do czynienia z naprawdę nadzianymi ludźmi. Musieli mieć gdzieś dobrą bezpieczną kryjówkę pełną towaru. To, na co trafiliśmy tutaj, nie jest tak dobre, jak przypuszczałem, ale powinno wystarczyć na przeczekanie końca świata. W sumie, zważywszy na okoliczności, nie jest wcale tak źle.

Śmieje się ze mnie w stylu: i co mi zrobisz? Rechocze i rozkłada ręce, jakby się przedstawiał: oto ja, Cortez. Złodziej, którym jest i zawsze był, o czym od samego początku wiedziałem, tylko nie chciałem tego dostrzec. Zaskoczył mnie tym wyjściem z cienia, choć nie rozumiem dlaczego. Przecież to ja w pewnym momencie uznałem, że mój cel stał się także jego celem. Oddał mi ostatnie dwa miesiące przedzderzeniowego życia, bo wyruszałem na tę porąbaną wyprawę i potrzebowałem uzdolnionego zręcznego pomagiera - takie wnioski wyciągnąłem, a potem odłożyłem tę

kwestię ad acta. Tak się jednak składa, że ludzie nie robią niczego dla idei. To lekcja numer jeden policyjnej roboty. Lekcja numer jeden życia.

Zdawać by się mogło, że powinienem był już dawno rozgryźć, iż to tylko maska, fasada i mam do czynienia z pułapką, która jedynie czeka na aktywowanie.

- Przykro mi z powodu twojej młodszej siostry - mówi Cortez, szczerze, z tego co widzę, ale potem dodaje jeszcze: - Problem w tym, Henry, że nasz świat ginie. To jedyna część tej sprawy, która nie jest tajemnicą. Rozgryźliśmy ją. Asteroida wszystko rozpieprzy, a ci ludzie uznali widocznie, że nie ma sensu dalej się męczyć, więc my możemy zająć ich miejsce. To wszystko może być nasze.

Ta rozmowa mnie dobija. Muszę wydostać się z tego magazynu. Muszę wrócić do ciał, przyrzeć się ostatniej z ofiar. Muszę kontynuować dochodzenie.

- Powiedz mi, Cortez, jak wygląda ten facet, ten nieboszczyk, którego znalazłeś? - Podchodzi krok bliżej, papieros zwisa mu w kąciку ust, ale nie odzywa się słowem. - Jak on wygląda, Cortez?

Chwyta mnie mocno za koszulę i popycha na betonową ścianę.

- Powiem ci, co teraz zrobimy. Zamkniemy się w tym pomieszczeniu.

- Nie, Cortez. Nie możemy tego zrobić.

- Zamkniemy się tutaj i nie wytkniemy stąd nosa przez najbliższe pół roku - szepcze mi prosto do ucha. - Potem będziemy wychodzili po wodę, ale tylko wtedy, gdy będzie to absolutnie konieczne. Resztę czasu spędzimy tu, na dole, relaksując się i odpoczywając, dopóki nie zeżjemy całego spaghetti.

- Nie przetrwamy zderzenia.

- Przetrwamy.

- Nie.

- Ktoś przetrwa.

- Ale nie ja. Nie chcę przeżyć. Po prostu nie i już.

Ta sprawa jest do rozwiązania. Do złamania.

I ja to zrobię.

- Owszem, chcesz. To pomieszczenie jest pełne przyszłości, Henry. Dziel ją ze mną. Chcesz przyszłości czy nie?

- Proszę cię, Cortez - mamroczę. - Tam jest tyle ciał, a ja mogę zebrać odciski palców za pomocą taśmy klejącej i prochu.

Facet łagodnieje, na jego twarzy pojawia się smutek.

W ostatniej chwili zauważam, że zabrał jeden z taserów, ukrył go w kieszeni, z której teraz wyciąga to cholerstwo i przytyka do mojego ciała. Czuję gorący pocałunek wyładowania, które posyła mnie na podłogę, prosto w mrok.

CZĘŚĆ SZÓSTA

Plan B

Wtorek, 2 października

Rektascensja 16 47 47,9

Deklinacja -75 18 19

Elongacja 80,4

Delta 0,034 j.a.

1.

- NIE PIJCIE WODY Z ROZLEWISKA RZEKI MUSKINGUM.

Och...

- NIE PIJCIE WODY Z ROZLEWISKA RZEKI MUSKINGUM.

O nie...

- NIE PIJCIE WODY Z ROZLEWISKA RZEKI MUSKINGUM.

O Boże, nie. Nie.

Cortez, proszę, nie rób tego. Nie możesz mi tego zrobić. Wiem już tak wiele, lecz wciąż za mało. Już prawie to mam, brakuje naprawdę niewiele.

Ale zrobił to, zrobił i jest już po wszystkim. Siedzę w celi, po stronie złych facetów, za kratami, na materacu należącym wcześniej do Lily. Prymitywna konsola radiostacji z posterunku w Rotary stoi kilka stóp dalej, przekazując zapętlone ostrzeżenie o nie mającym najmniejszego znaczenia zatruciu wód dorzecza Muskingum. Cortez musiał ją tutaj przyciągnąć, gdy byłem półprzytomny, ogłuszony. Przewlókł ją tutaj z drugiego krańca holu, dla mnie, zostawił mi także jedzenie, cały stos MRE i cztery butle wody. Widzę je, gdy odwracam głowę, ułożone w równy stos pod tylną ścianą aresztu.

Przekręcam się na cienkim materacu i kładę na brzuchu, by podeprzeć się dłońmi i stanąć na czworaka. Będzie dobrze. To niewątpliwa porażka, ale musi przecież istnieć jakieś rozwiązanie, sposób na wydostanie się stąd, a skoro istnieje, to go znajdę i wszystko będzie dobrze.

Radio trzeszczy i syczy: NIE PIJCIE WODY Z ROZLEWISKA RZEKI MUSKINGUM. Pozostała część nagrania, mówiąca o bezpiecznych strefach, stanowiskach pierwszej pomocy, punktach zbornych i samopomocy mieszkańców Ohio, została wykasowana. Teraz w eter płynie wyłącznie zapętlone ostrzeżenie o zatrutej wodzie.

Przez okno sączy się słoneczny blask, co znaczy, że znów mamy dzień. Casio twierdzi, że jest za kwadrans trzynasta, okej, ale jakiego dnia?

Przytykam opuszki palców do oczu i zaciskam zęby. Nie wiem, czy na pewno byłem nieprzytomny, tak mi się wydaje, pewności jednak nie mam. Doświadczyłem bólu porażenia taserem, najpierw rozpałił mi brzuch, potem sparaliżował ręce i nogi. Padłem jak długi, a oprawca, człowiek, którego miałem za przyjaciela, zawiązał mnie w kawał brezentu, czego byłem ledwie świadomy, ponieważ mój mózg chwilowo przestał funkcjonować. Może nawet walczyłem, może próbowałem jęczeć w proteście, lecz w pewnym momencie opór stał się bezcelowy, więc leżałem tylko, czując, jak Cortez ciągnie mnie po schodach do garażu, i gdzieś tam po drodze odpłynąłem całkowicie.

Oddycham kurzem wypełniającym ciasną celę. Mam zamiar ją opuścić, to więcej niż oczywiste. Zostałem w niej zamknięty, ale na pewno tu nie umrę. Sytuacja jest zła, lecz jak każda inna musi znaleźć satysfakcjonujące rozwiązanie.

Zerkam ponownie na casio, znów jednak widzę dwunastą czterdzieści pięć. Zegarek jest zepsuty. Nie mam pojęcia, która może być godzina. Maja podlatuje coraz bliżej, a ja tkwię w tej pułapce. Fala upiornie gorącej paniki zaczyna wydostawać się z moich płuc, ale ją powstrzymuję, choć z najwyższym trudem, oddychając bardzo wolno, głęboko. Przy nogach pryczy w kącie celi dostrzegam nowe pajęczyny, zastąpiły te, które pozrywaliśmy, przygotowując to pomieszczenie dla Jean. Wtedy to była jeszcze Lily. Lily Arras, nieprzytomna dziewczyna.

Nie ma jej tutaj. Nie wiem, gdzie mogła się podziać. Cortez zszedł do podziemi. Ja zostałem na górze. Sypialnia dla kobiet pełna jest zwłok, w męskiej znajduje się tylko jedno ciało. Nico odeszła. Pies został na farmie. Nie wiem, która jest godzina ani jaki mamy dzień...

Próbuję podnieść się z pryczy, następuję jednak na jakiś przedmiot, który przewraca się z głośnym brzęknięciem. To karafka, jedno z naczyń, które wykorzystywaliśmy do parzenia

kawy. Mam tu wszystko, także ostrzałkę przerobioną na młynek, podgrzewacz i mniej więcej połowę ziaren. Cortez zdradził, zaatakował i zaciągnął do celi, aby pozbyć się mnie i tego, co planowałem. Zostawił mnie zamkniętego w areszcie z wodą, żarciem i kawą. Sam zaszył się teraz pod ziemią. Zaciera ręce, grzebiąc w skrzyniach ze zdobyczami jak jakiś smok siedzący na stosie skarbów.

Gapię się na ziarna kawy, na poły stojąc, na poły siedząc. Czyż nie miałem przeczucia, że skończę w taki sposób? No miałem je przecież. Nie pamiętam dokładnie, ale wydaje mi się, że tak było, przypominam sobie jak przez mgłę, że spoglądałam na biedną ledwie żywą Jean, i wyobrażam sobie siebie bezsilnego, równie chorego, leżącego na tej samej pryczy. Zupełnie jakby czas się złożył, powtórzył, zapętlił, zjadając własny ogon.

Znów próbuję się podnieść, tym razem odnoszę sukces, staję na własnych nogach, szarpnię za kraty, lecz są zamknięte.

Nico, ja... spróbuję to zrobić. Spróbuję, rozumiesz? Dam z siebie wszystko.

Unoszę dłonie do twarzy, gładzę pokryte kilkudniowym zarostem zapadnięte policzki. Jak ja nienawidzę tego, jak teraz wyglądam, tego niechlujstwa, przez które moje oblicze przypomina zaniedbany ogród! Może się mylę, może mam jeszcze sporo czasu, a może straciłem jego poczucie. Zgniję w tej celi, będę oddawał mocz w kącie, głodniejąc coraz bardziej, licząc upływające godziny. Jestem człowiekiem zamkniętym w pudle.

Widzę go po drugiej stronie krat: hak w ścianie, ten, na którym zazwyczaj wisiły klucze.

To rodzaj śmierci gorszy od innych. Pogrzebanie żywcem w celi gdzieś na zadupiu, z ogromną, choć niewystarczającą wiedzą – mam przed sobą mroczny krąg historii, który przypomina kamień młyński. Muszę go toczyć dalej, aby nabierał masy niczym śnieżna kula. Chcę, by rósł. Jaki mamy dzień, która jest godzina? Może do zderzenia dojdzie już za moment albo nawet właśnie do niego doszło: huk, błysk rozświetlający niebo, drżenie gruntu, a potem wszystko to, co powinno nastąpić. Miejsce zbrodni

spłonie w ogniu, ten posterunek policji legnie w gruzach, a gdy zginę, nikt nigdy nie pozna prawdy.

Krzyczę z całych sił, rzucam się na kraty, szarpię je, wciąż wrzeszcząc, uderzam o metalowe pręty otwartą dłonią raz po raz, mocno, ponieważ muszę zejść na dół, muszę się tego dowiedzieć, muszę to zobaczyć na własne oczy.

Nagle rozlega się głośnie człapanie, ktoś idzie przez hol. Krzyczę raz jeszcze, walę ręką w kraty.

- Cortez!

- Kim jest, kurwa, Cortez?

- Co?

Tylna ściana celi eksploduje, zasypując mnie pyłem, a gdy ten opada, widzę po drugiej stronie krat Jordana trzymającego w jednej dłoni pistolet maszynowy, a w drugiej pęk kluczy do cel. Przeszywa mnie ostrym, palącym spojrzeniem. Nie ma okularów przeciwsłonecznych, nie ma dużej czapeczki, jego twarzy nie zdobi cwaniaczkowaty uśmiech.

- Gdzie ona jest? - pyta, mierząc w sufit. - Gdzie jest Nico?

Cofam się w głąb celi. Nie mam gdzie się ukryć. Jest tu tylko prycza i sedes.

- Nie żyje - odpowiadam. - Przecież wiesz, że Nico nie żyje.

Strzela znowu, czuję gorące powiewy mijających mnie kul, a ściana za moimi plecami eksploduje ponownie, tym razem bliżej głowy. Ze zdumieniem zauważam, że zatykam dłońmi uszy, kulę się, przykucam. To nigdy nie będzie miało końca, ten durny zwierzęcy instynkt przetrwania, ciągnięcia męki dalej. On nie ma kresu.

Jordan wygląda marnie. Do tej pory zawsze widziałem go z tym kpiącym uśmiechem na ustach, puszającego się, wyzywającego. Takim go zapamiętałem z Concord - mającego wszystko w dupie szczeniaka, który mną pogardza, ponieważ to on jest strażnikiem prawdziwej tajemnicy. Teraz jednak wygląda jak przerobione zdjęcie, na którym postarza się komputerowo przestępców, aby pokazać, jak mogą wyglądać po latach. Jego młodzieńczą twarz pokrywa kilkudniowe rżysko, ma też długie rozcięcie biegnące od

ucha aż do kącika ust. Z jego prawą nogą też chyba nie jest najlepiej, widzę podwiniętą nogawkę, spod której wystaje bandaż przesiąknięty czerwienią, czernią i ropą. Wygląda na smutnego, wkurzonego i zdesperowanego. Wygląda tak, jak ja się czuję.

- Gdzie ona jest, Henry?

- Przestań mnie o to pytać.

Przecież to jego robota. On ją zabił. To jasne jak słońce. Jordan postępuje krok w moim kierunku. Ja robię to samo, jakby kraty były powierzchnią lustra, a my odbiciami tego samego człowieka.

- Gdzie ona jest?

Unosi broń, mierzy w moje serce. Znów ogarnia mnie to idiotyczne pragnienie przeżycia, odwrócenia się, uskoczenia, uchylenia, ale tym razem nawet nie drgnę, wrastam w posadzkę, spoglądam prosto w jego płonące furia oczy.

- Nie żyje - odpowiadam. - Ty ją zabiłeś.

Robi wielkie oczy, udając zaskoczenie.

- Dopiero co tu dotarłem.

Mierzy we mnie bez przerwy, lecz w końcu mówię sobie, dobra, trudno, tutaj zginę, niech ta kula przewierci się przez mój mózg, ale zanim to nastąpi, chcę poznać resztę tej historii.

- Dlaczego poderżnąłeś jej gardło?

- Jej... co? - mamrocze.

- Dlaczego?!

Przykucam pospiesznie, uderzam kolanem w karafkę, rozbijając ją na kawałki. Jordan podąża lufą za każdym moim ruchem.

- Nie ruszaj się - ostrzega, ale ja już trzymam w dłoni nierówny trójkąt szkła, zrywam się i rzucam na kraty, mierząc prosto w jego brzuch. Trafiam, wrażam szkło w bebechy.

- Niech cię diabli! - syczę.

- Ty dupku - mamrocze, przykładając rękę do brzucha, a gdy ją podnosi do oczu, jest zakrwawiona.

- Dlaczego ją zabiłeś?

Muszę to wiedzieć. To wszystko, czego chcę się dowiedzieć przed śmiercią. Gdzieś w tle słyszę powtarzany w kółko komunikat radiowy: NIE PIJCIE WODY Z ROZLEWISKA RZEKI

MUSKINGUM. Jordan wsuwa rękę między kraty, by chwycić mnie za gardło, ale drżąca dłoń wciąż jest śliska od jego własnej krwi, więc nie udaje mu się mnie złapać. Cofam się o krok, pluję na niego.

- Ja też jej szukam - upiera się. - Przyszedłem tutaj, bo chciałem ją odnaleźć.

Pochyliam się, sięgam za kraty, mam dłuższe ręce, więc udaje mi się chwycić go za nogę, wciskam palec wskazujący pod bandaż, wrażam go w rozjątrzoną ranę, a im głośniejszy wrzeszczy, tym bardziej ją rozszarpuję. To paskudna sztuczka, ruch godny oprycha. Jordan próbuje się wyswobodzić z tego chwytu, lecz nie pozwalam mu na to. Trzymam go teraz obiema rękami zza krat, jedną obejmuję udo, drugą wciąż gmeram w ranie. Zachowuję się jak potwór, on wrzeszczy. Chcę odpowiedzi. Potrzebuję ich!

- Zamknij się - syczę z rękami wyciągniętymi jak lalkarz w teatrze, trzymam go mocno, nie puszczam. - Mów. Powiedz, dlaczego to zrobiłeś.

- Co? - charczy, wypluwa to słowo, jęcząc jednocześnie z bólu. - Co?

- Mów prawdę.

- Jaką prawdę? - warczy Jordan.

Poluźniam na moment chwyt, daję mu chwilę wytchnienia, nie chcę, żeby mi tu zemdłał. Najważniejsze jest uzyskanie informacji. Muszę to wiedzieć. Dyszy ciężko, trzyma się za zranione miejsce, obaj leżymy na brudnej posadzce. Mówię mu to, co wiem, buduję pomost porozumienia, jak nakazują Farley i Leonard w czternastym rozdziale „Dochodzenia kryminalnego”.

- Porzuciłeś swoją dziewczynę w Concord. Miałeś tam zostać z Abigail jako grupa wsparcia, ale i tak uciekłeś. Zadbaleś o to, by znaleźć się tutaj na tydzień przed wielkim dniem, w którym cała grupa miała zejść pod ziemię. Skąd wiedziałeś, kiedy to ma nastąpić?

- Nic nie wiem, już ci mówiłem.

- Kłamca. Morderca. Byłeś tutaj o siedemnastej w środę dwudziestego szóstego, ponieważ wiedziałeś, że tego dnia

zamierzają zejść do podziemi, domyśliłeś się także, że Nico tego nie zrobi. Może to ty ją namówiłeś do odejścia, nakłoniłeś, by spotkała się z tobą za posterunkiem. I przyszła z wyładowanym plecakiem. Ucieszyła się na twój widok.

Wykręcam palec, wrażam go ponownie w ranę, a on próbuje się wyszarpnąć, lecz nie może, nie pozwalam mu na to. Przyciskam go do krat, unieruchamiam.

- Pojawienie się drugiej dziewczyny było dla ciebie przykrą niespodzianką, prawda?

- Jakiej znowu drugiej dziewczyny?

- Musiałeś najpierw zabić ją, szybko, jednym cięciem przez szyję, a potem pognałeś za Nico...

- Co ty pieprzysz... Nie... Ja tu przyszedłem, by ją ratować.

- Ratować? Ratować ją?

Teraz nie tylko próbuję wrazić palec w ranę, staram się również zadać mu tak wiele bólu, jak to tylko możliwe. Nie dbam o to, czy obaj tutaj umrzemy zwarci w klinczu przez czas, jaki nam jeszcze pozostał. Albo powie prawdę, albo obaj tutaj skonamy.

- Poderżnąłeś jej gardło jak tej drugiej dziewczynie i zostawiłeś je obydwie, by się wykrwawiły. Dlaczego to zrobiłeś, Jordan?

- To się jej przydarzyło? Tak właśnie zginęła?

Mówi to, odchyła głowę i pada bezwładnie po swojej stronie krat. Nie dbam o to, budzę go brutalnie, muszę usłyszeć, jak się przyznaje. Chcę tego, podobnie jak Nico.

- Dlaczego ją zabiłeś? Dlaczego? Jak zabicie mojej siostry wpasowuje się w twój durny plan ocalenia świata?

Następuje długa cisza. NIE PIJCIE WODY Z ROZLEWISKA RZEKI MUSKINGUM, głosi w kółko radiostacja. Jordan zaczyna się śmiać. Oczy uciekają mu w głąb głowy, gdy charczy w okrutnej parodii rechotu.

- Co?

Nic, tylko ten śmiech.

- Co?

- Plan. Nie było żadnego planu, Hank. Wymyśliliśmy go. To kit. Zmyśliliśmy to wszystko.

2.

Niemal zawsze jest tak, jak myślisz, że być powinno. Ludzie nieustannie analizują złe bądź nudne momenty życia z nie do końca skrywanym pragnieniem odkrycia, że coś jednak za tym jest, jakiś głębszy sens, który z czasem zostanie ujawniony. Czekamy na zbawienie, łaskę, szokujące wyznanie. Niemal zawsze jednak okazuje się, że jest, jak jest, rzadko kiedy można wygrzebać z błota złoty samorodek.

Ogromna asteroida naprawdę nadlatuje kursem na zderzenie i zabije nas wszystkich. To niepodważalny fakt, czysta prawda, której nie da się w żaden sposób pominąć ani odrzucić.

Miałem rację od samego początku, gdy twierdziłem z uporem maniaka, że tak właśnie wygląda prawda – to ją właśnie ja, tępy prostak o ograniczonych horyzontach, próbowałem wbić do głowy mojej siostrze. Od samego początku miałem rację, a ona się myliła.

Jordan wyjaśnia mi to wszystko, wyklada ze szczegółami, co wie na temat wielkiej konspiracji, której celem miała być zmiana kursu asteroidy, wyjaśnia, dlaczego to ja miałem rację, a Nico się myliła, ale wcale mnie to nie cieszy, co jest chyba zrozumiałe. Wręcz przeciwnie, tak naprawdę czuję w tym momencie przeciwieństwo zadowolenia: bo jakże można powiedzieć: „A nie mówiłem?” komuś, kto już nie żyje, jak mam powiedzieć siostrze: „Myliłaś się”, skoro została złożona w ofierze na ołtarzu swojego błędu? Z perspektywy czasu żałuję, że jej to wtedy powiedziałem. Powinienem był zostawić ją w spokoju, niechby choć przez chwilę czerpała radość z faktu, że jej braciszek, jedyny żyjący krewny, uwierzył w te brednie. Że uwierzył w nią.

To nie tak, że ten plan był niewykonalny, mówię o pchnięciu korygującym, o precyzyjnym użyciu głowic nuklearnych do zmiany zabójczego kursu Mai. On nigdy nie powstał. Autor tej

teorii, zbuntowany naukowiec nazwiskiem Hans-Michael Parry, także został wymyślony. Zakpiono z Kleszcza, Astronauty, Valentine, Żeglarki, Arras, a nawet z Izydy. Ci ludzie byli głupcami i frajerami. Czekali na tym posterunku na przybycie faceta, który nigdy nie istniał.

Teraz, gdy moja siostra nie żyje, nie ma to najmniejszego znaczenia. Jej grupa przebyła całą tę drogę po nic, a ona została zabita.

Siedzimy na zewnątrz pomiędzy masztami flagowymi. Jest piękne popołudnie, chłodne, rześkie, ale także słoneczne. Pierwszy pogodny dzień od chwili, gdy dotarłem do Ohio. Jordan opowiada mi o wszystkim, a ja siedzę z twarzą ukrytą w dłoniach, roniąc obficie łzy.

* * *

Astronauta nazywał się tak naprawdę Anthony Wayne DeCarlo i nie miał wyższego wykształcenia ani naukowego dorobku, nie znał się także na astrofizyce, nie mówiąc już o odbyciu służby wojskowej. Był bandziorem napadającym na banki, handlarzem i wytwórcą zakazanych substancji, kryminalistą. W wieku dziewiętnastu lat został skazany na dziesięcioletni pobyt w zakładzie karnym w Kolorado za to, że siedział w wozie na czujce, gdy jego starszy brat obrabiał oddział Bank of America gdzieś w okolicach Aurory. Wyszedł na warunkowe po czterech latach i trzech miesiącach odsiadki, a już pół roku później aresztowano go ponownie w wynajętym mieszkaniu w Arizonie – przekształcił je w laboratorium/ambulatorium, w którym eksperymentował z produkcją nowych rodzajów narkotyków. Kolejne pięć lat do odsiedzenia, ale wychodzi po dwóch za dobre sprawowanie. I tak dalej, i tak dalej. Zanim dociągnął do czterdziestki – co nastąpiło rok temu – był już znany stróżom prawa w naprawdę imponującej liczbie okręgów, głównie jako przystojny wyszczekany oprych, specjalista od wymyślania i produkcji skomplikowanych substancji odurzających – co do jego

licznych pseudonimów, wystarczy wspomnieć, że w pewnym momencie nazwano go Koncernem Farmaceutycznym.

Spędziłby naprawdę wiele lat za kratkami, gdyby nie zdolność nakłaniania młodych ludzi do odwalania za niego najbrudniejszej roboty. Umiał przekonać do tego chłopaków, choć lepiej radził sobie z dziewczynami, które często kończyły w więzieniach, gdy łapano je na przewożeniu bądź sprzedawaniu towaru, ponieważ nigdy nie robił tego sam. Jeden z członków komisji apelacyjnej ubolewał w jego grubych aktach, że mógłby zostać „wspaniałym liderem, gdyby jego historia potoczyła się inaczej”.

Tak też się stało, kiedy nastąpił niespodziewany zwrot akcji. Pojawiła się asteroida, odmieniając życie każdego zbira i bandyty, podobnie jak policjantów i patriarchów amiszowskich społeczności. W chwili gdy szanse na zderzenie Mai z Ziemią wynosiły około dziesięciu procent, Anthony Wayne DeCarlo mieszkał w piwnicznym apartamencie w Medford, gdzieś w Massachusetts. Tam właśnie został Astronautą, przywódcą ruchu, tkaczem konspiracyjnej siatki, zbawcą ludzkości.

Dla niespokojnych duchów takich jak DeCarlo, dla wiecznie niepewnych swego paranoików Maja była odpowiedzią na nieświadomie zmawiane modlitwy, koszem, do którego mogli wyrzucić wszystkie dotychczasowe antyautorytarne działania. Z dnia na dzień Anthony stał się charyzmatycznym głosem ujawniającym spisek zawiązany przez rząd, ulicznym kaznodzieją z pistoletem za paskiem wyjawiającym każdemu odkrycia wątpliwe z naukowego punktu widzenia. Tak zjednywał sobie kręgi nowych wyznawców, głównie młodzież przerażoną wizją śmierci nadchodzącej z jasnego nieba, szukającą jakiegokolwiek nadziei i ratunku.

Ludzie dawali się nabrać. Moja siostra także. Nietrudno pojąć, dlaczego tak się działo – to akurat jest proste jak budowa cepa. Jediną alternatywą było bowiem przyjęcie do wiadomości teorii głoszonej przez twardogłowego brata gliniarza, który do znudzenia powtarzał: „To nic nie da. Nie ma nadziei. Tak wygląda prawda”. Astronaucci tego świata sprzedawali lepszą wersję tej

opowieści, łatwiejszą do przełknięcia: „To spisek, grube ryby i rekiny finansjery chcą, byś szczeł”.

Kłamstwa, kłamstwa, to wszystko kłamstwa!

Jesienią ubiegłego roku Anthonym Wayne'em DeCarlem, a raczej jego wywrotową działalnością, zainteresowało się FBI. Agencja ta, jak zresztą wiele innych, cierpiała w tym czasie na ogromne braki kadrowe, ponieważ agenci opuszczali jej szeregi pęczkami, by spełniać listę ostatnich życzeń, zanim nadejdzie dzień rozrachunku. Dlatego kto wciąż tkwił za biurkiem, miał pełne ręce roboty polegającej na obserwowaniu świrów pokroju DeCarla, terrorystów wszelkiej maści, psychopatów, którym pojawienie się Mai dało szansę zaistnieć. Wszyscy oni gardłowali o rządowych spiskach i potrzebie sprzeciwienia się władzy, nawet siłą, aby ujawnić te knowania i uniemożliwić je. Twierdzono przy tym, że rząd wymyślił asteroidę, ukrywał prawdę o jej istnieniu, a nawet ją stworzył. Co komu pasuje.

Astronauta i jego wyznawcy nie mieścili się nawet w pierwszej trzydziestce podobnych ruchów, oczywiście jeśli brać pod uwagę stopień stwarzanego zagrożenia. Sytuacja uległa zmianie, gdy ówkok nazwiskiem Derek Skeve włamał się do bazy Gwardii Narodowej stanu New Hampshire. Podczas przesłuchania wyśpiewał, że do wykonania tej misji namówiła go nowa żona.

- To Nico tam go posłała. To ona go poświęciła - twierdzi Jordan, który w rzeczywistości nazywa się zupełnie inaczej. - Zażądano tego od niej. Musiała to zrobić, by dowieść lojalności wobec Astronauty, jego organizacji i przyświecających jej celów.

Jordan tak naprawdę nazywa się agent Kessler. William P. Kessler junior. Mój umysł przyswaja tę informację i robi to naprawdę sprawnie.

- DeCarlo uwielbiał takie niebezpieczne gierki ze swoimi ludźmi. Przyjmował ich i wywalał, testował lojalność - wyjaśnia Kessler. - Przywykł do tego w czasach, gdy handlował prochami: każ ćpunowi numer jeden zadźgać ćpuna numer dwa, a będzie twoim sługą na wieki. Te same triki stosował przy tworzeniu nowej konspiracji.

Agent Kessler jest z FBI. Służył w dziale technicznym, jak mi powiedział, ale został szybko awansowany na agenta terenowego, mniej więcej w tym samym tempie, w jakim ja zostałem detektywem, ponieważ wszyscy inni odeszli albo zniknęli. Rozpracowanie grupy Astronauty było jego pierwszym zadaniem.

- Nadal nad tym pracuję, prawdę powiedziawszy - dodaje, gapiąc się na maszt sterczący z zarośniętego trawnika przed posterunkiem policji w Rotary.

Wystarczyło dziesięć minut zabawy w dobrego i złego gliniarza, by Skeve zaczął bredzić o księżycowych bazach, więc chłopcy Kesslera od razu zrozumieli, że mają do czynienia z kozłem ofiarnym, ale gdy dopadli kolejnego durnia z grupy Astronauty, dotarło do nich, o co temu draniowi tak naprawdę może chodzić. Chciał się dorwać do porzuconej broni atomowej. Zdecydowano więc dać mu to, czego tak desperacko pragnął, i dlatego Kessler zadebiutował jako Jordan Wills, cwaniak i prowokator w tanich ray-banach.

- Pojawiłem się w domu tego dupka w samym środku nocy - mówi mi teraz. - Nawciskałem mu tonę kitu, wiesz: jestem byłym podoficerem marynarki wojennej, ukryłem dokumenty dotyczące tego naukowca i jego genialnego planu, usłyszałem o twojej organizacji... Tylko wy możecie mi pomóc. Tylko wy!

- I on to kupił?

- O, tak - przyznaje Kessler. - Boże, tak. Powiedzieliśmy mu, że istnieją inne zespoły rozsiane po terenie całego kraju. Daliśmy mu dokładne wytyczne, co on i jego grupa mają robić, by wesprzeć nasz plan. I puf, machina ruszyła. Szukali porzuconych głowic w każdym miejscu, które im wskazałem. Chodzili na moim postronku, tańczyli, jak im zagrałem, tak powstrzymywałem ich od zabijania ludzi i nie pozwalałem znaleźć prawdziwych głowic. Kręcili się w pogoni za własnym ogonem.

Słucham, potakuję. To dobra, naprawdę dobra historia. Taka, jakie lubię, o sprawnie zaplanowanej i jeszcze lepiej wykonanej operacji służb porządkowych, przeprowadzonej przez kompetentnych agentów, którzy pozostali na stanowiskach, aby

inni ludzie mogli czuć się bezpieczni pomimo dramatyzmu sytuacji. To był wolno rozgrywany przekręt o jasnym celu i prostej intrydze: identyfikacja członków organizacji, zapewnienie im zajęcia, karmienie ich złudzeniami i dawanie nadziei. Mimo to jego opowieść trąca naprawdę czułą strunę. Słucham jej i co rusz podnoszę ręce, by ukryć twarz w dłoniach, co jednak nie powstrzymuje łez.

Kessler i jego agenci dostarczali Astronaucie przekonujących dowodów, by uwierzył, że istnieje spisek, a oni z nim naprawdę walczą. Dano mu dostęp do Internetu, sprzęt do utrzymywania łączności, wyglądające na oryginalne dokumenty sygnowane przez NASA i marynarkę wojenną. No i ostateczny rekwizyt: seahawka SH-60, dwusilnikowy śmigłowiec, który jeden z partnerów Kesslera zdołał „wypożyczyć” z dywizjonu floty odwołanego właśnie z misji pokojowej w tak zwanym Rogu Afryki.

Fakty te budziły we mnie zwątpienie w najczarniejszych momentach, zadawałem sobie wtedy pytanie: czy aby nie ja się mylę i błędzę? A robiłem to tylko dlatego, że wszystko zostało świetnie upozorowane, by wyglądało na prawdę.

- A co z dokumentami? - pytam go. Nadal mam je gdzieś na wózku, pięćdziesiąt stron bełkotu i nierozwiązywalnych równań. - Skąd wytrzasnęliście te wszystkie wyliczenia? Ten wasz... plan?

- Z Internetu. - Jordan wzrusza ramionami. - Z publicznych baz danych. Ktoś mógł przecież wykraść je NASA. Tak naprawdę w pewnym momencie zaczęliśmy traktować tę robotę jak grę. Jak bardzo niedorzeczna może zrobić się ta operacja? Jak nieprawdopodobny scenariusz łykną? Jak daleko możemy się posunąć? Okazało się, że nie ma takiej granicy, której nie moglibyśmy pokonać. Ludzie uwierzą we wszystko, jeśli tylko tego zapragną.

Rezultat tej gry był taki, jak zaplanowano. Jordan, odgrywając swoją rolę, poinformował Astronautę, że Parry został namierzony i uwolniony - jeden nieistniejący człowiek potwierdził byłemu skazańcowi miejsce pobytu drugiego nieistniejącego człowieka - po czym zdradził, że zaaranżował przerzucenie go do Ohio.

Zadaniem Astronauty miało być zebranie wszystkich pozostałych ludzi na porzuconym posterunku policji w pobliżu lokalnego lotniska i czekanie na dalsze rozkazy.

- I to właśnie zrobił.

- Oczywiście. W tamtym momencie naprawdę uważał, że ratuje świat. Miał się za byłego handlarza narkotykami, który zostanie bohaterem. Ale to my pisaliśmy scenariusz, który kazał jemu i reszcie tkwić pośrodku pustkowia, gdzie nie mogli skrzywdzić nikogo, i czekać na nieistniejącego naukowca, dopóki nie będzie za późno na zrobienie czegokolwiek innego.

* * *

Idziemy z Kesslerem powoli przez las. Na niewielką polankę otoczoną gęstymi krzewami. W miejscu, gdzie znalazłem ciało, wciąż widać czarno-czerwone ślady krwi. Powiedział mi, że chce zobaczyć miejsce zbrodni, zebrać odciski, poszukać innych dowodów. Wyjaśniłem mu, że wszystko zostało załatwione, ale uparł się, że zrobi to raz jeszcze.

Chce zobaczyć to miejsce, więc przychodzimy, ale nie robi tu nic. Agent Kessler stoi po prostu na skraju polany i gapi się w ziemię.

Wszystko jest jasne prócz jednego, choć i to nie wydaje mi się specjalną zagadką.

- Jordan?

- Kessler - przypomina mi półgłosem, wchodząc na polanę.

- O co chodzi, Kessler? Dlaczego się tu pojawiłeś? - Zaciska powieki, potem otwiera je ponownie. - Kessler?

Przykuca, gapi się na błoto w miejscu, gdzie zginęła Nico. Chcę, by to powiedział na głos, mimo że wiem, co usłyszę.

- Dlaczego się tu pojawiłeś, Kessler?

Mówi wolno, cedząc słowa, głos ma zduszony, ledwie go słyszę:

- DeCarlo to maniak. Taki prawdziwy. Jego kartoteka jest pełna opisów naprawdę okrutnych zachowań. Aktów przemocy. Tak reagował, gdy go oszukiwano, zwodzono albo gdy coś szło nie po jego myśli... Wtedy dopuszczał się naprawdę złych rzeczy. - Ten

zarozumiały szczył, którego tak nienawidziłem, zniknął, nie ma też wykonującego zadanie zagniewanego agenta FBI. Kessler to jeszcze dzieciak. Młody cierpiący chłopak. - Zdawaliśmy sobie sprawę, że na koniec będzie zdolny do niewyobrażalnych okrucieństw, jeżeli zdoła się zorientować, że został wystrychnięty na dudka... a nawet jeśli tego nie pojmie. Gdy dotrze do niego, że świat musi zginąć, a on umrze razem z nim. To pieprzony narcyz. Bóg jeden wie, jakie piekło mógł urządzić pozostałym. - Odpływa myślami gdzieś daleko. - Bóg jeden wie.

Przypominam sobie swoją siostrę leżącą w tym miejscu, martwą. Robię to, ponieważ nie umiem się powstrzymać. Nico leży twarzą do ziemi, jej rozcięta szyja upaprana jest błotem.

Bóg jeden wie.

- Nie mogłem... - rzuca Kessler, po czym robi głęboki wdech przez zaciśnięte zęby, zasłania dłońmi twarz. - Wisiało mi, co się stanie z całą resztą tej bandy. Ci durni hipisi zasługiwali na taki koniec. Próbowali wykraść pierdolone główce. Ale nie... - Znow zaczyna płakać, po czym powoli opada na kolana. - Ale nie ona.

Wiem o tym, domyśliłem się w chwili, gdy przykuśtykał pod celę.

- Ty coś do niej czułeś.

Śmieje się przez łzy.

- Tak, ty stary durniu. Ty dziwaku. Coś do niej czułem. Ja ją, kurwa, kochałem.

- Wiesz, że mogłeś ją uratować. Mogłeś jej powiedzieć, żeby tu nie jechała, że to wszystko ściema.

- Zrobiłem to! - Spogląda na mnie wściekle, ale zarazem błagalnie. Jak osierocony desperat. - Opowiedziałem jej o wszystkim. Tego dnia w New Hampshire pod Butler Field, gdy czekała, aż przyleci po nią helikopter. Powiedziałem jej, że to wszystko ustawka, że jestem agentem FBI, że DeCarlo to oszust i psychopata, który jest zdolny do każdej podłości... - Wypluwa jego dawny pseudonim: - Pieprzony Koncern Farmaceutyczny. Pokazałem jej nawet moją zasraną odznakę... - Zawiesza głos. - Ale...

Do cholery, Nico, do cholery!

- Nie uwierzyła ci?

Przytakuje, robi długi wydech.

- Było już za późno. Za bardzo w to wszystko wsiąkła. W tę uludę, którą sam stworzyłem na ich potrzeby. Powiedziałem jej więc: „Uwierzysz, gdy Parry się nie pojawi”. Poprosiłem, by przyrzekła, że jeśli gościu nie przyjedzie na dwa tygodnie przed końcem, ukradnie ten pieprzony helikopter i wróci nim do domu. Kazałem jej to przyrzec. - Znow płacze, kryjąc twarz w dłoniach.

Nie ma mowy, by to zrobiła. Moja siostra nigdy nikomu niczego nie obiecała.

- Nie wróciła, więc ja musiałem tutaj przyjechać. Doszło do tego, że po prostu... nie mogłem przestać myśleć o niej... dlatego próbowałem ją odnaleźć. Nie chciałem, żeby tutaj zginęła... - W końcu wypowiada dokładnie te słowa, o których pomyślałem dziesięć minut wcześniej. - Nie chciałem, by zginęła tutaj nadaremnie.

Żaden z nas nie musi wspominać, że na to było już za późno. Że spóźniliśmy się obaj.

Agent Kessler nie szuka dowodów. Nie zbiera żadnych odcisków. Gapi się po prostu w ziemię, a potem, po dłuższej chwili, odwraca się i rusza w stronę lasu.

3.

Nadchodzi moja kolej. Agent Kessler opowiedział mi swoją historię, teraz w zamian chce usłyszeć, co ja mam do powiedzenia.

Przedzieramy się przez las z miejsca zbrodni na posterunek, przekraczamy pasmo jeżyn, potem przechodzimy przez mostek linowy, sapiąc z wysiłku, dwaj wielokrotnie poranieni i poobijani dwudziestokilkulatkiem, którzy idą przed siebie wolno jak starcy. Wykorzystuję ten czas, aby podsumować raz jeszcze wyniki mojego dochodzenia. Zaczynam od początku: mówię mu o znalezieniu na innej polanie Jean, o późniejszym odkryciu ciała Nico noszącego podobne, choć o wiele poważniejsze obrażenia. Wspominam o naocznym świadku kłótni pomiędzy Nico i Astronautą jakąś godzinę przed jej zgonem. Gadam tak i gadam, a on przerywa mi co jakiś czas, zadając uszczegółowiające pytanie, więc wpadamy w ulubiony przeze mnie rytm policyjnej roboty - wyjawiam szczegóły sprawy, abyśmy mogli wspólnie dojść do jedynych słusznych wniosków.

Gdy trafiamy ponownie na posterunek, Kessler wchodzi na chwilę do sali odpraw, by przyjrzeć się ciału Nico, ja natomiast udaję się do garażu i ostrożnie obchodzę krater pośrodku podłogi. Wygląda na to, że Cortez wykorzystał dany mu czas, by zablokować schody taką ilością gruzu, jaką zdołał zgromadzić - leżą tam wszystkie odłamki rozbitej pokrywy, a do tego masa cegieł i cementowych brył obkutyh ze ścian garażu. Całość wygląda teraz jak wnętrze księżycowego krateru. Na krawędzi tego rumowiska dostrzegam koniec liny. Wyobrażam sobie, co robił mój dawny pomagier po zostawieniu mnie w celi. Ładował pozyskany gruz na płachtę brezentu i ciągnął go pod wejście, aż zgromadzona masa zwała się w głąb wejścia do tunelu jak masy wód Morza Czerwonego, gdy zamknęło się za Mojżeszem.

Cortez wystawiający znak: Zakaz wstępu. Cortez przejmujący podziemia.

- To na pewno nie było samobójstwo - rzuca Kessler, który pojawia się niespodziewanie za moimi plecami.

- Co?

Odchrząkuje, by oczyścić krtań.

- Jeśli chodzi o całą resztę grupy, mogli to zrobić. Wiem, bo ich dobrze znałem. Dali sobie spokój z Parrym, może nawet dotarło do nich, że zostali okpieni. Niewykluczone też, że zrozumieli, że DeCarlo jest psycholem. Ich życie po zderzeniu byłoby krótkie i straszne bez względu na to, czy dysponowałiby bunkrem czy nie. Trucizna wydawała się zatem kuszącą opcją.

Mówi spokojnie, zwięźle, skupiając się na faktach. Robi dokładnie to, co ja zrobiłem po spojrzeniu na to, na co on przed chwilą patrzył: na zastygłą twarz Nico. Na czerwono-czarną jamę ziejącą w jej szyi. On także odgradza ból po stracie żółtą taśmą, topi go w rutynie policyjnej roboty. Podoba mi się takie podejście, czuję, że to mnie również uspokaja.

- Ale Astronauta?... - kontynuuje, kręcąc głową. - Nie ma mowy.

- Sam stwierdziłeś, że to maniak - przypominam. - Powiedziałeś: jest zdolny do wszystkiego.

- To prawda. Do wszystkiego, ale nie do czegoś takiego. Bez trudu namówiłby pozostałych do popełnienia samobójstwa, sam jednak by tego nie zrobił. To narcyz światowej klasy. Miał manię wielkości na astronomiczną skalę. Samobójstwo nie pasuje do jego profilu.

- To już inny świat.

- Ale nie aż tak.

- Niemniej... - zerkam na stos gruzu - ...widziałem go tam. Facet w średnim wieku, gęste czarne włosy, okulary w rogowej oprawie, piwne oczy.

Kessler spogląda na mnie bykiem.

- Kto ci go opisał?

- Miller.

- Kto?

- Pewien amisz. Mój naoczny świadek. Czy w tej grupie mógł być ktoś jeszcze, kto pasowałby do tego opisu?

- Raczej nie - przyznaje Kessler. - Chociaż... Robiliśmy co w naszej mocy, by mieć ich wszystkich na oku, ale rozumiesz, ludzie przychodzili i odchodzili. Jedno za to wiem na pewno: nie ma takiej opcji, żeby Anthony DeCarlo popełnił samobójstwo.

Odwracam się do zasypanych gruzem schodów. Myśl, że pomyliłem się tam, na dole, że dokonałem złej identyfikacji, że człowiek odpowiedzialny za śmierć mojej siostry nadal żyje, uderza we mnie z siłą fali przyływu. Pochylam się bez zastanowienia i odtaczam ze szczytu stosu owalny kamień, a potem kolejny.

- Sądysz zatem, że on jest na dole? - pytam Kesslera.

- Na to liczę. - Dołącza do mnie, klęka i z głośnym jękiem chwyta za kolejny kawał gruzu. - Bo mam ogromną ochotę go zabić.

* * *

Gdy rozkopujemy stos gruzu blokującego zejście do piwnicy, odtaczając na bok jeden kamol po drugim, czuję coraz ostrzejszy ból w ramionach i plecach. Mój umysł wyrywa się z ciała, szybuje na drugi kraniec globu, mknie nad obcymi lądami niczym wędrujący po świecie duch z bajki. Wszędzie widzę ludzi, którzy się modlą, czytają dzieciom, wznoszą toasty i uprawiają miłość, desperacko szukając ukojenia albo satysfakcji w ostatnich godzinach istnienia. A oto i ja, Henry Palace, tkwiący po kolana w stosie gruzu obok obcego mi faceta, z którym przekopujemy się bez ustanku, zagłębiając się w ziemię niczym ślepe krety.

Po oczyszczeniu drogi schodzimy na dół. Wąskie stalowe stopnie uginają się pod nami jak poprzednio. Tym razem ja idę na czele, a agent Kessler podąża za mną.

W piwnicznym korytarzu włączam latarkę i oświetlam nią każdy kąt: wszystko jest takie, jak było - mroczne, zimne i ciche. Betonowa podłoga, betonowe ściany, dziwny chemiczny odór.

Kessler potyka się o coś. Słyszę, jak wokół toczą się kamyki. Odwracam się i nakazuję mu, by był cicho, na co odpowiada podobnym gestem, uciszając mnie. Para obszarpanych stróżów prawa pouczających się wzajemnie w mrocznej norze.

Węszę wokół. Zapach jest taki sam jak przedtem, nic się tutaj nie zmieniło, niemniej wyczuwam, że coś jest inaczej. Coś wisi w powietrzu. Mrok jest niby ten sam, ale cienie jakby inne.

Mijamy kanciapę, oświetlamy latarkami troje drzwi: sypialnię dla kobiet, magazyn i drzwi oznaczone obscenicznym graffiti.

- Gdzie są ciała? - pyta agent Kessler. - Palace?

- Chwila - mamroczę, skupiając wzrok na drzwiach prowadzących do magazynu, które są uchylone co najmniej pod kątem dwudziestu pięciu stopni. Zabezpieczono je w tej pozycji, wsuwając między skrzydło i futrynę jedną ze skrzynek wypełnionych makaronem z serem. Robię krok w tamtym kierunku, unosząc pistolet. Cortez wyraził się jasno: nie zamierzał opuszczać tego pomieszczenia przez co najmniej pół roku od momentu zderzenia. Dopiero wtedy planował wytknąć nos ze swojej nory. Mimo to te drzwi zostały celowo otwarte. Pytanie jak zawsze brzmi: dlaczego?

- Cortez? - rzucam, pozwalając, by mój głos przedostał się do wnętrza magazynu. - Hej, Cortez!

Kessler mamrocze coś w mroku. Odwracam się, pochylam, a on podnosi latarkę, by oświetlić swoją twarz, i szepcze:

- Pieprzyć go.

Ma rację. Pieprzyć go. Kieruję snop światła na drzwi z napisem PANIE, po czym daję znak Kesslerowi, a on potakuje w odpowiedzi i kieruje się ku nim. Zerkam ponownie w stronę magazynu, doświadczając dziwnego lęku, więc ruszam pospiesznie za agentem.

- Boże - słyszę jego głos. - Dobry Boże.

Mijam go, wchodzę do gabinetu figur woskowych. Oddycham bardzo wolno, płytko, by wciągać jak najmniej powietrza przesiąkniętego wonią śmierci. Ciała wyglądają jak porzucone manekiny, leżą bezwładnie niczym stopione świece. Valentine

i Kleszcz połączeni ścisłym dłońmi. Zachwycony w błyszczącej pelerynie. Żeglarka/Alice leżąca pod stołem ze skrzyżowanymi nogami. Wszyscy mają zamknięte oczy, lodowate blade policzki i wciąż otwarte usta, jakby pragnęli wypić więcej trucizny. Jordan porusza się po tym pomieszczeniu jak ja wcześniej, wyłuskując z mroku kolejne fragmenty przerażającej układanki. Mamrocze pod nosem: „Jezu Chryste”, potrząsając z niedowierzaniem głową. Pracownik działu technicznego. Dzieciak.

Otrząsa się jednak z tego wszystkiego prawie natychmiast, szybciej niż ja. Zaczyna identyfikować ciała, wypowiadając znane mi już pseudonimy: Zachwycony, Kleszcz, Valentine, Żeglarka spod stołu, dodaje też nowe, których wcześniej nie słyszałem.

- To Atena - rzuca, wskazując dziewczynę o puciołowatej twarzy, która wygląda, jakby odsuwała się od Zachwyconego. - Asystentka weterynarza z Buffalo. Tak na marginesie, Zachwycony nazywał się naprawdę Seymour Williams. Był praktykantem w kancelarii prawnej w Evanston. Jego ojciec miał sklep odzieżowy.

Blondyn o atletycznej budowie to Zimorodek. Pozostałe kobiety nosiły pseudonimy Atlantyda, Stała i Świetlik. Wielkolud to Panicz, jak podejrzewałem.

- Nie widzę Astronauty - dodaje Kessler.

- Jest tam, dalej - odpowiadam, wchodząc głębiej w mrok. I natykam się w nim na Corteza.

Leży na boku, do połowy skrywają go otwarte drzwi. Prawa ręka spoczywa pod dziwnym kątem na torsie, jakby go przetoczono i porzucono niczym zużyty dywan.

A jego twarz... Oświetlam ją latarką - strzelono mu prosto w usta.

- Palace?

Ruszam z miejsca, gdy tylko dochodzę do pierwszych wniosków, to naprawdę nagłe olśnienie.

Najpierw dociera do mnie to, co jest najbardziej oczywiste: Cortez został zabity w ciągu minionej doby. Mamy więc do czynienia z kolejnym zabójstwem, co znaczy, że morderca wciąż

żyje. A skoro mój dawny partner zablokował za sobą schody, sprawca musi być tutaj, na dole, gdzieś obok nas.

- Palace?

Przykładam palce do szyi Corteza, by upewnić się, że nie żyje, choć tę pewność można zyskać, spoglądając na jego twarz, strzelono mu w nią pociskiem dum-dum, grzybującym, powodującym rozległe obrażenia, w tym wypadku obejmujące całe usta i nos. Biedny Cortez, skonał z odstrzeloną twarzą w pomieszczeniu pełnym ludzi, którzy wypili truciznę. To jakby dostać zaproszenie nie na to przyjęcie co trzeba. Zabawne, jemu z pewnością wydałoby się to zabawne.

- Palace, do cholery - syczy rozzłoszczony Kessler, wyrywając mnie z zamyślenia.

- Tak...

- To nie on.

- Co?

- Tu. Ten facet. - Znajduje się kilka stóp ode mnie, przykucnął, jak ja przedtem, obok zwłok mężczyzny o gęstej czuprynie noszącego okulary. - To jego zidentyfikowałeś jako Astronautę?

- A to nie on?

- Nie.

Kolejny element układanki ląduje na swoim miejscu. Spoglądam w to samo miejsce, na które patrzy teraz Kessler, jego latarka rzuca dziwnie wyglądające halo wokół twarzy otrutego.

- Jesteś pewien?

- Widziałem go przecież - potwierdza agent. - Rozmawiałem z nim.

- To nie on? Piuwe oczy...

- Te nie są aż tak ciemne jak jego.

- To chyba oczywiste, że nie są, przecież nie żyje...

- Jego były bardziej orzechowe.

- Teraz na pewno takie nie są.

- Palace, mówię ci, to nie on.

Szepczemy spiętymi głosami, gdy naraz ciszę panującą w podziemiach rozdziera odgłos strzału. Moment później

rozlegają się krzyki – może nawet więcej niż jednej osoby, więc rzucamy się jednocześnie w stronę drzwi i grzęźniemy w nich na chwilę jak aktorzy w komediach slapstickowych próbujący sforsować jednocześnie wąskie przejście, ale udaje nam się to i wypadamy w końcu na zewnątrz, najpierw ja, tuż za mną Kessler, i gnamy przez korytarz w kierunku źródła hałasów.

Dostrzegam ich oboje w oświetlonej dobrze sypialni dla mężczyzn, tej oznaczonej graffiti, której drzwi stoją teraz otworem. Zamarli naprzeciw siebie w ciasnym pomieszczeniu. Jean z rewolwerem w obu drobnych dłoniach wycelowanym w brzuch przeciwnika. Astronauta, czyli Anthony Wayne DeCarlo, znany także jako Koncern Farmaceutyczny, ubrany jedynie w szlafrok, niezważający na nagość, na kobietę mierzącą do niego, niezważający na nic.

To pomieszczenie ma rozmiary przeciętnej kuchni w bloku mieszkalnym. Oświetlają je neonowe lampki, jakby to był bar, pełno tu sprzętu do robienia narkotyków, wokół widzę puste retorty, jakieś fiolki, długie zakręcone rury, jeden z palników Bunsena jest zapalony, bulgocze na nim coś cuchnącego, drugi nie działa.

W prawej ręce Astronauta trzyma pistolet, własny, ten, z którego zastrzelił Corteza. Wielki antyczny rewolwer z długą lufą, który został naładowany pozbawionymi płaszcza nabojami domowej roboty. Pas, jak widzę, spoczywa na jego spodniach, brudnych lewisach, które leżą rzucone w kąt. Tkwi w nim jednak tylko młotek ciesielski.

- Opuśćcie natychmiast broń! - rozkazuję, ale żadne mnie nie słucha.

Robię więc krok do przodu, wchodząc za próg i blokując Kesslera. Słyszę, jak dyszy, on także trzyma broń gotową do strzału, próbuje zajrzeć do sypialni zza mojego ramienia. Astronauta ziewa długim leniwym jaszczurczym ziewnięciem.

Jean drży, chwieje się. Wydawać by się mogło, że jej struktura atomowa uległa rozluźnieniu, jest teraz jak odrzutowiec, który

leciał zbyt szybko, pokonując kolejne bariery, a my właśnie obserwujemy, jak zaczyna się rozpadać.

- Rzućcie broń - próbuję raz jeszcze. - Rzućcie ją, u licha!

Jean nie spuszcza wzroku z Astronauty, ale odpowiada mi, syczy, jakbyśmy znajdowali się w bibliotece, a ona upominała mnie z powodu zbyt głośnego zachowania. DeCarlo wybucha śmiechem, potem puszcza do mnie oko, też po gadziemu. Jak na kogoś, kto zaszył się tutaj, by palić crack, metę czy co on tam gotuje w tym zaawansowanym laboratorium, wydaje się zaskakująco spokojny, ręka mu nawet nie drgnie, choć trzyma ją cały czas uniesioną, jakby chciał powiedzieć: wiem, że dysponujesz bronią, którą możesz mnie skrzywdzić, ale i tak mam to gdzieś.

Całe to pomieszczenie cuchnie chlorowodorkami, amoniakiem, paloną solą. Z głębi dociera pomruk pracującego gazowego generatora, dzięki któremu mamy te neonowe światełka: logo znanych browarów, barwną postać Kapitana Morgana, sznury choinkowych lampek. Upchnięto tu także fotel, który widział wcześniej Cortez, do tego rozkładaną sofę i paskudną lampę. Odnoszę wrażenie, że facet odtworzył tutaj, pod ziemią, swoją norę, jesteśmy w terrarium dla ludzkiego ścierwa.

Wodzę wzrokiem od niej do niego i z powrotem, dokonując pospiesznych obliczeń, próbując rozgryźć, co tu się wydarzyło, jakbym przewijał film.

Cortez zajrzał do tego pomieszczenia wczoraj i zobaczył leżącego w fotelu faceta z wywróconymi oczami i wyciągniętymi nogami, więc natychmiast założył, że ma do czynienia z trupem, ale Astronauta żył, był po prostu naćpany, odjechał, szprycując się przez tydzień własnym towarem. Gotował i zużywał, wdychał opary, szczęśliwy jak świnia przy korycie w tej jednoosobowej melinie. W pewnym momencie zdołał jednak oprzytomnieć, wrócił do życia, rozejrzał się po swojej podziemnej domenie i zobaczył Corteza klęczącego przed makaronem z serem, więc strzelił mu prosto w twarz.

Wracam do terazniejszości. Koniec tej opowieści mam przed oczami – poprawka: ona nadal trwa – Jean robi krok do przodu z uniesioną bronią, gotowa zabić DeCarla, robi dokładnie to, co chciała zrobić wczoraj, gdy pytała, czy może zejść na dół z nami.

- Ty potworze – szepcze, ale on nie zwraca na to uwagi i odpowiada radosnym tonem:

- Udało ci się! – mówi, jakby był z niej dumny. Jakby zaliczyła strike'a w kręgle. – Wróciłaś! Jestem z ciebie taki dumny, dziecino.

- Nie, nie jesteś – odpowiada mu ostro.

- Ależ jestem, siostrzyczko.

- Przestań.

- Dobra, już się zamykam – rzuca, lecz uśmiecha się do niej, oblizuje lubieżnie wargi. – Już przestaję. Ale to nie zmienia faktu, że jestem z ciebie dumny.

- Ty kłamco.

Patrzę na niego, pogardliwie uśmiechniętego i nagiego. Kłamstwo to najmniejsze przewinienie, które można mu zarzucić. Zabił ich wszystkich, nie tylko Corteza i Nico. Nie było żadnego klubu samobójców – otruł większość z nich. To był jego plan B. Tylko dla niego samego.

Jean nie może do niego strzelić, wciąż próbuje się przełamać, wciąż brakuje jej odwagi. DeCarlo opuszcza rękę, w której nie trzyma broni, by podrapać się po tyłku. Czuje się swobodnie, jest w swoim żywiole, nadal pod wpływem narkotyku. Ja natomiast próbuję ogarnąć wszystkie szczegóły, myślę najszybciej jak umiem. Z czego miałyby być dumny? To kłamstwo – nazwała go przecież kłamcą – tylko na czym polegało?

Jest już gotowa: bez względu na to, jak czarujący potwór przed nią stoi, Jean zaraz pociągnie za spust. Próbował ją zabić, więc teraz mu się zrewanżuje, zastrzeli go i pośle do grobu ze wszystkimi odpowiedziami, których potrzebuję.

- Jean... – zaczynam, lecz ona mnie nawet nie słyszy.

- Spójrz na mnie – rzuca do Astronauty, wodząc palcem po opatrunku wzdłuż rany, jak robiła przedtem, gdy ją

przesłuchiwałem. – Patrz!

– Wyglądasz prześlicznie, siostrzyczko – zapewnia ją. – Wyglądasz wspaniale.

– Zobacz, co mi zrobiłeś.

Zerkam przez ramię na agenta Kesslera i widzę, że jest równie skołowany tym dialogiem jak ja, ale mogę także powiedzieć, że nie dba o to, w jego przypadku szczegóły są już nieistotne. Wie, że to Astronauta zabił Nico, którą Kessler kochał, więc unosi własną broń, próbując mnie ominąć, by mieć czyste pole do oddania strzału, mimo że nadal mówię do Jean ostrym tonem, pragnąc zwrócić na siebie jej uwagę i powstrzymać ją od pociągnięcia za spust.

Wszyscy muszą wziąć na wstrzymanie. My wszyscy musimy wziąć na wstrzymanie, ponieważ nie wiem jeszcze, dlaczego zginęła Nico. Nie wiem, dlaczego Astronauta ścigał moją siostrę, poderżnął jej gardło i zostawił ją, dławiącą się własną krwią, by zmarła samotnie, taplając się w błocie.

– Panie DeCarlo – mówię. – Dlaczego zabił pan Nico Palace?

– Nie wiem, o kim mówisz.

– Dlaczego zabił pan dziewczynę noszącą pseudonim Izyda?

– Wybacz, bracie, ale nic mi to nie mówi.

Parska śmiechem, widzę, że Jean mruży gniewnie oczy, słyszę za plecami coraz szybsze sapanie Kesslera. Astronauta uśmiecha się do dziewczyny wyzywająco, nikczemność emanuje z niego nadal, choć stoi w niewielkim pomieszczeniu otoczony ludźmi, którzy pragną go zabić. Czuję rękojeść pistoletu w dłoni, nóż zatknięty za pas, czuję, że sama Ziemia domaga się śmierci tego człowieka, truciciela, skazańca i złodzieja, ale wiem także, że nikt z nas nie może w tym momencie zginąć. Potrzebuję zawieszenia, chciałbym zatrzymać upływ czasu do chwili, gdy uda mi się wydobyć ostatnią cząstkę prawdy z tego cuchnącego kwasem pokoju.

– Nico powiedziała panu, że nie zgadza się na zejście pod ziemię, panie DeCarlo – kontynuuję. – Odeszła, nie stanowiła dla pana żadnego zagrożenia, nie musiałby pan dzielić się z nią przestrzenią, wodą i narkotykami.

- Ani sosem do spaghetti - uzupełnia, chichocząc. - Nie zapominaj o moim sosie do spaghetti.

- Dlaczego pan ją zabił, panie DeCarlo?

- Szlag, gościu, to pytanie natury filozoficznej - odpowiada. - Dlaczego ktoś zabija kogoś innego? Zgadza się, siostrzyczko?

Dłoń Jane znów dotyka rany, a ja dostrzegam w złowrogim spojrzeniu tego zbira przebłysk prawdy, zauważam go także na drobnej twarzy Azjatki. Nadal próbuję sobie to wszystko poukładać, gdy stojący za moimi plecami Kessler rzuca:

- Dość tego.

Przepycha się obok mnie, wchodzi za próg, a Astronauta mruży oczy, rozpoznając jego twarz.

- Hej... - rzuca. - Jordan?

- Prawdę powiedziawszy, agent Kessler, ty chuju.

- Agent? No, no - odpowiada DeCarlo, przyklękając błyskawicznie i wypalając prosto w pierś Kesslera, którego siła trafienia odrzuca w tył, na ścianę.

- A niech to! - krzyczę, potem dodaję: - Nie! - ponieważ Jean także otwiera ogień, pociąga za spust, ale chyba o milę, wystarcza jednak iskra skrzęsana o ścianę przy rykoszecie, by przesycone chemikaliami powietrze eksplodowało.

* * *

Na długą minutę świat przeistacza się w płynny ogień. Słyszę trzask eksplodujących butli, czuję smród spalenizny, powietrze płonie, ja płonę i Kessler też. Otaczają nas błękitne i żółte płomienie, staram się je ugasić, dusząc ogień własnymi rękami, ale stojący w głębi pomieszczenia przesiąknięty chemikaliami Astronauta płonie już jak pochodnia. Zanim zdąży zareagować, zamienia się w kolumnę buzującego ognia.

Wyciągam Kesslera na zewnątrz kilkoma ciężkimi zrywami, osłaniam go własnym ciałem, dopóki pełgające po nas płomienie nie zostają ugasszone.

Na szczęście paliły się głównie nasze ubrania, rzeczy Kesslera są w znacznie gorszym stanie niż moje, lecz prawdziwym problemem

jest dziura w jego klatce piersiowej, z otworu wlotowego średnicy piłki golfowej tryska krew, więc pochylam się nad nim w korytarzu, nie bacząc na bijący z płonącego pomieszczenia żar i smród, przyciskam obie dłonie do jego torsu, ale choć robię co w mojej mocy, krew i tak przecieka mi między palcami.

- Zostaw - mamrocze ledwie zrozumiale, spoglądając na mnie. - Proszę.

Przy każdym słowie z jego ust wydobywają się krwawe bąbelki, podświetlane przez płonący za moimi plecami ogień wydają się czarne jak smoła.

- Nic nie mów - proszę. - Spróbuję mocniej uciskać ranę.

Pochylam się bardziej, kładę jedną rękę na drugiej, napieram na jego pierś całym ciężarem.

- Nie uciskaj rany. - Chwyta mnie za przeguby z zaskakującą siłą, odpycha mnie. - Przestań.

- Nie ruszaj się i nic nie mów - rzucam. - Zatomuję krwawienie.

- Wykrwawię się i umrę.

- Niekoniecznie.

- Chcę się wykrwawić i umrzeć, Palace! To lepsze od jakiegoś pierdolonego tsunami czy co tam nas wybije. - Śmieje się, kaszle, krew pryska wokół. - To najlepszy z możliwych scenariuszy.

Nie podoba mi się pomysł zostawienia go tutaj na pewną śmierć. Potrząsam głową.

- Jesteś pewien?

- Tak, Boże, tak. Dopadliśmy tego potwora?

- Jeszcze nie.

- Zatem idź, załatw go.

- Raczej ją.

- Co?

Drzwi za moimi plecami są otwarte, widzę za nimi topiące się w upiornym żarze ciało Astronauty, ale to nie ma teraz większego znaczenia, liczy się tylko Jean, która przemyka gdzieś na peryferiach pola widzenia, mając nadzieję, że jej nie zauważę, myli się jednak, i to bardzo.

4.

Nie mogę powiedzieć dlaczego, ale czuję, że to ważne. Chcę poznać resztę tej historii, usłyszeć wyznanie, poskładać wszystko w spójną całość. Rozwiązanie sprawy morderstwa nie jest przysługą robioną ofierze, ponieważ ona jest już martwa. Znalezienie sprawcy przysłuży się społeczności, pozwoli bowiem przywrócić moralny ład zakłócony strzałem z pistoletu, ciosem zadany nożem czy też użyciem trucizny, a przede wszystkim uświadomi wszystkim, zwłaszcza chętnym do łamania prawa, że taki czyn nie ujdzie nikomu bezkarnie. Problem jednak w tym, że społeczeństwo już nie istnieje. Obecna cywilizacja to płonące miasta, przerażone zwierzęta kłębiące się wokół silosów ze zbożem, stworzenia zabijające się w sklepach o ostatnią paczkę pringlesów. Tak czy inaczej, zamierzam doprowadzić tę sprawę do końca, dlatego gnam przez mrok w stronę schodów, ścigając wątlutką Jean.

Nie wołam, by się zatrzymała, ponieważ wiem, że tego nie zrobi. Nie krzyczę: „Policja!”, ponieważ nie jestem już gliniarzem. Przestałem nim być dawno temu. Wsłuchuję się w tupot jej drobnych stóp, słyszę, jak metalowe stopnie dźwięczą, gdy próbuje się wydostać po nich na światło dnia. Gnam korytarzem, ścigając ją, pokonuję po kilka wąskich stopni, aby dokończyć układanie tej łamigłówki, podążam za Jean ku cieniom zalegającym na powierzchni.

Zobacz, do czego mnie zmusiłaś...

Stawiam nogę na kupce gruzu, która pozostała na ostatnim stopniu, wynurzam się z mroku, wpadam do garażu i pomimo grozy sytuacji, pomimo tego, że ścigam Jean, ponieważ dyszę żądzą poznania całej prawdy, odczuwam także ogromną ulgę, iż wydostałem się w końcu z tego bunkra, z tej krypty.

Wynurzam się z podziemi, łykając powietrze i chłonąc blask słońca z taką łapczywością, jakbym był nurkiem opuszczającym głębiny.

Przebiegam przez trzystanowiskowy garaż, omijając skrzynie i regały. Trafiam do korytarza i znów widzę przed sobą Jean, jest tylko kilka kroków przede mną, w tym samym miejscu, w którym rozpocząłem dochodzenie, w korytarzu oznaczonym krwią należącą do mojej siostry i do niej. Jeden ślad wiodący na zewnątrz, drugi w przeciwnym kierunku.

Muszę ją zatrzymać... Muszę...

Jestem o wiele szybszy od niej. Napędza ją desperacja, ale ja mam przewagę wzrostu i bardzo długie nogi, a poza tym mnie także nie brakuje determinacji. Ledwie szklane drzwi posterunku zamkną się za jej plecami, ja już za nie pociągam, moment później skaczę i chwytam ją za nogę, powalam w trawę i błoto. Zanim zdąży przetoczyć się na plecy, staję nad nią z bronią w dłoniach: w jednej dzierżę pistolet, w drugiej nóż.

- Proszę - mówi, drżąc na całym ciele i składając dłonie jak do modlitwy. - Proszę.

Spoglądam na nią z góry. Otacza nas gęsta roślinność, zieleń lśni w świetle dnia. Jesienny wiatr tarmosi mi włosy, szarpie rękawy koszuli.

- Zrób to szybko, proszę - dodaje, zniżając głos.

Zakłada, że zamierzam ją zabić. To jednak nie jest moim celem, ale nie poinformuję jej o tym, przynajmniej na razie. Ona mnie nie obchodzi, lecz nie mówię tego, stoję nad nią z rzeźnickim nożem i sig-sauerem, tak by mieć pewność, że je widzi. Chcę, żeby dostrzegła także obojętność w moim spojrzeniu.

- Mów!... - żądam tonem równie obojętnym jak lodowatym.

Flagi łopoczą na wietrze, mocujące je kable uderzają rytmicznie o metal.

- Zabiłam ją.

- To już wiem.

- Przykro mi.

- To też wiem - dodaję, co ma znaczyć, że jest mi to obojętne.

Nie przyszedłem tutaj, by wylewać żale. Chcę odpowiedzi, aż się trzęsę od tej żądz, pistolet drży w mojej dłoni. Ona sądzi, że zadżgam ją tutaj, gdzie upadła, uważa, iż wpadłem w morderczy szal i pragnę wyłącznie krwi. Myli się jednak. Nie chcę zemsty. To najtańsza z motywacji. Odpowiedzi – to wszystko, na czym naprawdę mi zależy.

- On cię do tego nakłonił?

Słowo „tak” wydobywa się z jej ust tak szybko i cicho jak westchnienie.

- Jak to zrobił, Jean?

- Ja... – Przymyka oczy, dyszy ciężko. – Nie mogę.

- Jean! – Dość się wycierpiała. Jestem tego świadom. Ale czy my wszyscy nie przeszliśmy zbyt wiele? – Jak? Kiedy?

- Jak tylko... – Zaczyna drzeć na całym ciele, odwraca głowę, przykucam więc, chwytam ją za brodę i zmuszam, by patrzyła na mnie.

- Jak tylko zesłicie pod ziemię? – Przytakuje, potwierdza. – Pomiędzy szesnastą trzydzieści a siedemnastą trzydzieści w minioną środę. Powiedzmy, że o siedemnastej. Godzina piąta dwudziestego szóstego września. Co się wtedy wydarzyło?

- Powiedział, że urządzimy sobie na dole imprezę, aby uczcić początek nowego życia. Nie możemy się smucić, tak mówił. To będzie nowe życie, nowe czasy. Nie zdążyliśmy się nawet rozpakować, wiesz, ani rozejrzeć po tych podziemiach. Zwołał nas, jak tylko zesłiliśmy pod ziemię.

- W pomieszczeniu oznaczonym napisem PANIE?

- Tak.

Potaknięcie i jeszcze jedno. Nie chcę, by wpadła w taki sam stupor jak wtedy w celi aresztu, by zamknęła się jak kapsuła ratunkowa wystrzelona ze statku matki. Nie odsuwam się, cały czas patrzę jej w oczy.

- Nie wydało ci się to dziwne? Robienie imprezy w takim momencie?

- Nie, skąd. Poczułam ulgę. Miałam już dość czekania, a Parry, to znaczy Rozwiązanie, się nie pojawił. Nasz plan nie zadziałał.

W tym momencie wszyscy już to wiedzieliśmy. Nadszedł więc czas na plan B. Ucieszyło mnie to, Astronautę też. Nalał wszystkim po miarce. Zaproponował toast. - Uśmiech przemyka jej po twarzy, śladowy podziw dla dawnego przywódcy, i niemal natychmiast znika. - Potem jednak zaczął przemawiać. Mówił o lojalności. O tym, że utraciliśmy dyscyplinę. Że najgorsze jeszcze się nie zaczęło. Twierdził, że zachowywaliśmy się jak durnie wtedy na górze, gdy czekaliśmy. Zarzucał nam, że jesteśmy słabi. Wymalował to graffiti na ścianie.

Słucham jej. Jestem tam, na dole, razem z nimi, przyglądam się jego twarzy wyrażającej gniew, patrzę, jak na betonie pojawia się napis: DOŚĆ TEGO GÓWNA.

- Potem zaczął mówić o Nico. Spójrzcie, kogo nie ma tu razem z nami, tak powiedział. Spójrzcie, kto nas porzucił. Spójrzcie, kto nas zdradził.

Kessler miał rację co do DeCarla. Rozpracował go bezbłędnie. Samobójstwo nie pasowało do jego profilu, ale manipulowanie ludźmi jak najbardziej. Okrutne gierki. Testy lojalności. I narkotyki, rzecz jasna. Koncern Farmaceutyczny i jego umiejętność sprokurowania każdego świństwa. Zaplanował pozbycie się wszystkich tymczasowych współpracowników, wprowadzał już swój plan w życie, nalewając każdemu doprawionej przez siebie herbaty, ale najpierw zamierzał się zabawić.

- Mów dalej, proszę.

Jean spogląda na mnie bezradnie, błagalnie. Chciałaby zakończyć tę rozmowę, jest gotowa na wiele, by nie mówić dalej. Chce jedynie spocząć tutaj w pokoju, jak agent Kessler, i doczekać końca.

Oczami wyobraźni widzę siebie, jakąś formę mnie samego, która zrywa się i biegnie, by przynieść jej koc, podnieść ją, napoić, ochronić. Młoda dziewczyna, dopiero co tak potwornie skrzywdzona, kuli się przede mną na trawniku. Nie robię jednak nic, stoję nad nią z bronią w dłoni i czekam, aż zacznie mówić.

- A teraz reszta. Mów, co było dalej.

- On... no, spojrzał na mnie. Na mnie. Powiedział, że ja z nich wszystkich byłam najgorsza. Najśłabsza. Potem poinstruował mnie, co mam... co muszę zrobić, aby zasłużyć na miejsce pod ziemią. - Krzywi się mocno, twarz jej tężeje. Dławi się tymi słowami, jakby wypluwała kamienie, ale wydusza je z siebie jedno po drugim. - Odparłam, że nie mogę tego zrobić, więc rzucił: „W takim razie żegnam, powodzenia na górze. Będziemy szczęśliwi, mogąc podzielić się twoim przydziałem wody, siostrzyczko. Zjeść należne ci żarcie”. - Zamyka oczy, widzę łzy ściekające jej po policzkach. - Spojrzałam na pozostałych, szukając u nich wsparcia albo... litości...

Wbija wzrok w ziemię. Nie znalazła wsparcia ani tym bardziej litości. Pozostali byli równie wystraszeni jak ona: Kleszcz, Valentine, Panicz, jej dawna psiapsiółka Żeglarka i Zachwycony. Wszyscy się bali, przywódca trzymał ich żelazną ręką. Na tydzień przed zderzeniem zdali sobie nagle sprawę, jak bardzo są odizolowani, ich świat zaczął się nagle zawężać jak ten otwór otoczony czernią na końcu kreskówek „Looney Tunes”. Przywódca i mentor odarł rzeczywistość ze wszystkich masek, uświadomił im, jak okrutne jest to, co zostało.

Zatem Astronauta każe Jean się zbierać, mówi: „Wstań i idź”, a ona to robi, wychodzi - opowiadając mi o tym, zaczyna topnieć. Nagle przypomina sobie o wszystkim, wizja zabójstwa wyłania się z mgły niepamięci i to ją dobija. Widzę to wyraźnie. Każde zdanie, które wypowiada, zadaje jej kolejną ranę. Każde słowo.

- Kochałam Nico. Była moją przyjaciółką. Ale gdy szłam tymi schodami na górę, mój umysł stał się nagle taki... pusty. Słyszałam głosy, jakieś dziwne krzyki, coś jakby chichoty?

- Miałaś omamy - wtrącam. - Naćpał cię.

Potakuje. Już się tego domyśliła, tak przynajmniej sędzę. Dziwne głosy i mrok to zasługa czegoś, co zostało dosypane jej do herbaty. Astronauta zrobił to dla zabawy. To była jego gra, jego osobisty apokaliptyczny prima aprilis. Zważywszy na przedawkowanie i luki w pamięci, mamy do czynienia z jakimś halucynogenem, być może z jakimś środkiem anestetycznym,

z PCP może albo z ketaminą. Nie mogę tego jednak stwierdzić z całkowitą pewnością, to nie moja specjalność. Gdyby to coś dało, pobrałbym jej krew do analizy, aby wykryto ostatnie molekuly tego świństwa wciąż krążące w jej żyłach. Wyślijcie to do laboratorium, chłopcy!

Reszta miała o wiele gorzej, co też jest oczywiste. Tak wyglądał prawdziwy plan B Astronauty. Zapasy wody i żywności były ograniczone, jak wszystko inne, więc nie zamierzał dzielić się nimi z całą resztą. Nie było takiej opcji.

Mamy zatem Jean, która wychodzi z podziemi z ząbkowanym nożem Astronauty, ponieważ wskazano jej cel i podano cenę przetrwania. Surfuje przez mrok przepełniona wywołanymi chemią strasznymi wizjami. Szuka Nico.

- Wiesz? - Spogląda na mnie z nadzieją w oczach, dostrzegam w nich nawet iskierkę radości. - Wiesz, co sobie przypomniałam? Pomyślałam wtedy, że może ona już sobie poszła. Powiedziała mi przecież, że zamierza odejść, powiedziała mi to na schodach. A ja przesiedziałam pod ziemią na tym przyjęciu, wliczając w to wszystkie przemowy, czy ja wiem... z pół godziny? Usadził nas, potem zaczął gadać, a to trochę trwało. Gdyby odeszła, byłoby po sprawie. Pamiętam, że o tym myślałam.

Ja też o tym myślę. To pasuje do ułożonego w głowie harmonogramu zdarzeń.

- Niestety trafiłam na nią. Była nadal na posterunku - dodaje Jean. - Dlaczego sobie jeszcze nie poszła?

- Słodczyce - podpowiadam.

- Co?

- Wybierała się w długą i trudną podróż, więc gromadziła każdą żywność, jaką zdołała znaleźć.

Straciła masę czasu na opróżnienie tego automatu, na podparcie klapy widelcem, znalezienie wieszaka, wsunięcie ręki do środka i opróżnienie podajników. To wszystko kosztowało ją czas i utratę życia.

- Więc się na nią rzuciłaś?

- Tak sędzę.

- Sądysz?

- Nie pamiętam tego.

- Nie pamiętasz, jak ją zaatakowałaś? Ani tego, jak z tobą walczyła?

Unosi dłonie do twarzy, dotyka ostrożnie zadrapań i opuchlizny.

- Nie.

- Nie pamiętasz, co się działo w lesie?

- Nie. - Teraz znów drży.

Pochyliam się nad nią z nożem i pistoletem w dłoniach.

- A co pamiętasz, Jean?

Pamięta to, co działo się później. Na przykład jak biegła w kierunku garażu, a po dotarciu na miejsce zobaczyła, że płyta jest opuszczona. I to, że zrozumiała, pomimo otumanienia i przerażenia, co to znaczy. Że to wszystko było jakimś durnym żartem. Że on od samego początku wiedział, iż nie zdoła wrócić na czas, ponieważ Atlee Miller już szedł, by zamknąć wejście, ponieważ tak to sobie ustalili.

Potem był już tylko zlewozmywak. Tylko zlewozmywak i nóż oraz świadomość, co zrobiła, a co gorsze, że zabiła na darmo - na darmo! - więc poderznęła sobie gardło, jak zrobiła wcześniej z Nico. Wbiła nóż tak głęboko, jak się dało, pociągnęła, a gdy krew zaczęła tryskać, uciekła z wrzaskiem, krwawiąc, pobiegła do lasu.

Tak to mniej więcej wyglądało.

- To już wszystko - dodaje, drżąc na ziemi z twarzą wykrzywioną grymasem bólu.

Ja natomiast przechadzam się w kółko tam i z powrotem. „To wszystko”, zapewnia mnie, lecz ja wiem, że musi być coś jeszcze, po prostu musi być. Wciąż brakuje kilku części układanki. Dla przykładu powinien istnieć powód, dla którego poderznięcie sobie gardła wydało jej się logiczne. Czy wmówił jej to Astronauta czy może improwizowała, szukając najbardziej efektywnego sposobu na skończenie ze sobą? Nakazano jej także przynieść coś na dół. Skoro miała zyskać prawo do pozostania w bunkrze, zabijając Nico, powinna przedstawić jakiś dowód, że to zrobiła.

Klękam w błocie, odkładam broń i chwytam ją za ramiona.

- Mam jeszcze kilka pytań - mówię, a w zasadzie wykrzykuję, wrzeszczę.

- Nie - jęczy. - Proszę.

- Tak.

Muszę je zadać, ponieważ nie wiedząc wszystkiego, nie będę w stanie rozwiązać sprawy, a koniec świata nie może nastąpić, jeśli jej nie rozwiążę, tak to właśnie wygląda, więc zaciskam ręce mocniej i żądam, by sobie to przypomniała.

- Musimy wrócić do lasu, Jean. W tamto miejsce.

- Nie - powtarza. - Błagam...

- Tak, Jean. Panno Wong. Znalazłaś ją na zewnątrz budynku. Zdziwiła się, gdy cię zobaczyła?

- Tak. Nie. Nie pamiętam.

- Spróbuj sobie przypomnieć, proszę. Czy jest zaskoczona?

Potakuje.

- Tak. Proszę, przestań.

- Czy w tej chwili masz w ręku nóż?

- Nie pamiętam.

- Ścigasz ją...

- Tak mi się wydaje.

- Nie zgaduj. Czy ścigałaś ją przez las? Nad tym strumieniem?

- Proszę... Błagam, przestań.

Jej przerażone spojrzenie krzyżuje się z moim i to działa. Wiem, że widzi to znowu, jest tam, udało mi się, uzyskam informacje, których potrzebuję, jest znów w lesie, z nożem w dłoni, Nico szarpie się, leżąc pod nią. A gdzie ja wtedy byłem? Nie tutaj, dopiero zbliżaliśmy się do Rotary, ponieważ podróż zajęła mi zbyt wiele czasu, a powinienem był zdążyć, by ją uratować, lecz nie dałem rady i to mnie pali, och, jak bardzo mnie pali, nawet od wewnątrz. Muszę dowiedzieć się więcej, muszę wiedzieć wszystko.

- Czy błagała cię o darowanie życia?

- Nie pamiętam.

- Czy błagała, Jean?

Nie może mówić, ale kiwa głową, potakuje, łkając, szarpiąc się w moim chwycie.

- Czy krzyczała?

Potakiwanie, bezradne potakiwanie.

- Błagała, żebyś przestała, ale ty tego nie zrobiłaś?

- Proszę...

- Muszę wiedzieć więcej.

- Nie - odpowiada hardo - nie musisz, prawda? Nie musisz. Tak naprawdę nie chcesz tego wiedzieć.

Głos jej się zmienia, jest wysoki, błagalny, jak u dziecka, jak u szkraba, który błaga, by nie kazano mu robić czegoś nieprzyjemnego. Czy naprawdę muszę iść do tego lekarza? Nie muszę brać dzisiaj kąpieli, prawda? Jean i ja zamieramy na chwilę w błocie, ja siedzę na niej okrakiem, trzymam ją za ramiona i nagle dociera do mnie, gdzie zabrnąłem. Asteroida zrobiła z nią to, co chciała, Astronauta zrobił z nią to, co chciał, a teraz przyszła kolej na mnie, na jej ostatni i najgorszy koszmar, który zmusza ją, by ponownie spojrzeć w mrok, by brodziła w nim, ponieważ liczy się każdy szczegół, a przecież to tak naprawdę nie ma już najmniejszego znaczenia.

Puszczam ją, więc odwraca głowę, wydając z siebie tak przenikliwy jęk, jakby była zwierzęciem prowadzonym na rzeź.

- Jean - szepczę. - Jean, Jean, Jean.

Powtarzam jej imię, dopóki nie przestanie zawodzić. Wypowiadam je łagodnym tonem przechodzącym z wolna w szept.

- Jean, Jean, Jean. - Kojący szmer, tylko słowo. - Jean.

Padam na ziemię obok niej.

- Kiedy rodzice dali ci tę bransoletkę?

- Jaką...

Jej prawa dłoń sięga do lewego nadgarstka, muska palcami tanie świecidełko.

- Podczas pierwszej rozmowy powiedziałaś mi, że to prezent od rodziców. Dali ci ją na urodziny?

- Nie - kręci głową. - Dostałam ją z okazji pierwszej komunii.

- Naprawdę? - Uśmiecham się. Siadam, chwytam się dłońmi za kolana, by utrzymać równowagę. - Ile lat wtedy miałaś?
- Siedem - mówi. - Miałam siedem lat. Byli ze mnie tacy dumni.
- O tak, jestem tego pewien.

Siedzimy tam, w błocie pośrodku trawnika, a ona opowiada mi o wszystkim, przedstawia pełen obraz: monumentalną nawę u Marii Panny w Lansing, światła tańczące na świecach wotywnych, ciepłe pienia chóru. Zapamiętała naprawdę wiele z tamtej chwili, zważywszy na to, jak była młoda i jak wiele wydarzyło się od tamtego czasu. Potem ja opowiadam jej kilka moich historyjek z czasów młodości, o tym, jak rodzice zabierali nas w soboty wieczorem na koktajle do Dairy Queen, jak chadzałem po szkole do 7-Eleven po komiksy z Batmanem, jak jeździłem z Nico na rowerach wokół White Parku, jak uczyła się jeździć i za diabła nie chciała potem zsiąść, więc robiliśmy kółko za kółkiem...

Epilog

Środa, 3 października

Rektascensja 15 51 56,6

Deklinacja -77 57 48

Elongacja 72,4

Delta 0,008 j.a.

Uwielbiam jedno wspomnienie. Jesteśmy w nim ja i Naomi Eddes jakieś pół roku temu mniej więcej. To ostatni wtorek marca.

- Wiesz, muszę ci wyznać - zagaja do mnie zza stolika, trzymając pałeczkami maleńki kawałek brokułu - że nieźle mnie oczarowałeś.

Jemy u Pana Chow. To nasza pierwsza i zarazem ostatnia randka. Ona ma na sobie czerwoną sukienkę z czarnymi guzikami na przodzie.

- Oczarowałem? - odpowiadam rozbawiony, troszeczkę siebie kpię ze staromodnego wyrażenia, którego użyła, choć prawdę powiedziawszy, jest dla mnie poetyckie i urocze do tego stopnia, że zakochuję się w niej tam, przy tym brudnym stoliku, pod migającym neonem głoszącym: „Chow! Chow!”. - A niby dlaczego czujesz się przeze mnie oczarowana?

- No wiesz. Jesteś taki wysoki, więc widzisz wszystko pod dziwnym kątem. Poza tym mówię serio, masz jakiś cel. Wiesz, o co mi chodzi?

- Tak - przyznaję. - Chyba wiem.

Odnosi się do tematu naszej wcześniejszej wieczornej rozmowy o moich rodzicach, o tym, że moją matkę zamordowano na parkingu centrum handlowego, a ojciec powiesił się we własnym gabinecie pół roku później. O tym, że moja późniejsza kariera, co zasugerowała żartobliwym tonem, przypomina historię Batmana, ponieważ udało mi się przekształcić żal w poczucie życiowej misji.

Niepokoi mnie jednak taką perspektywą spojrzenia na bieg wydarzeń, o czym nie omieszkać jej wspomnieć.

- Nie lubię myśleć o tym, że ich śmierć miałyby służyć jakiemuś celowi, ponieważ to sprawia, że utrata rodziców staje się czymś w gruncie rzeczy pozytywnym. Dobrym w tym sensie, że uporządkowała moje życie, ale to nie było nic dobrego. To przecież zło w najczystszej postaci.

- Wiem - przyznaje Naomi. - Wiem, że to było złe.

Marszczy brwi odcinające się bardzo wyraźnie od ogolonej głowy i przeżuwa brokuły, a ja wyjaśniam jej, jak wolałbym widzieć tę kwestię: jak kuszące wydaje się ustalenie wzorca dla tych

wydarzeń, określenie, co wynika z czego – choć jeśli głębiej się nad tym zastanowić, człowiek zdaje sobie sprawę, że tak po prostu jest, że to tylko życie – jak w budowie sfer niebieskich: patrzysz i widzisz Strzelca albo Wielką Niedźwiedzicę, a potem mrugasz i masz przed sobą tylko garstkę przypadkowych gwiazd.

– Zmieniłam zdanie – rzuca Naomi, gdy kończę wyłuszczenie jej tego problemu. – Już nie jestem tobą oczarowana.

Uśmiecha się jednak, więc i ja szczerzę do niej zęby. Wyciąga rękę, by otrzeć sos imbirowo-szalotkowy z końcówki mojego wąsa. Zginie w ciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin. Mój przyjaciel detektyw Culverson będzie tym, który wezwie mnie na miejsce zdarzenia, do agencji ubezpieczeniowej Merrimack.

– Czy możemy zgodzić się choć co do jednego – mówi wtedy u Pana Chow, wciąż jeszcze żywa, ocierając kciukiem sos z mojej twarzy – że te wydarzenia nadały twojemu życiu głębszy sens? Zgodzisz się z tym stwierdzeniem?

– Jasne – mówię. Jest taka śliczna w tej czerwonej sukience z czarnymi guzikami. Nigdy nie widziałem piękniejszej dziewczyny. – Okej. Tak. Zgadzam się.

* * *

Resztę wtorkowego wieczoru drugiego października spędzam na pochowaniu mojej siostry. Układam jej ciało w płytkim grobie pomiędzy masztami flagowymi na trawniku przed posterunkiem policji. Kopiając mogiłę, nucę na pożegnanie najpierw „Grom wśród gór szczytów”, a potem „Będę taki samotny, gdy odejdiesz”, następnie przychodzi czas na ulubione kawałki Nico: muzykę ska, piosenki Elliotta Smitha, kawałki Fugazi, „Poczekalnię”, powtarzane raz po raz, dopóki nie zyskam przekonania, że wkopałem się wystarczająco głęboko w policyjny trawnik, by złożyć tam ciało i powiedzieć: żegnaj.

Przez kilka kolejnych godzin pomagam Jean. Kolejno wynosimy z bunkra zwłoki otrutych. Potem składam należące do Astronauty palniki Bunsena w magazynie, aby mogła gotować na nich makaron z serem, jeśli najdzie ją ochota. Przetaczam bryły gruzu

na schody, blokując je tak dobrze, jak to tylko możliwe. Nie wiem, jak długo Jean zdoła przetrwać tam, na dole, o ile przeżyje zderzenie, ale to wszystko, co mogę teraz dla niej zrobić. Gdzieś na polu za pobliskim lasem stoi helikopter, lecz ani ja, ani ona nie umiemy go pilotować, poza tym gdzie miałyby nim polecieć?

Ma przy sobie broń na wszelki wypadek.

Na koniec odjeżdżam zaraz po północy trzeciego października, mając przed oczami wspomnienie Naomi u Pana Chow.

Podróż mija spokojnie. Tej nocy po drodze nie spotykam zbyt wielu ludzi; w ogóle niewiele dzieje się na ulicach. Niewykluczone, że w tym momencie większość miast da się zakwalifikować do kategorii niebieskich. Wszyscy zaszyli się w swoich kryjówkach, modlą się, piją na umór albo śmieją, robią to, co im jeszcze pozostało, zanim wszystko wokół zostanie zniszczone bądź zabite.

Przejeżdżam przez Rotary, mijam dom otoczony murem obronnym, ceglany budynek przy Downing Road. Nie wiem, czy to ten sam facet, który strzelał do mnie wcześniej, ale na dachu sterczy otoczony rodziną otyły mężczyzna w czapce od Johna Deere'a; obok niego widzę wystrojoną odświętnie kobietę w średnim wieku, dwie nastoletnie córki i młodszego od nich syna. Stoją na baczność oświetleni upiornym blaskiem księżyca, oddając salut amerykańskiemu sztandarowi.

Znajduję zjazd na drogę stanową numer cztery i ruszam nią na południe. Zapamiętałem ją dokładnie. Zawsze byłem dobry z orientacji w terenie; momentalnie łapałem, gdzie jestem, jakie drogi biegną w pobliżu, gdzie mieści się dom czy też posiadłość sprawcy – wszystko to samo układało się w mojej głowie.

W idealnym świecie nie zasnąłbym tej nocy, ale moje ciało nie ma pojęcia o wyjątkowości tego dnia, więc oczy pieką jak zawsze, a powieki ciężą, toteż muszę w końcu zjechać z szosy. Znajduję to samo miejsce, w którym odpoczywałem poprzednio, składam kurtkę w identyczny sposób, a trzy godziny później budzi mnie odległy gwizd pociągu, który w tych okolicznościach brzmi absolutnie nedorzecznie. Otwieram jednak oczy, wstaję z ziemi

i przyglądam się, jak przejeżdża w oddali, wciąż nie mając do końca pewności, czy to nie kontynuacja snu. Długi pociąg towarowy jedzie przez równiny Ohio, gęsty dym wydobywa się z komina lokomotywy.

Sikam pod drzewem, wracam na rower i jadę dalej.

* * *

Niebo różowieje na wschodzie, jesienny poranek jest jednak zimny.

Podśluchałem kiedyś, jak funkcjonariuszka Burdell wyjawiała Katzowi swoje plany na ten dzień. Powiedziała w kuchni Domu Policjanta, że spędzi go na przemyśleniach, dlaczego życie jest do dupy. Dlaczego trzeba mieć ciało, co wiąże się z hemoroidami, bólami brzucha i całą masą innych chorób. Już wtedy wydało mi się to niezbyt dobrym podejściem, a dzisiaj jestem pewien, że wybrała niewłaściwą strategię. Odrywam prawą dłoń od kierownicy i posyłam sztywny salut Sowie siedzącej gdzieś pod Furman. Pozdrawiam nim także Trish McConnell.

Ponownie chwytam kierownicę i skręcam za stoiskiem z owocami. Śpiewam tak głośno, jak umiem, a wiatr porywa moje słowa i niesie je w przestrzeń, rozrywając na kawałki każdy wers, każdy takt „Desire”.

* * *

Słyszę psa na długo przed tym, nim zdołam go zobaczyć. Trzy głośne szczeknięcia zakończone kasznięciem, kasznięcio-szczeknięcie, kasznięcio-szczeknięcie, a potem już tylko znajomy kaszel. Utykający Houdini wyskakuje zza szopy, by mnie powitać.

- Hej, piesku - rzucam, czując radość w sercu na sam jego widok, gdy podskakuje i kluczy, zbliżając się przez uprawy.

Jesienna kukurydza została dopiero w połowie zebrana, część łodyg wciąż ugina się pod ciężarem kolb, inne kołyszą się już swobodnie. Jest tu też grządka pełna dyń, na którą nie zwróciłem wcześniej uwagi, tam w rogu, na prawo od frontowej werandy, wypełniają ją zielone kłącza i pomarańczowe sfery dojrzałych

owoców. Na ganku dostrzegam dwie kobiety, to córki albo synowe – siedzą na prostych fotelach w tych swoich czarnych długich sukniach i czepkach, cerują albo szydełkują, nie, robią nowe koce na zimę. Wstają na mój widok, uśmiechają się nerwowo, chwytając odruchowo za ręce, gdy pytam grzecznie, czy mógłbym pomówić z Atleem. Znikają mi zaraz z oczu, wyruszając na poszukiwanie pana tego domu.

Houdini doskakuje co rusz do śladów, które pozostawiłem w błocie, węszy przy nich jak szalony. Przykucam, by go podrapać za uchem, na co reaguje niskim pomrukiem zadowolenia. Ktoś go porządnie wykąpał, rozczesano mu także sierść, wyciągając wszystkie rzepy. Wygląda niemal tak dobrze jak w chwili, gdy go zobaczyłem po raz pierwszy, rozkosznego psiaka biegającego wokół brudnego domu dilerka narkotyków przy Bog Bow Road. Spoglądamy na siebie, ja się uśmiecham, on także, takie przynajmniej odnoszę wrażenie. Sądziłeś, że odszedłem, nieprawdaż? No przyznaj, że tak było. A może i nie. Kto cię tam wie. Trudno powiedzieć, co myślą psy.

Atlee Miller nie pyta o wynik mojego dochodzenia, a i ja nie śpieszę się z wyjaśnieniami. Wymieniamy zdawkowe skinienia, po czym wskazuję mu wózek.

- Odwiozłem pański młot. Dziękuję za wypożyczenie.
- Wątpię, aby był mi jeszcze potrzebny - odpowiada, machając lekceważąco ręką.
- Moja siostra wierzyła... że uda nam się to jakoś przeżyć. Pomyślałem więc, że nie zaszkodzi go odwiedzić.
- Ano nie zaszkodzi - przyznaje amisz, po czym znów kiwa głową. - Nie zaszkodzi.

Rozmawiamy półgłosem na trawniku, za jego plecami widzę resztę rodziny, są tam liczne dzieciaki, ciotki i wujowie, nawet kuzyni. Wszyscy przyłgnęli do okien domu, obserwując moment mojego powrotu.

- Pomyślałem, że mógłbym zostać na lunch, jeśli nie będzie pan miał nic przeciw - dodaję.

- Ależ skąd - odpowiada, niewykluczone, że gdzieś w kącie ust dostrzegam cień uśmiechu. - Zostań tak długo, jak chcesz, przyjacielu.

* * *

W trakcie hałaśliwych przygotowań do posiłku pozostaję najcichszą osobą w domu: tyczkowaty obcy tkwiący nieruchomo w kącie jak nie przymierzając, dziwaczny mebel. Uśmiecham się uprzejmie do przechodzących kobiet, robię głupie miny do dzieci. Nie doświadczam przy tym żadnych niemiłych wspomnień, choć się tego obawiałem. Gdy przymykam powieki, nie kryją się pod nimi żadne krwawe wizje.

Maluchy chichoczą, wynosząc kolejne nakrycia z kuchni. Jeden z synów Atleego doznał urazu pleców podczas pracy na roli, więc zrywam się z miejsca, gdy zauważam, że ma problem z wyniesieniem z kuchni ciężkiego stołu, i pomagam mu na tyle, na ile mogę.

Potem zasiadamy do lunchu. Dostaję krzesło sąsiadujące ze stołem dla dzieci, przy największym z okien, naprawdę sporym, kwadratowym. Nie ma przy nim zasłon, więc doskonale widzę niebo.

Tracę odwagę nagle, gdy kobiety podają pierwsze danie. Przez jedną jedyną minutę serce łomocze mi w piersi, a dłonie drżą. Z największym trudem udaje mi się pozostać na miejscu. Siedzę nieruchomo jak słup soli, nie odrywając wzroku od wielkiego kwadratowego okna. Dopuszczam do siebie po raz ostatni myśl, że to tylko zły sen i że gdy zamknę po raz kolejny oczy, a potem znów je otworzę, wszystko wróci do normy - nawet próbuję to zrobić, zaciskam powieki jak dziecko, wduszam w nie kłykcie i nie puszczam, póki nie pojawią się migotliwe błyski. Gdy otwieram oczy ponownie, córki amisza, jego synowie i ich żony wciąż znoszą kolejne misy z potrawami: gotowane warzywa, dusznego królika, chleb.

Atlee Miller pochyla głowę i w jadalni natychmiast zapada grobowa cisza, wszyscy zmawiają w milczeniu modlitwę, tak

samo jak ostatnim razem, a ja obserwuję ich podobnie jak poprzednio. Rozglądam się, dopóki nie odnajdę jej wzrokiem, jest tam, na dawnym miejscu przy jednym ze stołów dla dzieci, młoda Ruthie z blond warkoczykami, oczy ma otwarte podobnie jak ja. Jest bardzo blada, a gdy zauważy, że na nią patrzę, wyciągam do niej dłoń. Muszę rozprostować rękę i pochylić się, by mogła jej dosięgnąć, ale udaje nam się pochwycić i spoglądamy na siebie, gdy niebo za oknem jaśnieje, gdy Atlee i pozostali modlą się z pochylonymi głowami.

Trzymam Ruthie za rękę, a ona ściska mnie, siedzimy, dodając sobie wzajemnie otuchy jak obcy sobie pasażerowie spadającego samolotu.

PODZIĘKOWANIA

Ta trylogia nie mogłaby powstać bez ogromnej pomocy mądrych i niezwykle uczynnych ludzi, poczynając od patolożki doktor Cynthii Gardner, astronoma doktora Timothy'ego Spahra i mojego brata Andrew Wintersa.

Dziękuję także mojej żonie Dianie oraz moim i jej rodzicom.

Słowa uznania niech przyjmą także testowi czytelnicy: Nick Tamarkin i Kevin Maher; a także ekipa z Quirk Books, zwłaszcza Jason Rekulak i Jane Morley; oraz Joelle Delbourgo, Shari Smiley i Molly Lyons.

Na wspomnienie zasługują również: Don Mattingly z Mattingly Concrete; Katy oraz Tim Carterowie i ich kurczaki; profesor Don Korycansky z UC Santa Cruz; mieszkańcy Concord w stanie New Hampshire, tamtejszy Departament Policji, a w szczególności funkcjonariusz Ryan Howe oraz porucznik Jay Brown; detektyw Todd Flanagan z biura prokuratora generalnego stanu New Hampshire; Russ Hanser; Danice Sher (PA), dr Ratik Chandra, dr Nora Osman i dr Zara Cooper; a także znawcy obyczajów amiszów, profesorowie David Weaver-Zercher i Steve Nolt.